

# Wyspa Itongo





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

STEFAN GRABIŃSKI

# *Wyspa Itongo*

# CZĘŚĆ PIERWSZA. SYN KOWAŁA

## W BAŃKOWEJ WOLI

Stał dom w czystym polu, u skrzyżowania zapomnianych dróg; jedna z nich gubiła się gdzieś w bezkresnej, wrzosem i mątwą pastewną poszytej równinie, druga, co tamtą skosem przekreślała, zwężała się opodal w ścieżynę i przepadała w chaszczach, które drapieżną osadą rozsiały się po tamtej, zachodowi słońca bliższej stronie. Nikt tu lata całe nie zaglądał; najbliższe osiedle oddalone było o dziesięć mil.

Odludność miejsca potęgowała cisza: doskonała cisza zakłętego od wieków pustkowie. Nawet czarne zbory kruków i wron zlatujących tu jesienią i zimą na doroczne zimowiska odbywały się w głuchej, nie zmaconej krakaniem ciszy. Czasem tylko wiosenną lub letnią porą przeszedł mimo zapędzony tu przez przypadek włóczęga lub zaskrzypiało koło zabląkanego w obcej stronie wozu. Nikt się nie kwapił do Bańkowej Woli, tego skrawu pustej, jałowej okolicy z równie pustym, od wieków nie zamieszkałym przez nikogo domem, co stał samotny, opuszczony przez Boga i ludzi pomiędzy ramionami niepotrzebnych dróg.

Dom ten i jego otoczenie miały złą, od niepamiętnych czasów ustaloną sławę. Bańkowa Wola należała do tych nielicznych, rozprószonych po ziemi miejsc, na których zdaje się ciążyć klątwa boża czy znamię szatana.

Dom był niewielki, parterowy, kryty gontami. Czarny jak smoła dach jego, zachodzący na okna nad miarę wydłużonymi okapami, łamał się barwami żaloby z trupio białymi, wyzierającymi spoza żywopłotu ścianami. Gdy zmierzch zacierał linie i kontury, domostwo wyglądało z daleka jak wielka, śmiertelnie schorzała twarz, wypatrująca świat osowiałymi oczyma. Czasem w godzinach wieczornych, chociaż w pustym wnętrzu nie było żywej duszy, dymiło z komina; gęste, bure kłęby wysiakały z otworu szczytowego i staczały się leniwymi runami z dachu w ogród. Jesienną porą wiatr hulał po otwartych na przestrzał izbach, zawodził w wąskiej, wydłużonej sieni i trzaskał z pasją drzwiami. W jasne miesięczne noce dochodziło z wnętrza kwilenie niemowlęcia lub przeciągły, rozdzierający serce krzyk kobiety. W długie zimowe wieczory przesuwwały się poza szybami okien jakieś mgliste, rozwiane w zarysach postaci, wylaniały się z głębi, przystawały na progę lub korowodem widm tułały się po pustym ogrodzie wśród chochołów drzew.

Kiedy indziej pod jednym z okien słycać było wycięzoną pracę: ktoś kopał zajadle ziemię i wyrzucał ją rydłem z głębokiego dołu. Nieraz mełły noc całą żarna w opustoszałej, pozbawionej wszelkich sprzętów gospodarskich kuchni.

Ogród rozciągający się dookoła domu był dziki i zapuszczony. Pogarbione od starości jabłonie i śliwy, nie pielęgnowane od lat przez nikogo, wypłonnały do szczytu lub rodziły owoce cierpkie, nie do użytku. Poznikały do niepoznaki ścieżki zarośnięte na glucho pokrzywą, piołunem i chwastem; w cieniu drzew rozpleniły się jadowita dziedzierzawa, diabelski lulek i szalej, paszytowały niesamowity pokrzyk, tojad, blekot i czartopłoch. — W upalne dni lata unosiły się od tych zielsk wonie gryzące i zjadliwe, jakby ostrzegając przechodnia przed odwiedzaniem przekłętej sadyby.

Gdy jesienny mrok zarzucał na ziemię płachty cieni i szedł przez pola krokami śniadego olbrzyma, drzemiąca przez dzień dusza ogrodu ożywała: odzywały się szepty, westchnienia, czyjeś prośby, zaklęcia, rozlegały się odgłosy ciężkich kroków, to znów szelest ostrożnego stąpania lub nagły, głuchy stęk upadającego ciała.

Niekiedy czar przenosił się poza obręb domu i ogrodu i opanowywał najbliższe ich otoczenie. Wtedy przeciągały o północy na rozstajnych drogach upiorne procesje. Na czele szedł jakiś człowiek na szczudłach, trzymając w ręce zamiast krzyża osmolony ożóg, za nim postać przypominająca księdza w ornacie z wizerunkiem szubienicy na plecach, a dalej rzesza widm z gromnicami odwróconymi w dół płomieniem.

Orszak pojawiał się nagle na krzyżownicy dróg, okręzał dom wśród żalobnych pieśni i antyfon i szezał również nagle i niespodzianie w skrajnym polu po drugiej stronie. Gdy procesja mijala furtę wchód ową od ogrodu, celebryjący podnosił ku domowi rękę i kreślił nad nim znak krzyża, lecz w kierunku odwróconym, zaczynając od dołu. Wtedy z wnętrza odpowiadała mu piekielna wrzawa zmieszanych głosów męskich i kobiecych,

nad którymi górował szeroki, urągliwy, rechocący śmiech. Po chwili wszystko milkło, światła gasły i dom zanurzał się znów w senną ciszę pustkowiea...

W którychś dżdżysty, jesienny wieczór sprowadził do Bańkowej Woli dziwny traf dwoje ludzi. Wśród największej ulewy wszedł do sieni domu młody, w myśliwski strój odziany mężczyzna. Skwapliwie zatrzasnął za sobą drzwi, zrzucił ociekającą deszczem gumową kurtkę, odstawił strzelbę i przyciskając palcem guzik elektrycznej latarki, zaczął rozglądać się po otoczeniu.

— Opuszczona chałupa — mruknął, ogarniając spojrzeniem cztery izby, których wnętrza poprzez otwarte na oścież drzwi świeciły bezwzględnie pustką. — Jak wymiół! Ani żywej duszy. A co za wściekły przeciąg! Mało głowy nie urwie.

I starannie pozamykał okna.

— A może tu ktoś umarł na zakaźną chorobę? — zrodziło się podejrzliwe przypuszczenie. — W takim razie wpadłem z deszczu pod rynnę... Ha, trudno — nie ma wyboru, dobry i taki nocleg.

Obszedł po kolei puste izby.

— Co za dojmujący chłód!

Zatrząsł się od zimna.

— Choć psy gonić! Jak tu spać w tej psiarni i na czym? Ani kloca pod głowę. A co będzie, gdy latarka odmówi posłuszeństwa?

Perspektywa spędzenia nocy w ciemnościach przy kilku stopniach powyżej zera nie uśmiechała mu się wcale. Widok pieca w jednej z izb ze szczątkami zwęglonego polana wywołał ponętny miraż płonącego rześko ogniska.

— Trzeba stanowczo zdobyć opał.

Odtworzył w pamięci powykęcane kontury drzew mające w jesiennym zmierzchu dookoła domu. Ubrał z powrotem kurtkę i rozświecając sobie drogę latarką wyszedł tylnymi drzwiami w ogród. Nie zawiódł się: po chwili wracał już z pękiem chrustu i suchych gałęzi; zrzucił zdobycz w kąt pod drzwiami i powtórzył wyprawę kilkakrotnie. Wkrótce piętrzył się w sieni pokaźny stos paliwa.

— A teraz zapalimy w „sypialni”.

Wyjął z kieszeni gazetę, rozpostarł na ruszcie pieca, narzucił chrustu i podpalił zapalniczką. Buchnął płomień i zahuczało w kominie. Myśliwy zgasił latarkę i przy blasku ogniska przeniósł cały zapas suszu do izby. Niebawem odczuł błogie skutki ciepła. Zrzucił kurtkę, podsunął ją sobie pod głowę i jak długi wyciągnął się na podłodze obok pieca. W czerwonym świetle paleniska wystąpiły ostro jego męskie, energiczne rysy ożywione parą siwych, sokolich oczu. Podłożył ręce pod głowę, wlepił spojrzenie w powałę i odpoczywał.

Było mu dobrze. Zmordowany całodzienną włóczęgą po lasach, na pół skostniały od jesiennego chłodu, umiał ocenić błogosławiony wpływ ognia i zamkniętej, chroniącej przed deszczem i zimnem przestrzeni. Twarde, pyłem lat okryte deski podłogi wydały się miękką pościelą, a brudna, pusta izba najwygodniejszą w świecie sypialną. Na dworze zawodził luto październikowy wiatr, na szybach lzały paciorki dżdżu, w starym, wapnem na biało powleczonym piecu buzował wesoły ogień i wywabiał na ścianach kosmate cienie, a w kącie ćwierkał samotny świerszcz — Dobrze było...

W sieni odezwały się niepewne, skradające się kroki. Podniósł się i zaczął nasłuchiwać. Ktoś zapukał do drzwi nieśmiało.

— Proszę wejść — zachęcił „gospodarz”.

Drzwi odchyliły się i w progu stanęła młoda, niezwyklej urody kobieta. Z sobolowej jej świtki i kołpaczka spływała strugami woda.

Mężczyzna zerwał się z podłogi i gestem zaprosił do wnętrza. Na twarzy pięknej pani odbiło się wahanie. Spojrzała mu badawczo w oczy. On uśmiechnął się.

— Ryszard Krzepniewski, ziemianin z Radłowa, do usług — przedstawił się. — Cóż począć, szanowna pani! Jest się czasem zdany na łaskę i niełaskę szczególnego zbiegu okoliczności. Zresztą, pochlebiam sobie, trafiła pani na gentlemana i jeżeli nie ma pani na razie innego schroniska, gotów jestem podzielić się z nią tym lokalem.

Odpowiedziało mu wdzięczne, zabarwione mimowolną zalotnością spojrzenie słodkich, czarnych oczu.

— Dziękuję panu za ułatwienie mi sytuacji. Rzeczywiście położenie chwilowo bez wyjścia. Skorzystam z pańskiej gościnności, dopóki nie ustanie ta okropna ulewa.

— Radziłbym zdjąć świtkę; jest gruntownie przemoczona. Pozwoli pani, że jej w tym pomogę.

Milcząco usłuchała rady i oddała mu narzutkę do rozwieszenia przy piecu. W blaskach płomieni rzucanych przez ognisko wystąpiła plastyka jej bujnej krasy; była rasową brunetką o kuszącej linii bioder i biustu. Pełna dyskretnej elegancji suknia uwydatniała harmonijność i bogactwo jej kształtów.

Rozejrzała się po izbie zdumiona.

— Pan tu mieszka?

Roześmiał się, ukazując rząd zdrowych, trochę drapieżnych zębów.

— Co za kapitalne przypuszczenie! Ja w tej norze? Nic podobnego. Jestem w tej gospodzie podobnie przypadkowym gościem jak pani. Schroniłem się do tego odludnego domu przed deszczem. Padłem ofiarą myśliwskiej namiętności. Zaproszony na polowanie w okolice zupełnie mi obce, odłączyłem się nieopatrznie w pościgu za zranionym przeze mnie dzikiem od reszty towarzystwa i zablądziłem bez wyjścia w dzikiej kniei. Po całodziennym tułaczce, już o zmroku, wydostałem się na jakieś pustkowie, na którego krańcach majaczyła ta samotna zagroda. Rad nierad, zziębnięty i przemoczony, postanowiłem tu przenocować. — Dom zdaje się bezpieczny i prawdopodobnie stoi pustką już od dawna. Jedyna przystań dla zbłąkanych.

Kobieta patrzyła zamyślona w rozjarzoną czeluść pieca.

— Szczególny zbieg okoliczności — mówiła zapatrzona w ogień — kazał nam obojgu zawinąć do tej samej odludnej przystani. Bo i ja również zablądziłam w okolicę zupełnie mi nie znaną. Brzmi to trochę fantastycznie, lecz jest szczerą prawdą. Dziś rano przyjechałam w te strony z miejscowości bardzo odległej i wysiadłam z pociągu na przystanku oddalonym stąd zapewne kilka lub nawet kilkanaście mil. Koło budynku stacyjnego oczekiwała mnie już bryczka. Wsiadłam, nie przeczuwając nic złego. W drodze, gdzieś na dziesiątym kilometrze, w głębi lasu nagle konie spłoszone z niewiadomej przyczyny zaczęły ponosić. Woźnica, zdaje się pijany, nie umiał opanować sytuacji i zwałił się w rów. Pojazd w szalonym pędzie potoczył się dalej w zaułki leśne. Byłam bezsilna i na pół przytomna dałam się ponosić rozhukanym koniom. Po kilkugodzinnej wariackiej galopadzie wśród komyszy boru oszalałe ze strachu zwierzęta, porwawszy szory i popręgi, popędziły na oślep w głąb lasu, pozostawiając mnie omdlałą na dnie pudła wozowego. Gdy odzyskałam przytomność, słońce już chyliło się ku zachodowi. Byłam sama w sercu puszczy. Przerazona wyskoczyłam z na pół rozwalonej bryczki i zaczęłam biec na chybi trafi w kierunku zachodzącego słońca. Tymczasem ściemniło się i zaczął padać ulewny deszcz. Goniąc resztkami sił, wypadłam z boru na jakąś pustą, zarosłą wrzosem równinę i już w mroku dotarłam do tego domu. — Blask ognia bijący z okien wskazywał mi z daleka drogę. Nie miałam innego wyjścia i zakołatałam do tych drzwi.

— Jak w bajce — rzekł Krzepniewski, gdy zmęczona opowiadaniem zamilkła i wpatrywała się w ogień.

— Pozwoli pan — podjęła po chwili, nie patrząc mu w oczy — że zachowam swe incognito. Niech panu wystarczy informacja, że jestem zamężną i że mi na imię Wanda.

— Potrafię uszanować wolę pani.

— Dziękuję.

— Ale, ale! Byłbym kompletnie zapomniał, żeśmy dotychczas nie jedli kolacji. A jestem już porządnie głodny. Pozwoli pani, że ją przyjmę u siebie. Czym chata bogata, tym rada.

Uśmiechnęła się.

— Odkrył pan tu gdzie spiżarnię? Cudza własność — rzecz święta.

— Proszę być o to spokojną. Jak mędrzec starożytny, wszystko swoje ze sobą noszę. Mam jeszcze zapasy w mojej myśliwskiej tajstrze. Podzielimy się nimi, jak przystało na towarzyszy niedoli. Mam też trochę wina w manierce.

— Jak widzę, wyekwipował się pan należycie przed wyprawą.

— A tak, wzięło się coś niecoś na wszelki wypadek.

I zaczął rozkładać na oknie wiktuały.

— Najfatalniejsza rzecz, że nie mamy stołu ani krzesel.

— Zdaje mi się, zauważyłam w sieni coś w rodzaju pieńka do rąbania polan.

— Tak? To doskonale! Zaraz go tu przytoczymy.

Wybiegł do sieni i przy odbłasku ognia wsączającego się skąpą wiązką promieni przez otwarte drzwi zaczął szukać w półmroku.

— Jest! — zawołał tryumfalnie i wniósł do izby barczysty klocek dębowy. — Krzesło by było. Może pani usiądzie?

— A pan?

— Mnie pozwoli pani rozłożyć się obozem u jej stóp.

Przyniósł prowianty z okna i wyciągnął się na podłodze, opierając ramieniem o pień.

— Proszę zająć się łaskawie podziałem środków żywności; tylko sprawiedliwie, bardzo proszę — dodał, spostrzegłszy, że co lepsze kaski przeznacza dla niego. — Mamy jeszcze w odwodzie puszkę sardynek. Zaraz otworzę.

Przy pomocy klucza odwinął blaszaną przykrywkę.

— Trzeba to zapić winem.

Podał jej pękata, skórą obszytą manierkę z kubkiem wkręconym na szyjce.

— Tokaj? — zapytała, nalewając ostrożnie.

— Tak.

— Wyborny! Od razu czuje się dobrą, starą markę.

— I dlatego wypila pani tylko do połowy?

— Połowę zostawiłam dla pana. Może się pan mnie brzydzi?

Popatrzyła mu filuternie w oczy.

Wychylił duszkiem resztę.

— Będę znał myśli pani — przekomarzał się, patrząc w jej urodziwą twarz. — Tak przynajmniej mówią, gdy się pije z jednego kieliszka.

Oddała mu spojrzenie.

— A bardzo pan ich ciekaw?

Chciał coś odpowiedzieć, gdy wstrzymała go gestem ręki.

— Pst! Czy nic pan nie słyszał tam, w sieni?

Powstał niechętnie i zaczął nadśluchować.

— Zdawało się pani — uspokoił ją po kilku sekundach. — To wiatr wałęsa się dookoła domu.

— Trzeba zaryglować na wszelki wypadek drzwi w sieniach.

Włożył do ognia kawałek odłamanej gałęzi, zapalił i przyświecając nią sobie, wyszedł w kurytarz. Przy drzwiach nie było zasuwek, tylko zwykle, mocno już nadgryzione przez rdzę zakrętki. Umocnił je we wlotach i zakręcił. Potem wrócił do izby.

— Proszę być spokojną. Ani żywej duszy. Drzwi zakręciłem.

Pani Wanda dorzuciła do ognia chrustu.

— Ciekawa jestem, która też godzina. Musi być już późno, bo czuję ogromną senność.

— Dwunasta minęła. Rozścielę pani moją kurtkę na podłodze; za poduszkę musi wystarczyć pani pęk gałęzi przykryty jej świtką.

— A pan?

— Będę drzemał oparty o ten klocek i podtrzymywał ten znicz domowy.

— Ładna perspektywa!

— Cóż robić? Bywają gorsze sytuacje. Czyśmy nie młodzi?

Ogarnął ją oczyma adoracji. Rozmowę przerwał tym razsm wyraźny odgłos kroków. Ktoś chodził po sieni. Pani Wanda odruchowo chwyciła rękę Krzepniewskiego.

— A teraz słyszał pan?

— Słyszałem. Ktoś widocznie przed nami wszedł do domu, ukrył się w jednej z izb po drugiej stronie i teraz łązi po sieni.

— Może to gospodarz tej rudery?

— W takim razie nie miałby powodu ukrywać się przed nami i śmiało wszedłby tutaj. Musimy to zaraz wyjaśnić. Pozwoli pani, że wyjdę do sieni — rzekł, łagodnie uwalniając rękę z jej kurczowego uścisku.

— Tylko proszę nie wychodzić poza obręb domu; nie chciałabym zostać samą w tej izbie. Boję się czegoś. O! Słyszysz pan? Wciąż chodzi. Co za ciężki, wlokący się chód...

Rzeczywiście słyhać było za drzwiami człapiące kroki kogoś jakby obutego w drewniane chodaki.

— Kto tu, do licha? — krzyknął Krzepniewski, otwierając gwałtownie drzwi i wżerając się oczyma w mroczną przestrzeń sieni.

Kroki umilkły. Krzepniewski puścił snop światła z elektrycznej latarki wzdłuż korytarza... Nie odkrył nikogo.

— Proszę wrócić tu do mnie — usłyszał za sobą szept pani Wandy. — Boję się...

— Muszę zbadać drugą stronę domu; może tam ukrył się nieproszony gość.

— Nie, nie! — sprzeciwiła się przerażona — nie mogę tu zostać sama ani na chwilę.

— Więc może odbędziemy tę rewiewę we dwójkę — zaproponował, nadając słowom ton żartobliwy. — Proszę nie być dzieckiem; taka duża, piękna pani.

— Owszem. Na to się zgadzam.

I wyszedłszy w sieni, uchwyciła się mocno jego ramienia.

— Teraz mi raźniej.

Obrzucił drzwi wchodowe i tylne, od ogrodu, stożkiem elektrycznego światła.

— Zakrętki na swoim miejscu — stwierdził. — Więc ptaszek jeszcze nie wyfrunął.

Na pewno znajdziemy go w jednej z izb naprzeciw.

— Ma pan broń przy sobie? Może być potrzebna.

Krzepniewski skierował spojrzenie na fuzję swoją w kącie sieni.

— Nabita?

— Oczywiście. Lecz wolę jej nie używać. Mam tu coś lepszego.

Wskazał na kolbę rewolweru, wychylającą mu się z olstra u lewego boku.

— Proszę mieć go na wszelki wypadek w pogotowiu.

— Jak pani uważa — zgodził się i wziął broń do ręki. — A teraz naprzód!

Otworzył drzwi wiodące do pierwszego pokoju po lewej i wszedł z ociągającą się kobietą.

— Kto tu? — zapytał ponownie.

Odpowiedział piekielny hałas w sąsiedniej izbie. Światło latarki puszczane w obieg po ścianach i podłodze oświetliło puste wnętrze. Z wyciągniętym do strzału browningiem przeszedł Krzepniewski do drugiej izby. Lecz i tu nie zastał nikogo. Przez drzwi w głębi wydostali się z powrotem w sieni. Drzwi z obu stron były zamknięte, jak przedtem, na zakrętki. Wtedy kobieta przytuliła się do mężczyzny drżąca i blada.

— Tu coś straszny. To jakiś przeklęty dom. Uciekajmy stąd!

Odezwał się przewlekły jęk jesiennego wichru i szum ulewy.

— Dokąd? W tę zawieruchę? Musimy przenocować tu do rana.

Milcząc, poddała się tej decyzji. Wrócili do „swojej” izby. Krzepniewski dorzucił suchych gałęzi do ognia, który buchnął jasnym płomieniem i rozświetlił znów zmroczony już wnętrze.

— Może pani trochę odpocznie.

Rozścielił na podłodze swą kurtkę.

— Jest pani znużona przejściami tego dziwnego dla nas obojga dnia.

— Spróbuję, chociaż wątpię, czy mi się uda zasnąć w tych warunkach.

Złożyła w dwoje swą świtkę, umieściła na pęku chrustu niby poduszkę i położyła się na jego kurtce twarzą ku ogniowi.

— Proszę usiąść tu przy mnie — poprosiła. — Będę czuła się bezpieczniejsza i może prędzej zasnę.

Spełnił życzenie i przytoczywszy pień do posłania, usiadł, ujmując jej rękę w swe dłonie.

— Tak dobrze — powiedziała i przysłoniła oczy ociężałymi od senności powiekami.

— Straszne ze mnie jeszcze dziecko i bojahuz<sup>1</sup>, nieprawdaż?

— Jest pani słodka, prześliczną kobietą — odpowiedział, pieszcząc bezwładną jej rękę.

— Co? Komplementy? Proszę się nie zapominać — broniła się resztkami osłabionej przez zmęczenie i emocje woli. Cofnęła rękę i wsparłszy głowę na łokciu, spojrzała w stronę drzwi.

<sup>1</sup>bojahuz (ukr.) — tchórz. [przypis edytorski]

— Chciałem tylko panią uspokoić — usprawiedliwił się. — Czy wolno mi zapalić papierosa?

— Ależ proszę bardzo.

Gdy wyciągnął papierośnicę i pocierał zapalną, uczył, jak chwyciła go nerwowo za ramię.

— Niech pan spojrzysz na drzwi, na klucz.

Krzepniewski popatrzył i zauważył, jak duży, tkwiący w zamku od strony wewnętrznej klucz powoli obrócił się od prawej ku lewej.

— Wiatr, przeciąg czy co, u licha? — mruknął i powstawszy, próbował przeszkodzić dalszemu obrotowi.

Lecz nie udało mu się. Jakaś moc silniejsza od niego przekręciła klucz o kąt pełny i z trzaskiem wrzuciła go w zamek.

— Jesteśmy uwięzieni — szepnęła Wanda. — Dlaczego nie uciekliśmy z tego przekłętego miejsca?

— Proszę się uspokoić. Przecież klucz tkwi w zamku po naszej stronie. Mogę drzwi w każdej chwili otworzyć.

I próbował wprowadzić w czyn to, co powiedział. Lecz wszelkie wysiłki okazały się bezskutecznymi. Klucz ani drgnął. Więc chwycił za klamkę i chciał otworzyć drzwi przemocą. Nie dały się.

— Głupio śmieszna historia — rzekł zniechęcony i powrócił do pani Wandy. — W ostatecznym razie możemy wyjść przez okno. — Lecz co za sztubackie kawały!

— Nie mów pan tak, nie mów pan tak! — prosiła. — Po co prowokować?

W tej chwili drzwi powoli otworzyły się do połowy. Krzepniewski wściekły pchnął je na oścież i na oślep oddał w głąb sieni trzy strzały. W odpowiedzi usłyszał nad sobą, gdzieś w górze, gruby, ordynarny śmiech i okrzyk Wandy. Rzucił się w drugi koniec sieni z latarką. Tu spostrzegł schody na pięterko. Bez namysłu zaczął się wspinać na górę, skąd dochodziły go wciąż salwy śmiechu. Gdy dotarł do końca i wyważył nogą drzwi od poddasza, wszystko nagle umilkło. Przy świetle latarki ujrzał mały, zasnuty pajęczą przędzą, zawalony szczątkami sprzętów, obręczami od beczek i wiórami heblowin pokoi. Nie było w nim nikogo. Klnąc i szarpiąc nerwowo wąsy, zeszedł pośpiesznie w dół i wrócił do izby. Tu spostrzegł, że Wanda zemdlła. Podważył jej nożem myśliwskim zęby, wlał w usta parę kropel wina. Westchnęła, otworzyła oczy i objąwszy go kurczowo ramionami za szyję, przytuliła się do niego z całej siły. Piersią jej zaczęło wstrząsać ciche łkanie, usta szukały ust jego stęsknione.

I tak na rubieży lęku przed nieznanym i pożądania, między krasnotą życia a omroczą „tamtego brzegu” oddała mu się. Mgła szalu przesłoniła im oczy i odgrodziła purpurową kotarą od złych dziwów domu. Udzielali się sobie w słodkim zapamiętaniu, głusi i ślepi na wszystko, co się wokoło nich działo. Nasycali wzajemnie pragnienia ciał swych młodych i zdrowych, obojętni na otoczenie, na miejsce swych godów, na świat cały. Mężczyzna i kobieta! On i ona!

W naiwnej, dziecięcej niewiedzy spełniali wolę ciemnych przeznaczeń, które sprowadziły ich oboje do tej dziwnej izby na godzinę miłosnego aktu. W ekstazie upojenia nie widzieli widmowych twarzy, które nachylały się nad nimi z enigmatycznym uśmiechem masek i śledziły miłosną ich sprawę, nie słyszeli wkoło siebie tajemniczych głosów i szepcót. Spleceni w małżeńskim uścisku, nie wiedzieli, że ziszczają tęsknoty „z tamtego brzegu”, że dzieło ich rozdrzeczonych dreszczem rozkoszy ciał jest czymś, na co tu czekano od lat, może od wieków...

---

Tak poczęło się dziecię, nad którym od kolebki zaciążyły moce zaświatów.

---

Nad ranem, po nocy grozy i szalu mężczyzna i kobieta, których połączyła na chwilę chimera losu, rozeszli się, każde w swoją drogę, by nie spotkać się nigdy już więcej.



## U KOWAŁA

W rok potem pani kowalowa Gniewoszowa z Królówki wyszedłszy ranną porą przed dom, by nakarmić kury wążające się o głodzie po podwórku, znalazła pod progiem swych drzwi podrzucone niemowlę. Dziecko może trzymiesięczne, ciche jakieś i potulne, patrzyło na nią szeroko rozwartymi ciemnoniebieskimi oczyma, zdając się dziwować wielce światu i ludziom.

Pani Paulinie żal się go zrobiło okrutnie. Podjęła podrzutka i zaniósła do izby.

— Biedactwo ty moje — przemawiała do zdumionego wciąż gościa. — Pewnieś głodne, co? Czym ja cię nakarmię? Cycić nie dam, bo nie mogę. Może z flaszki wydudlisz trochę mleczka?

Przytknęła do różowych usteczek szyjkę od butelki. Dziecko, poczuwszy na wargach słodki płyn, piło łapczywie.

— Maleństwo ty moje, a to cię wygłodziła wyrodna matka — oburzała się pani Gniewoszowa, powoli rozsznurowując powijaki. — Pi, pi! Co za bielizna! Batysty, koronki? Pewnikiem owoc grzechu jakieś damulki z miasta. Rodzić nie sztuka, ale wychować! — Wszystkie one do siebie podobne, jedna w drugą, kubek w kubek... chłopiec!

Okrzyk końcowy, rezultat starannych oględzin, złał się w komiczny dwugłos z siarczystym zakłębieniem pana majstra, który właśnie przekraczał próg świetlicy.

— Szymek! Pan Bóg wysłuchał mnie i dał nam syna. Śliczne dziecko! Popatrz ino, stary! Co?

Gniewosz spojrzął na baraszkującego figlarnie na stole nogami malca i chociaż rozczłonony czymś mocno, od razu rozchmurzył się.

— Niczego, niczego — przyznał i zapytał oczyma.

— Dopiero co znalazłam pod naszym progiem.

— Aha! Podrzuciła jakaś miejska lafirynda. Pański bękart. Ha, trudno. Lepszy znajda niż nic. Boża w tym wola.

I nakreśliwszy nad dzieckiem znak krzyża, ucałował je ostrożnie w czoło, bacząc, by zaś nie zaczepić sumiastymi wąsiskami.

— Może nie chrzczone? — rzuciła przypuszczenie kowalowa.

— Wszystko możliwe u tych miejskich drapichrustów. Damy go ochrzcić na wszelki wypadek i przyjmemy za swego. Może się to przy nas uchowa.

Jak orzekli — zrobili i już nazajutrz w księgach metrykalnych królówieckich figurował nowy parafianin: Jan Gniewosz, syn Szymona, kowala, i Pauliny z Przednówków, jego małżonki.

---

A przydarzyło się to po raz pierwszy jakoś koło Wielkiej Nocy, gdy chłopiec kończył już rok piętnasty.

Roboty dnia tego w kuźni było co niemiara, ile że czas był podświęteczny i wczesna wiosna sposobna do pracy w polu; raz w raz ktoś wpadał do hamerni i skomlał o możliwie szybkie podkucie konia, to o zrychtowanie popsutej brony lub o nabicie obręczy na koło. Toteż szczękało w szopie od razów młotowych jak na diabelskim klepisku i sypało mietlicami iskier niby w samym sercu piekła. Czeladnicy, obnażeni po pas, ociekający potem, czarni od dymu i sadzy, uwijali się po kuźni niczym diabły, wyczarowując spod żelaznych stęporów złotoczerwone siklawy, tęcze i fontanny.

Właśnie majster obrabiał młotem parę rozżarzonych do białości podków, które mu Janek przytrzymał cęgami na kowadle, gdy zaczęło rzucać narzędziami i żelaziwem. Tak sobie ni z tego, ni z owego porwało coś nagle imadło leżące na stole i z furią miotnęło nim w przeciwległy kąt pracowni. Szymon nie od razu zorientował się.

— Którego to z was, durnie — huknął — świerzbi skóra na grzbiecie?

Zanim mu ktoś zdążył odpowiedzieć, zafurkotała w powietrzu ciężka żelazna sztaba i z okropnym rumorem upadła na podłogę.

— Kie lichy?! — krzyknął majster i potoczył dookoła groźnym spojrzeniem.

Czeladnicy przerwali pracę i zdumieni spoglądali na siebie i kowala. Janek, przybrany syn kowalów, oparty o ścianę i jakby zasluchany w przestrzeń, uśmiechał się nijako, półsennie.

— Czego szczerzysz zęby, hultaju? — wrzasnął ojciec, nie posiadając się z gniewu.

Chłopak chciał coś odpowiedzieć i już zwracał ku rozsierzdzonemu twarz rozbudzoną nagle z zapamiętania, gdy coś wyrwało mu z rąk trzymane cęgi i śmignęło nimi tuż przed nosem kowala.

— Cholera! — zaklął stary. — To jakieś czarcie sztuki!

Rozpętane raz moce rozhulały się na dobre; w kuźni wszczął się zamęt nie do opisania: latały jak piłki od ściany do ściany heble i strugi, koziolkowały w powietrzu żelazne drągi i bloki, kręciły się w epileptycznych podrygach świdry i młoty. Powstał zgiełk i hałas tak wielki, że zwabił sąsiadów bliższych i dalszych i wkrótce pół wsi otoczyło kowalową zagrodę rozciekawioną gawiedzią. Majster i czeladnicy, cudem jakimś nie uszkodzeni i cali, uciekli w popłochu z nawiedzanej kuźni i wmieszani w tłum, śledzili wraz z innymi przebieg objawów, czekając ich końca. Lecz ten nie przyszedł tak rychło; godzinę przeszło trwała piekielna zabawa i dopiero pod zachód powoli uspokoiła się.

Gdy weszli znów do kuźni i rozglądnęli się po wnętrzu, ze zdziwieniem zastali wszystko w największym porządku. Narzędzia pracy i materiał do obróbki, wykonawszy wariacki taniec, powróciły potulnie na swoje miejsca. Cała awantura wydała się teraz Szymonowi złośliwym przywidzeniem.

— Hej, Kuba! — trącił w bok najbliższego pomocnika. — Czy mi się to wszystko przyśniło, czy pałę zalałem przed niedzielą?

— Zaśby tam, panie majstrze! Wszystko szczyra prawda.

— Hm... Widziałeś tę hecę na własne oczy?

— A juści.

— No a wy, reszta? — objął wzrokiem cały swój personel.

— Jak Bóg na niebie, prawda! — odpowiedzieli mu chórem. — Widzieliśmy od początku do końca.

— Ano, kiedy tak, to dalej do roboty! Trza dogonić stracony czas.

I znów zagrały żelazną pieśń kowadła i młoty...

Nazajutrz Janek kowalów leżał w izbie dzień cały blady jak truchło i rozbity jak pochruchotany garniec. Skarżył się, że go wszystko boli i że czuje słabość w każdym członku, jak gdyby go ktoś tego wygrzmocił. Stary zasepił się i zgryzł tym niemało.

— Może ci przetrąciło kości wczoraj w szopie?

— Ej, nie, tatulu. Nie tknęło mnie nigdzie ani razu, dopokiśma byli wszyscy razem pod dachem. A potem uciekłem stamtąd wraz z wami. To coś innego. Da Bóg, jutro przejdzie.

Jakoż przeszło. I nazajutrz Janek znów asystował ojcu przy kowadle.

---

Lecz wypuszczone raz z więzi siły odtąd co pewien czas dawały znać o sobie, jakby chciały zaznaczyć, że mają już do kuźni pewne prawa i że tu jak u siebie gazdują. Dom kowala w krótkim czasie zasłynął w okolicy z powodu tych hałasów i stał się celem częstych pielgrzymek spragnionej cudowności gawiedzi. Szymon Gniewosz nie bardzo był rad tym ustawicznym nagabywaniami, gdyż przeszkadzały w pracy, a nie przynosiły najmniejszego pożytku. Tak upłynęło lat parę.

Aż pewnego dnia przybyło z wizytą kilku eleganckich i bardzo poważnie wyglądających panów z miasta. Jeden z nich, zdaje się kierownik wyprawy, przedstawił Gniewoszowi najpierw swoich kolegów jako lekarzy psychiatrów z Warszawy, a następnie siebie jako dyrektora kliniki chorób nerwowych na Żoliborzu.

Nazywał się dr Będziński i przybył tu w charakterze naczelnika komisji psychiatrycznej dla zbadania niezwykłych fenomenów, których sława dotarła aż do stolicy. — W kilku grzecznych, choć najeżonych ciemnymi dla Gniewosza wyrażeniami zwrotach przedstawił mu doktor doniosłość swego zadania oraz korzyści, jakie mogą stąd wyniknąć dla polskiej nauki, i prosił, by pozwolił komisji zbadać dokładnie teren zjawisk i śledzić ich ewentualny przebieg. Ujęty obietnicą znacznego wynagrodzenia, kowal nie czynił żadnych wstrętów, owszem, nawet ułatwił przeprowadzenie obserwacji, odstępując panom na mieszkanie część swego domu.

Komisja przybyła do Królówki właśnie po jednym z ataków na kuźnię, gdy wyczerpane moce zdawały się odpoczywać i nabierać świeżych sił do nowych dziwnych wy-

czynów. Musieli więc panowie czekać. Lecz nie tracili czasu na marne. Zwłaszcza dr Będziński rozwinął niestrudzoną energię w kierunku skrupulatnego zaznajomienia się z miejscem i ludźmi. Dopytywał się gorliwie o fenomeny dawniejsze, zasięgał informacji u naocznych świadków, spisywał z nimi całe protokoły, robił jakieś notatki, wyciągi, wykresy, grafiki, pomiary itd., itd.

Szpakowaty już, mądrze i chłodno spoza złotych okularów patrzący pan otoczył szczególniejszą opieką Janka, któremu niemal od samego początku okazywał żywe zainteresowanie. Wreszcie po tygodniowym pobycie na kowalówce komisja doczekała się upragnionej chwili. Cierpliwość panów została wynagrodzona sowicie, bo objawy przeszły oczekiwania: w kuźni rozpętało się tym razem istne piekło; aż na drugim końcu wsi słychać było odgłosy szatańskich harców.

— Sam Lucyper chyba zerwał się z łańcucha — mruzczał majster, w gruncie rzeczy zadowolony i czujący się w tej sytuacji jak dyrektor cyrku, dumny z udanego nadspodziewanie programu.

Gdy już było po wszystkim i kuźnia powróciła do normalnego stanu, dr Będziński w imieniu komisji podziękował kowalowi, wypłacił mu przyrzeczoną kwotę, po czym zajął się troskliwie Jankiem, który w jaką godzinę po awanturach nagle zachorzał wśród objawów silnego wyczerpania. Lekarz zbadał mu puls, zajrzał surowo w oczy, opukał, obслуchał i cały promieniejący podzielił się z asystującymi mu kolegami wesolą nowiną, że stwierdził u chłopca typową prostrację<sup>2</sup> po wyładowaniu sił telekinetycznych.

— Panowie — zakończył diagnozę — znaleźliśmy nareszcie kapitalne medium. Zabieramy je z sobą do Warszawy, co?

— Jeśli tylko się panu uda — odpowiedział mu jeden z lekarzy. — Wątpię, czy stary zechce rozstać się z synem.

— Zgodzi się, zgodzi. Błyszczę mu przed oczyma bajeczną karierą syna. Zresztą to podobno znajda i czeladnik kowalski z niego nieszczególny. Wygląda raczej na wiecznie śniącego na jawie marzyciela, a jego właściwości mediumiczne tylko przeszkadzają staremu w pracy. Wyjaśnię to wszystko kowalowi. Zobaczycie, że przystanie na moje warunki.

Dr Będziński nie pomylił się. Szymon wysłuchał uważnie wywodów doktora, poglądził w zamyśleniu parę razy brodę i odpowiedział:

— Musi być prawda, doktorze, kiedy tak powiadacie. I mnie czasem coś jakby mówiło na ucho, że to chłopczyśko maczało palce w tych biesowych sprawkach; ale odpędzałem te myśli jako złe i grzeszne. No, ale teraz to patrzę na rzecz innymi oczyma. Licho go wie, skąd rodem. Ha, może pod ręką waszą, doktorze, wyrośnie z niego coś pożyteczniejszego dla świata. Tutaj w mojej szopie będzie mi tylko zawadzał i wstyd przynosił. Swoją drogą nie poszłoby wam, panie, z tym łatwo, gdyby żyła jeszcze moja, świeć Panie nad jej duszą, żona. Kobieta, wiadomo, zawsze miększe serce miewa i nie dałaby go z domu. Lecz że już od dwóch lat w grobie, więc się nam nie sprzeciwi. No, zgoda! Niech sobie idzie z wami do Warszawy na pański chleb.

I uderzył dłonią w wyciągniętą ku sobie dłoń Będzińskiego.

Nazajutrz rano Janek Gniewosz rozstał się na zawsze z kowalową zagrodą. A w księdze jego przeznaczeń obróciła się znów jedna karta...

## TAJEMNICA OPUSZCZONEJ ZAGRODY

Dr Będziński należał niewątpliwie do najwybitniejszych psychiatrów stolicy. Wielbiciel wielkiego J. Ochorowicza<sup>3</sup>, uczeń szkoły psychiatrycznej paryskiej i wieloletni asystent jednego z kierowników szpitala Salpêtrière<sup>4</sup>, przedstawiał typ uczonego marki najwyższej. Wyposażony w dar chłodnej, wnikliwej analizy, kojarzącej się w wyjątkowy sposób z wrodzoną intuicją, stał się twórcą oryginalnej teorii wiążącej ściśle psychiatrię z metapsychiką. Po długich, żmudnych studiach udało mu się znaleźć punkty przecięcia się tych dwóch kategorii zjawisk i wykazać, że często objawy schorzeń duchowych i fenomeny metapsychiczne przenikają się nawzajem jak dwie siostrzane strugi wytrysłe z jednego źródła.

<sup>2</sup>prostracja — skrajne wyczerpanie psychiczne. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>Ochorowicz, Julian (1850–1917) — filozof i psycholog, początkowo związany z pozytywizmem warszawskim, później zajął się parapsychologią. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>szpital Salpêtrière — zakład psychiatryczny w Paryżu. [przypis edytorski]

Temu też pogładowi odpowiadał kierunek, jaki nadał założonej przez siebie klinice chorób nerwowych na Żoliborzu. Obok pacjentów w ściślejszym tego słowa znaczeniu przebywały w tym świetnie od lat prowadzonym zakładzie też osoby obdarzone anormalnymi właściwościami psychicznymi — wizjonerzy, media, telepaci i w ogóle tzw. sensorywi — ludzie wyjątkowi i rzadcy, których sprowadzenie dla celów eksperymentalnych kosztowało nieraz ogromne sumy.

Pozyskanie Janka Gniewosza uważał Będziński za zdarzenie pierwszej klasy. Z medium o tak znacznej sile telekinetycznej nie spotkał się dotychczas ani razu. Zaobserwowane w kuźni objawy działania na odległość, których autorstwo bez cienia wątpliwości przypisywał młodemu Gniewoszowi, pozwalały spodziewać się niejednej ciekawej rzeczy na przyszłość. Będziński był przekonany, że pod jego umiejętną ręką Janek odpowiednio wydyscyplinowany i wykształcony prześcignie wszystkie dotychczas znane europejskie media i stanie się chlubą polskiego metapsychizmu.

Metoda postępowania, jaką postanowił zastosować do swego pupila, odbiegała znacznie od jego dotychczasowej praktyki. Zasadą naczelną miało być utrzymywanie Janka w granicach możliwości na tym poziomie rozwoju intelektualnego, na jakim stał w chwili obecnej. Chodziło więc oto, by jak najdłużej utrzymać go w stadium pierwotnym, pozostawiając samorzutną ewolucję jego psyche naturze. W tym celu na razie przynajmniej usuwał go Będziński spod wpływu innych ludzi, ograniczając go do minimum przez ściśle odgrodzenie chłopca od reszty świata. Z tych samych pobudek nie dbał na razie o rozwój umysłowy Janka i nie posyłał go do szkół. Wiadomości elementarne, jak czytanie, pisanie i cztery działania rachunkowe, nabyte jeszcze na wsi, miały mu na razie wystarczyć. Przez parę lat Gniewosz wzrastał w ustroni zakładowej jak dziczka w olbrzymim opustoszałym parku. Oddany własnym marzeniom i śnieniom dojrzewał w ciszy samotnych godzin jak roślina pełna ukrytych treści, na dzień swój czekająca.

W pierwszych miesiącach pobytu na Żoliborzu zjawiska telekinezy<sup>5</sup> powtórzyły się w jego obecności parę razy, lubo nie w tak intensywny sposób jak na terenie kuźni. Z czasem stały się coraz radsze. Natomiast zaczęły ujawniać się coraz wyraźniej zdolności ideoplastyczne<sup>6</sup>. Urządzone przez dyrektora kliniki kilkakrotne seanse mediumiczne przy współudziale wybitnych psychiatrów i uczonych dały rezultaty nadzwyczajne. Będziński, zachęcony powodzeniem, powtórzył eksperymenty, a wreszcie wyznaczył jeden dzień w tygodniu, w którym stale miały odbywać się posiedzenia z Jankiem. Gdy do udziału w seansach przypuszczono i laików, młody Gniewosz stał się najpopularniejszą postacią Warszawy; o podobizny jego zabiegały redakcje pierwszorzędnych czasopism. Nazywano go powszechnie Jankiem z Żoliborza.

Już po trzecim seansie, gdy uśpiony przez Będzińskiego chłopak zapadł w głęboki trans, objawy mediumiczne przekroczyły szybko stadium zaczątkowe fenomenów świetlnych i lewitacji i zaczęły zdradzać wyraźną tendencję w kierunku kształtotwórczym. Zrazu ukazywały się tylko luźne strzępy i woale ektoplazmy<sup>7</sup> wywiązujące się spod pach i w okolicy łonowej. Lecz już na szóstym z rzędu posiedzeniu przybrał fluidyczny wysiłek wyraźny kształt rąk, nóg i fragmentów twarzy, by wreszcie skryształizować się w pełną ludzką postać.

Osiągnąwszy ten wysoki szczebel w skali mediumicznych wyczynów, Janek nie schodził już w dół. Przeciwnie — jego zdolności ideoplastyczne pogłębiały się i doskonaliły za każdym nowym eksperymentem. Aż doprowadził do produkowania kilku fantomów równocześnie.

Pamiętną dla Będzińskiego była chwila, gdy z mgławicy fluidycznej wyłonił się pierwszy kształt: postać męczyzny średniego wzrostu o zaciętym wyrazie twarzy. Widmo pochylone naprzód śledziło rozwartymi szeroko oczyma coś przed sobą — coś, co leżało przed nim na ziemi.

Wywabiony raz z niebytu fantom stale pojawiał się na każdym seansie jak protagonista jakiegoś zdarzenia, którego wątki gubiły się w mrokach zaświatów. Z czasem przyłączyły

<sup>5</sup>telekineza (z gr.) — poruszanie przedmiotów na odległość. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>zdolności ideoplastyczne — w parapsychologii: zdolności medium do wytwarzania fantomów. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>ektoplazma — w parapsychologii nazwa substancji, którą miały jakoby wydzielać media, by materializować duchy. [przypis edytorski]

się doń dwa inne fantomy, dwie uderzająco podobne do siebie, wyjątkowo piękne kobiety: siostry zapewne. Patrzyły wrogo na siebie: twarz młodszej, blondynki, kurczyła się spazmem nienawiści, ilekroć oczy jej spotkały się z oczyma tamtej, czarnowłosej.

Mężczyzna jakby ich nie spostrzegwał. Wzrok jego zeszlony przerażeniem wypatrywał wciąż coś przed sobą, coś u swych stóp...

Wysiąknąwszy raz z chaosu bezkształtu, tragiczna trójka powracała odtąd uporczywie na powierzchnię świata zjawisk, stanowiąc motyw przewodni eksperymentów. Ta uporczywość zwróciła uwagę lekarza. Dopatrywał się w niej wskazówki, za którą należało pójść. Tu dr Będziński stanął ponownie na rozstajach swoich teorii, które zastąpiły mu drogę niby rozstawione w kierunkach przeciwnych ramiona dylematu. Albo wszystko było tworem podświadomej sfery duchowej medium, lub też z jego fantazją współdziałały jaźnie z dziedzin zaświatowych. Doktor musiał zdecydować się na jedną z dwóch hipotez: albo przyjąć interpretację animistyczną, nie wychodzącą poza osobą samego medium, lub też, dopuszczając możliwość interwencji sił z tamtego brzegu, przechylić się ku teorii spirytystycznej. Więc zażądał wyjaśnień i drogowskazów. Na jednym z seansów majowych członkowie komisji eksperymentalnej z jego inicjatywy zadali widmom szereg pytań, które miały na celu zbadanie ich życzeń i pragnień. Odpowiedź otrzymano w formie tzw. pisma bezpośredniego. Na tabliczce łupkowej zamkniętej w szufladzie stołu znaleziono po skończonym posiedzeniu następujący komunikat nakreślony kredą:

„Pod 50 st. szerokości północnej i pod 40 st. długości wschodniej”.

Wskazówka była wyraźna. Będziński nie omieszkał z niej skorzystać.

W połowie czerwca w towarzystwie Janka i jednego z przyjaciół lekarzy wyjechał z Warszawy w oznaczonym przez komunikat kierunku. Ostatnią miejscowością w tej stronie, do której docierała jeszcze linia kolejowa, były Węgary, w czystym polu zabłąkana stacyjka. Tu wysiadłszy z pociągu trzej podróżnicy znaleźli się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Jak informował „kierownik ruchu”, zwykły, szary budnik — najbliższa wieś, skąd można było dostać furmankę, była oddalona o dwie opętane mile. Nie pozostawało nic innego jak pójść tam na piechotę. Na szczęście dzień był słoneczny i ciepły, a rozmyte przez wiosenne dżdże drogi podeschły w mierze wystarczającej.

Po czterech godzinach stanęli w Małych Pieckach, cichej, zarytej pomiędzy lasy i wądoły wioszczynie. Tu przenocowali, a nazajutrz o świcie, wynajawszy furę, rozpoczęli bezpośrednie poszukiwania. Dr Będziński, zbrojny w mapę, kompas, sekstans<sup>8</sup> i inne przyrządy orientacyjne niby jakiś kapitan statku, kierował ekspedycją z „kozła” obok woźnicy. Chłopina był trochę zdziwiony tą jazdą na chybił trafił, jak mu się zdawało, tym kluczeniem na wszystkie strony, ale powolny dziwactwu panów z miasta skierowywał konięta to w prawo, to w lewo, wjeżdżał w lasy, „brał” na przełaj bezdroża, przebierał się gwałtem przez chaszczce, zawracał, wykręcał, okrążał, „dryfował”... Aż wyloniwszy się pod wieczór z jakiegoś gęstego jak szczeń boru, wbił siwe oczy w pustą przestrzeń, rozciągającą się teraz przed wozem hen, po krańce widnokregu, i nagle przeżegnał się.

— Chryste Panie — rzekł wskazując biczyskiem jakiś daleki, ciemny punkt na horyzoncie. — Taż my, proszę łaski panów, gdzieś podłe Bańkowej Woli.

— Znacie to miejsce? — zapytał Będziński.

— A jużci, znam. Zatracona to Wola. Ja tam z panami nie pojedę.

— A to dlaczego?

— Tam cosik od lat „zawadza”.

Będziński uśmiechnął się zadowolony.

— Mam wrażenie — objaśnił kolegę lekarza — że nareszcie znaleźliśmy to, czego szukamy. Przyrządy stwierdzają tożsamość miejsca. Za pół godziny będziemy u celu.

— Ja tam nie pojedę — oponował chłopiek.

— Nie bądźcie dzieckiem, panie Mateuszu! Podwieziecie nas na kilometr od tego miejsca i zaczekacie.

Ale pan Mateusz uparł się i na trzecim kilometrze zatrzymał wóz definitywnie. Po długich pertraktacjach stanęło na tym, że panowie pójdą sobie dalej sami, przenocują w Bańkowej Woli, jeśli tak im się podoba, a on, Mateusz, przyjedzie po nich nazajutrz rano i zabierze ich z powrotem z tego miejsca, w którym teraz z wozu wysiedli. Radzi nieradzi

<sup>8</sup>sekstans — przyrząd nawigacyjny. [przypis edytorski]

puścili się piechotą ku mającej przed nimi zagrodzie, podczas gdy woźnica, zaciąwszy konie, skwapliwie pomknął na nocleg ku najbliższemu przysiółkowi, oddalonemu o dobre trzy mile.

Koło siódmej wieczorem „ekspedycja” weszła do wnętrza nawiedzzonego domu. W jednej z izb na prawo znaleziono resztki suszu i zapalono nim w piecu, bo noc zapowiadała się wyjątkowo chłodna. Po kolacji Janek Gniewosz, dziwnie niespokojny od chwili przekroczenia progu domu, zapadł samorzutnie w głęboki trans. Będziński i Przystucki ułożyli go na zarzutkach pod jedną ze ścian i podnieceni nerwowo czekali na rozwój objawów.

Wystąpiły niebawem w tempie szybkim, dramatycznym. Z ciała śpiącego chłopca zaczął wywiązywać się silny mlecznobiały wysiłek, z którego po paru minutach wyodrębniły się dwa wyraźne kształty ludzkie. Poznali je zaraz; była to postać ponurego mężczyzny, tak uparcie powracającego w czasie seansów warszawskich, i fantom jednej z jego towarzyszek: jednej z dwóch siostr, zdaje się młodszej, jasnowłosej.

Pożerali się wzajemnie oczyma, w których tłała żądza. Duszna, ciężka atmosfera zmysłów napęliła wnętrze. Kobieta obnażyła pierś jedną, soczystą jak dojrzały owoc gruszy, i nęciła go ku sobie. Przywarł do niej ustami i objąwszy ją wpół, zaczął zdzierać z niej suknie. Wtedy drzwi od sieni odchyliły się i weszło widmo czarnowłosej. Skokiem pantery przyskoczyła do nich i zadała rywalce cios tak silny pięścią, że tamta zatoczyła się pod ścianę. Mężczyzna chciał jej przyjść z pomocą, lecz czarna zastąpiła mu drogę, piorunując spojrzeniem. Chwilę trwała niema walka. Zwyciężyła kobieta; w poczuciu winy spuścił oczy pod palącym wzrokiem zdradzonej...

Powoli kontury tragicznej trójki zatarły się, zmieszały i zbite w jeden kłęb wsiątkły z powrotem w ciało śpiącego.

— Byliśmy prawdopodobnie świadkami sceny wiarołomstwa małżeńskiego — rzekł Będziński.

— Która rozegrała się w tym domu może przed wiekami — uzupełnił uwagę Przystucki.

— Bardzo być może. Lecz zdaje się fantomy nie wypowiedziały nam jeszcze swego ostatniego słowa. Słyszysz?

Z piersi Janka wydobył się przeciągły jęk.

— Nowa materializacja w toku. Znów wysnuwa się ektoplazma.

Chłopak pod ścianą zniknął osnuty mgławicą. Po kilku minutach ukształtowała się postać jasnowłosej z niemowlęciem na ręku. Młoda matka zapatrzona w twarzyczkę dziecka dawała mu piersi. Obok wyłonił się fantom szwagra-kochanka. Oczy ich spotkały się, zapłonęły jak żagwie i nagle łagodne już i tkliwe przeniosły się na dziecko — ich dziecko. Lecz na pochylone nad owocem grzechu głowy tych dwojga spływały skądś z góry zabójcze spojrzenia tamtej — żony...

I znów zmienił się obraz. W pustej izbie pod oknem kołyska, a w niej dziecię igrające nóżkami Na dworze upalny, skwarny dzień. Lekki wicherek przekrada się do wnętrza przez otwarte okno i swywoili z jasnymi kędziorkami na głowie dzieciny. W ciszy letniego południa słychać gorączkową pracę rydla. Ktoś kopie dół głęboki tuż pod samym oknem. Nagle w ramach jego ukazuje się para rąk kobiecych i poprzez parapet sięga drapieżnie kołyski — szuka dziecka. — Znalazła, chwyciła i uniosła ze sobą na tamtą stronę okna. Cichutka skarga dławionego pisklęcia, krótki stęk rzuconego w dół ciała i znów gorliwa, zapamiętała praca ryskała. Spełniło się...

Szczęło widmo pustej kołyski, zgłuchł upiorny odgłos kopania i z woalów fluidycznej magmy wyszły Jasna i Czarna. Twarze wykrzywione nienawiścią, głowy dwóch Gorgon<sup>9</sup> w węzowisku rozczochranych włosów, ręce zbrojne w noże. Czarna, kilkakrotnie raniona, widocznie ślania się... Broń wypada z rozkurczonych palców. Jasna wyzyskuje moment. Chwyta ją jedną ręką za włosy, okręca je sobie dookoła dłoni, a drugą ręką wbija sióstrze nóż po trzonek w serce. Pomściła krew dziecka...

Wszystko zmętniało, rozsnuło się na przędze, wątki, nici. I znów tylko pusta, ciężarna echami zbrodni izba...

<sup>9</sup>Gorgony (mit. gr.) — trzy siostry: Steno, Euryale i Meduza, potwory przedstawiane ze skrzydłami, z kłami dzika i węzami zamiast włosów; spojrzeniem obracały wszystko w kamień. [przypis edytorski]

Ponowny jęk śpiącego zapowiadał epilog. Pasma ektoplazmy ułożyły się teraz niby jakiś kulisy w obraz wnętrza szopy. W jej środku, ze stragarza, co skośną belką biegł popod dachem, zwisnął sznur zwinięty w pętlę. Może dwa metry nad klepiskiem. Jakiś czas wahał się tam i sam w podmuchach wiatru. Wtem zeszywniał, sprężył się jak struna pod ciężarem. Zważyło się na nim ciało Jasnowłosej...

W pośrodku izby stoi on — mąż, kochanek i ojciec. Stoi i patrzy na zwłoki u swych stóp — na grzeszne, cudne, sine usta i parę jasnych jak pszenica w polu warkoczy. Taki to koniec ich kochania...

Schyła się i siekierą odbija deski podłogi. Pod podłogą dół czarny jak grób. Spycha weń ciało na wieczny spoczynek. A potem z siekierą na plecach wychodzi w świat z przeklętego domu...

Wnętrze zasnęło się strzępami mgławic, zakłębiło od skrętów plazmy. Powoli tajemnicza substancja odwołana wołą śpiącego wróciła posłusznie do ciała i wśliznęła się jak wąż w macierzyste podglebie. Gniewosz westchnął i obudził się.

---

Dr Będziński nie od razu wrócił do Warszawy. Nazajutrz po rewelacyjnej nocy, pozostawiwszy na miejscu swych towarzyszy, kazał się zawieźć Mateuszowi do stacji kolejowej na Węgarach. Tu kupił bilet do Borchowic i po dwóch godzinach jazdy znalazł się w nędznej, zapadłej mieścinie, oddalonej od Bańkowej Woli o mil kilkanaście. Tu po upływie kilku już minut udało mu się zwerbować niejakiego Zbychonia, wyrobnika, który za umiarkowaną cenę zgodził się pojechać z nim we wskazanym kierunku i podjąć się wyznaczonej sobie na miejscu pracy. Oczywiście Będziński nie wtajemniczał go w szczegóły, bo nie chciał odstraszyć. Na szczęście w Borchowcach nikt nic nie wiedział o Bańkowej Woli. Zła sława zagrody jeszcze tu nie dotarła. Było na to za daleko.

Po ubiciu interesu ze Zbychoniem zwrócił się Będziński do władz miejscowych i krótko przedstawił cel swej wyprawy. Wysłuchano go z niedowierzaniem i odcieniem ironii. Lecz że był lekarzem z Warszawy i w dodatku kierownikiem znanego zakładu, więc pan prezydent miasta wstrzymał się od uwag i na życzenie doktora oddał mu do dyspozycji w charakterze świadka z urzędu komisarza miejscowej policji.

Będziński bezzwłocznie wrócił z dwoma nowymi towarzyszami do Bańkowej Woli. Tu zastał wszystko w porządku. Noc po jego wyjeździe upłynęła spokojnie, a Przysłucki wraz z Gniewoszem wyglądali zdrowo i należycie wypoczęci.

Komisarz Małowiejski uśmiechał się sceptycznie i pokpiwał półgębkiem z całej imprezy.

— Zaraz się przekonamy — odpowiadał mu spokojnie Będziński.

Jakoż po południu polecił Zbychoniowi kopać pod oknem prawej izby. Po paru uderzeniach rydlem wyrobnik natknął na szczątki spróchniałych już i rozsypujących się na proch kości. Zebrał je starannie i złożył w skrzynce przygotowanej już uprzednio przez doktora.

— Musi być trupek dziecka — rzekł patrząc na kupkę wątlých, żółkłych kosteczek. — Cieniutkie to i kruche jak u ptaszka.

Małowiejski przestał uśmiechać się i z namarszczonymi brwiami spisywał protokół wizji lokalnej.

Przeszli do wnętrza izby.

— Proszę oderwać deski podłogi! — wydał polecenie Będziński. — Tu, w samym środku.

Zazgrzytały rdzawe gwoździe podważone przez siekierę, posypała się strupieszala troć desek i w dole spod warstwy pyłów i kurzu zabielały dwa ludzkie szkielety.

— Kobiety — stwierdził Przysłucki, wskazując na szerokie, charakterystyczne kości miednicowe. — Wszystko sprawdzone co do joty.

Komisarz „zamknął” protokół i podsunął go obecnym do podpisania. Zbychoń zamiast nazwiska nakreślił znak krzyża.

---

W dwa dni potem odbył się pogrzeb. Szczątki niemowlęcia pochowano na cmentarzu w Przylaszczce, najbliższym zagrody przysiółku, a obok, poza jego obrębem, matkę

i ciotkę. Nad mogiłami proboszcz miejscowy odmówił modlitwy za zmarłych i pokropił ziemię święconą wodą. Ponadto na prośbę okolicznych chłopów odprawił przez trzy dni z rzędu mszę żałobną na intencję świeżo pogrzebanych kobiet i dziecka oraz mężczyzny, którego zwłok nie zdołano znaleźć.

Tak spełniło się po latach, może po wiekach, ich jedyne pragnienie. Tamtych troje spoczęło w poświęconej ziemi, a duszę potępieńca wspomnieli w modlitwach współbracia. Odtąd zły czar stracił moc swą nad Bańkową Wolą i przestało straszyć w opuszczonym domu.

Z czasem pusta okolica znów zaludniła się. Pobudowały się chałupy, zmierzwiły ugory, zakwitły sady, a na miejscu dawnej zagrody stanęła u rozstaju dróg cicha, śródpolna kaplica...

---

Przed samym wyjazdem z Bańkowej Woli Janek Gniewosz znalazł w kącie izby chusteczkę koronkową z inicjałami W. O. Patrzył długo zamyślony na ten drobny, pyłem lat zakurzony płatek batysty i nagle w przystępie dziwnego wzruszenia przycisnął go do ust. Potem schował jak relikwię na piersi.

## KRYSTYNA

Wyprawa do Bańkowej Woli stanowiła punkt zwrotny w ewolucji mediumizmu u Gniewosza. Po powrocie do Warszawy przestały zjawiać się w czasie seansów fantomy trojga związanych tragiczną tajemnicą ludzi, jakby na dowód, że misja Janka w stosunku do nich skończona. Natomiast rozwinęła się inna kategoria objawów. Rodowód ich był nieuchwytny; wyglądały na wytwory fantazji śpiącego, na kapryśne wykwity pierwotnej, puszczonej samopas wyobraźni. Charakterystyczną cechą była ich malarskość. Jakieś gnomy brodate, pokraczne chochliki, fauny, koźlce, dziwożony, strzygi z dwuznacznym uśmiechem na pyzatyh twarzach. Postacie tego „bractwa dziwnego nabożeństwa”. Jak je nazywał Będziński, występowały bądź w pojedynkę, bądź w najrozmaitszych kombinacjach i zespołach. Gdy medium było usposobione, wytwarzały się istne korowody tych widm, które w takt niedosłyszalnej muzyki rzucały się w taneczne płąsy. Kiedy indziej grały między sobą w „chowanego”. Roześmiane jak leśne łobuzy, skrzaty i boginki kryły się po kątach „gabinetu”, wlażyły za kotarę, wyzierały figlarnie spoza firanek i draperii lub przekomarzały się nawzajem, przebierając palcami niby pistonami klarnetu na nosach.

Będziński widział w tym wszystkim tylko projekcje wyobraźni Janka, w których po-brzmiewały echa zasłyszanych w dzieciństwie ludowych klechd i opowieści. Przysłucki, stały uczestnik tych seansów, był nieco odmiennego zdania. Według niego podłoża tych zjaw należało szukać w świecie żywiołów przyrody, w czymś bardziej realnym niż kapryśna gra fantazji.

W każdym razie Gniewosz wchodził niedwuznacznie w nową i nadzwyczaj ciekawą fazę teleplastii<sup>10</sup>.

Obfitość i nasycenie wydzielanej z jego organizmu ektoplazmy były tak wielkie, że umożliwiały Będzińskiemu szczegółowe zbadanie jego składu chemicznego. Substancja o charakterze galaretowatym miała barwę szarobiałego śluzu, który pod mikroskopem przedstawił się jako połączenie pierwiastków wchodzących w skład ciała ludzkiego, ale w stanie koloidalnym<sup>11</sup>. Teleplastia polegała zatem jakby na dwóch momentach; jednym z nich był proces „rozpuszczania”, dezagregacji<sup>12</sup>, i „uźroczenia<sup>13</sup>” ciała fizycznego medium, drugim proces ponownego scałkowania i konsolidacji, lecz w kształt odmienny. Gniewosz postępował jak rzeźbiarz — tylko materiałem, z którego stwarzał swe kreacje, była nie glina, lecz jego własne, w tajemniczy sposób przeobrażone ciało. Taki był pogląd Będzińskiego.

---

<sup>10</sup>teleplastia (z gr.) — zdolność wytwarzania fantomów. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>w stanie koloidalnym — w formie zawiesiny. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>dezagregacja (z łac.) — rozpad. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>uźroczyć — uczynić przezroczystym. [przypis edytorski]



Natomiast Przysłucki uważał tzw. teleplazmę<sup>14</sup> wysiłekającą z organizmu Janka za substancję *sui generis*<sup>15</sup>, pół fizyczną, pół eteryczną, związaną wprawdzie z ciałem fizycznym, lecz od niego odrębną i swoistą, która w transie oddzielała się w postaci wysięku i podlegała kształtotwórczej woli marzącego medium. Znamienny ubytek ciężaru, jaki dawał się przy tym zauważyć u Gniewosza, oraz znikanie nieraz całych partii jego ciała przypisywał kolega Będzińskiego znacznej utracie tej właśnie teleplazmy — uźrocza<sup>16</sup>, która w stanie normalnym tworzy u człowieka nierozłączną całość z jego ciałem fizycznym i wpływa na jego ważkość i tężyznę.

Chodziło jeszcze o określenie roli samego medium w procesie kształtowania fantomów. I pod tym względem hipotezy obu lekarzy różniły się. Będziński uważał wszystko za dzieło podświadomej pracy medium, za wytwór jego wyobraźni — Przysłucki dopuszczał możliwość interwencji i współdziałania jaźni bezcielesnych, zaświatowych, a nawet wpływ tzw. elementów, czyli duchów żywiołów. Przyjaciel Będzińskiego szedł jeszcze dalej, dopatrując się w niektórych zjawiskach tzw. larw-jednodniówek, zwiewnych, efemerycznych stworów, blakających się po świecie strzępów ludzkich myśli i namiętności, wibracji kosmicznego astrosomu<sup>17</sup> chwilowo zgęszczonych w kształty dzięki teleplazmie medium.

Tak czy owak — obaj lekarze stali przed zagadką. W czasie seansów z Jankiem Gniewoszem rozchylały się przed nimi na parę godzin tajemnicze kotary i ukazywały się dalekie, acz mgliste perspektywy. Pełni zdumienia byli świadkami paradoksalnego dziewicorództwa. Jakiejś niebywalej partenogenezy<sup>18</sup> kształtów ludzkich, zwierzęcych, czasem obojniczych, narodzin organizmów pulsujących krwią — nie zawdzięczających chwilowego życia połączeniu dwóch płci efemeryd. Ta właśnie niezależność od aktu seksualnego i płci, ta samowystarczalność medium naprowadzała na nowe, ciekawe hipotezy.

Bo znamienną cechą mediumizmu jest właśnie to, że samodzielnym rodzicem kształtów może być zarówno mężczyzna jak kobieta, że akt mediumicznego stwarzania odbywa się bez spółki cielesnej. Niemniej charakterystycznym jest fakt, zaobserwowany niejednokrotnie, że media osłabiają swe szczególne właściwości przez stosunki płciowe. Zwłaszcza kobiety tracą często zupełnie medialność po wstąpieniu w związki małżeńskie. Przyroda zdaje się postępować nader ekonomicznie. Nie znosi rozpraszania swej energii twórczej w dwóch równocześnie kierunkach. Rozkosz łączenia się z płcią drugą każe okupywać utratą zdolności mediumicznych.

Dlatego Będziński otoczył troskliwą opieką życie płciowe swego wychowanka i czuwał nad tym, by przedwczesne jego rozbudzenie nie zaszkodziło ewolucji władz medialnych. W tym celu usuwał z jego drogi wszystko, co mogło być bodźcem do zachceń płciowych. Stąd atmosferę, jaką otoczył Gniewosza, znamionowały chłód i cisza niemal klasztorne, wikt jarski, twarde łoże, higiena ciała surowa, pedantyczna, częste zimne kąpiele, tryb życia spartański.

W takich warunkach Janek przekroczył szczęśliwie Rubikon pokwitania i cichy, chłodny, beznamiętny doszedł swoich lat 24. Lecz tu organizm upomniał się o swoje prawa. Tłumiona i oszukiwana wszelkimi sposobami płeć pewnego dnia zbuntowała się.

Tą, która przyczyniła się do tego bezpośrednio, była Różia, córka zakładowego ogrodnika, 16-letnia, brzydka i pozbawiona wdzięku kobiecego dziewczyna. Po raz pierwszy zwrócił na nią Gniewosz uwagę w czasie jednej ze swych samotnych przechadzek po parku zakładowym. Pochylona nad klombem pełła chwast i zielsko. Gdy przechodził koło niej, nie wiadomo, przypadkiem czy naumyślnie, cofnęła się na ścieżkę i uderzyła go biodrem. Wskutek tego zderzenia straciła równowagę i odruchowo chwyciła go powyżej uda.

— Olaboga! — zawołała, prostując się i cofając rękę, cała w płomieniach. — Mało brakowało, a byłabym panicza przewróciła na trawnik.

Wtedy Gniewosz spostrzegł, że dziewczyna ma piękny, wydatny biust i szerokie biodra.

<sup>14</sup>teleplazma — inne określenie ektoplazmy. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*sui generis* (łac.) — swego rodzaju. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>uźrocze — tu: przejrzysta ektoplazma. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>astrosoma (gr.) — ciało astralne. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>partenogeneza (z gr.) — dziewicorództwo, rozród bez udziału partnera odmiennej płci. [przypis edytorski]

— Nic nie szkodzi.

I ulegając nieodpartemu musowi, zaczął przesuwac dłoń po jej piersiach. Stała drżąca, spłonioma i ze spuszczonej oczyma poddawała się pieścizocie. Nagle jak spłoszona lania uciekla w stronę ojcowskiego domostwa.

Odtąd spotykali się w parku codziennie, aż pewnego wieczora w zacisznej alei bżów i jaśminu, na podścielisku traw i ziół oddała mu się z żywiołową pasją natur młodych i zdrowych. Był pierwszym i wziął ją dziewicą.

Nazajutrz odbył się seans w obecności szerszego grona uczestników i wypadł fatalnie. Prócz skąpych fenomenów świetlnych nie zdołał Gniewosz wyprodukować żadnych znaczniejszych objawów. Będziński był przygnębiony. Czyżby zmierzch mediumizmu?

Wieczorem tego dnia zdarzył się przykry wypadek. Córka ogrodnika złamała nogę, i to tak nieszczęśliwie, że musiano ją bezzwłocznie przewieźć do szpitala. Następnego dnia, zaraz po złożeniu złamanej nogi, odwiedził ją Janek Gniewosz. Różia, wzruszona, ze łzami w oczach dziękowała mu za pamięć, tuląc do piersi pomarańcze, które jej przyniósł. Zaszedł ich na tym ogrodnik. Spojrzał surowo na córkę, badawczo na pupila swego chlebobdawcy i milcząc odszedł. Po powrocie ze szpitala miał Gniewosz po ras pierwszy ciężką przeprawę ze swym opiekunem. Będziński kategorycznie zabronił mu dalszych wizyt u Rózi.

Gdy w sześć tygodni potem dziewczyna dźwignęła się z łóżka, ojciec wywiózł ją z Warszawy gdzieś na odległą prowincję, gdzie słuch o niej zaginął. Taki miała epilog pierwsza miłość Janka Gniewosza. Pozostały mu po niej naloty melancholii zmieszanej z uczuciem wewnętrznych wyzwolin. Ten pierwszy stosunek z kobietą podziałał dodatnio na rozwój jego osobowości; zelektryzował, rozbudził go duchowo. Teraz dopiero uczuł się pełnym człowiekiem. Drzemający instynkt przyszedł do głosu i zaczął domagać się zaspokojenia swych potrzeb. Ujawnił się na nim raz jeszcze potężny wpływ życia seksualnego na ewolucję duszy, uwypukliła się ważna rola bodźca, jaką odgrywa płęć w historii człowieka.

Gniewosz zaczął intensywnie uczyć się. Poważne luki, jakie zauważył w swym dotychczasowym wykształceniu, zawstydziły go. Musiał to nadrobić. Rwał się do gorączkowej pracy nad sobą, pożerał książki, ślęczał dniami i nocami nad zawilými problemami matematyki. Bo ta dziedzina wiedzy najsilniej go pociągała. Łatwość przyswajania sobie nowych wiadomości miał olbrzymią, zdumiewającą; zdawał się nie uczyć, lecz przypominać sobie rzeczy już dawniej skądś znane. W ciągu roku „dogonił”, a nawet prześcignął rówieśników, którzy w latach poprzednich oddawali się normalnym studiom.

Będziński teraz już nie stawiał mu pod tym względem żadnych przeszkód; owszem, ułatwiał zadanie, sprowadzał potrzebne dzieła, udostępniał korzystanie z bibliotek. Spodziewał się, że w ten sposób przynajmniej na czas pewien odwróci jego uwagę od kobiet. To, co przedtem chciał osiągnąć przez izolację, obecnie zamierzał uzyskać przy pomocy intensywnej pracy. Chłodna i beznamiętna atmosfera wiedzy i nauki miała stanowić przepońę ochronną, odgradzającą młodego człowieka od ponęt niewieściego ciała.

Równolegle do wzmożonego tempa życia duchowego szedł rozwój fizyczny. Gniewosz oddawał się namiętnie sportom i wkrótce okazał i w tym kierunku rekordowe zdolności. Wyrobił się na pierwszorzędnego pływaka, strzelał jak mistrz i opanował świetnie arkaną boksu. Doszedłszy do lat 26, przedstawiał typ doskonale rozwiniętego pod względem psychofizycznym młodzieńca; piękny, gibki, elastyczny, z dumną, patrycjuszowską twarzą, zwracał uwagę kobiet i niejedno ciche westchnienie biegło za nim w ślad, gdy przechodził mimo spokojny i zamyślony.

Będziński był z niego w tym czasie zadowolony. Osłabiony chwilowo epizodem miłosnym mediumizm odzyskał dawną siłę i Janek zadziwiał znów niezwykłym bogactwem i plastyką wyłonionych z siebie fantomów. Sława jego przedostała się nawet za granicę i coraz częściej odwiedzali Będzińskiego uczeni mediumiści rozmaitych narodowości, by zapoznać się osobiście z jego niezwykłym wychowankiem. W końcu doktor postanowił urządzić z nim dłuższe *tournée* po Europie.

Lecz zanim zdołał zrealizować ten plan, zaszło w życiu uczuciowym Gniewosza nowe ważne zdarzenie, które przyczyniło się w znacznej mierze do jego dalszej emancypacji i stało się zarzewiem buntu przeciw narzuconej mu przez opiekuna roli.

Do grona gorliwych uczestników seansów w domu dr. Będzińskiego należała między innymi pani Krystyna Ślaska, wdowa po inżynierze, mimo swych lat 42 wciąż czarująca piękna i ponętna kobieta. Należała do coraz radszego dziś typu kobiet z charakterem; po tragicznej śmierci męża lat temu dwadzieścia kilka nie wstąpiła w powtarzalne związki małżeńskie, chociaż wśród jej konkurentów było kilku, których by jej pozazdrościła niejedna panna. Miłość do niezapomnianego Władka przetrwała zwycięsko lata wdowiej samotności, przeszła nieskalana przez tzw. okres niebezpieczny i w chwili poznania Gniewosza święciła melancholijne gody pięknej, acz smętnej jesieni. Wytworna, skupiona w sobie, w skromnej czarnej sukience szła pani Krystyna przez życie zapatrzona w miraż szczęścia, co minęło.

I do wzięcia udziału w seansach pociągnęła ją nie zwykła ciekawość czy żądza sensacji, lecz głucha, sama przed sobą nie śmiejąca się przyznać nadzieja, że może ujrzy widmo ukochanego.

Wyjątkowe powodzenie eksperymentów Będzińskiego i zapewnienia znajomych i krewnych, którzy widzieli cienie swych drogich zmarłych, zdecydowały o pierwszym jej kroku na tej drodze. Odtąd była stałym gościem Będzińskiego i w ciągu trzech lat nie opuściła ani jednego posiedzenia.

A jednak ani razu nie udało się Gniewoszewi spełnić jej najgorętszego życzenia. Ani razu wśród tłumu fantomów nie przesunął się cień śp. inżyniera Ślaskiego. Niepowodzenie nie zniechęciło pani Krystyny: „opór zaświatów” podniecił tylko jej tęsknotę do przełamania nieubłaganej bariery i wdarcia się w dziedziny tamtego brzegu.

Jakie żywiła wtedy uczucia dla Gniewosza?

Prawdopodobnie nie zdawała sobie z nich jasno sprawy. Zdaje się, nie wychodziły poza linię sympatii dla medium, które miało zrealizować jej marzenie. Otaczała go troskliwą życzliwością o akcentach niekiedy żywszych, jakby macierzyńskich. Ze względu na różnicę ich wieku był to objaw naturalny i nie budził podejrzeń.

Inaczej rzecz miała się z Gniewoszem. — W pierwszym roku znajomości nie zajmował się nią wcale; była mu obojętna jak tyle innych postaci kobiecych, które przewinęły się w czasie seansów przez gabinet doktora. Nie rozbudzony jeszcze pod względem erotycznym młodzieniec okazywał pięknej, w żalobie chodzącej pani chłodny, pełen należącego dystansu respekt. Dzielił ich wtedy czarny woal smutku, którym pani Krystyna odgrodziła się od świata i ludzi.

Potem przyszedł epizod z Rózią i jego następstwa. Odtąd zaczął Gniewosz poświęcać kobietom więcej uwagi. Powoli ześrodkował ją na wdowie po inżynierze Ślaskim. Może dlatego, że zainteresowanie dla niej musiało przybrać charakter cichego podziwu i tym samym przesłoniło mu podłoże zmysłowe, którego się lękał. Może też pociągnęło go ku niej coś innego, głębszego — jakieś szczególne, tajemnicze powinowactwo...

W każdym razie w parę miesięcy po wywiezieniu córki ogrodnika z Warszawy dotychczasowy stosunek między Krystyną i Jankiem uległ wyraźnej zmianie. Zbliżyli się ku sobie, spoufalili, polubili. On kładł jej pod stopy dyskretną, wstydliwą adorację, ona otaczała go macierzyńską sympatią i troskliwością. Po pewnym czasie Janek zaczął doznawać uczucia gniewu na myśl, że Krystyna widzi w nim tylko narzędzie, dzięki któremu spodziewa się nawiązać kontakt ze śp. mężem.

Co za szczęśliwy człowiek! — myślał, analizując swój stosunek do pięknej wdowy. — Co za rozkosz wzbudzić uczucie u takiej kobiety!

I szczerze zazdrościł zmarłemu. Niemniej umiał zdobyć się na bezinteresowność i nie szczędził wysiłków, by spełnić to, co uważał za jedyne jej pragnienie. W tajemnicy przed nią zdobył nawet fotografię Ślaskiego i wpatrywał się w nią godzinami, by przepoić się jego „aurą” i w ten sposób wciągnąć go w krąg materializacji. Lecz i to zawiodło. Duch inżyniera nie przekroczył rubieży zaświatów.

Mimo to, a może właśnie dlatego, pani Krystyna darzyła Gniewosza coraz serdeczniejszą sympatią. Przyjmował jej objawy oszołomiony, szczęśliwy, nie dowierzający. W uczucie uwielbienia powoli przesączyły się pierwsze dreszcze namiętności. Zupełnie przypadkowe zetknięcie się podczas seansu z jej piersią wzniciło pożar. Gniewosz pokochał panią Ślaską całym żarem pierwszej, wielkiej miłości.

Spostrzegła to i nie usunęła się. Los czy przypadek przyszedł im z pomocą.

Któregoś dnia Będziński zaproponował pani Śląskiej, by urządzić seans w jej domu.

— Może otoczenie, w którym przebywał śp. mąż pani, wpłynie dodatnio na medium i ułatwi mu zadanie.

Pani Krystyna przyjęła propozycję z nieukrywaniem zadowoleniem. W słoneczne czerwcowe popołudnie zebrało się w zacisznej wilce przy ul. Leśnej szczupłe grono uczestników seansu. Ponieważ posiedzenie miało charakter czysto prywatny, przypuszczono do współudziału tylko parę osób, i to z koła najbliższych znajomych. Świat naukowy reprezentowali tylko Będziński i Przysłucki.

Po zapuszczeniu stor i podwójnych żaluzji Będziński utworzył z obecnych mediumicznych łańcuch. Postać Gniewosza rysowała się wyraźnie na tle ściany powleczonej fosforyzującą zielono emulsją. Był zdenerwowany i nie od razu zapadł w trans. Dopiero po półgodzinnej interwencji doktora nastąpił pożądaný stan. I nie zaraz wystąpiły objawy. Minęła dobra godzina, zanim z ciała medium zaczęły wywiązywać się pierwsze taśmy ekto plazmy. Janek wystawiał dziś cierpliwość uczestników na dłuższą próbę. Będziński irytował się i co chwila spoglądał na zegarek. Miał dziś jeszcze wieczorem referat w Towarzystwie Lekarskim. Wreszcie utworzył się fantom kobiety w fantastycznym, wschodnim zawoju. Widmo wsparte ramieniem o Gniewosza z łagodnym, mgłą smutku zawoalowanym uśmiechem przesunęło spojrzenie po obecnych i zatrzymało na pani Zbąskiej. Chwilę trwało milczenie. Wtem odezwał się nabrzmiały na pół radością, na pół trwogą okrzyk:

— Sławciu! Sławeczko moja!

Pani Zbąska, niepomna na surowy zakaz Będzińskiego, porwana nieodpartym odruchem macierzyńskiego serca przerwała łańcuch i rzuciła się ku widmu zmarłego przed rokiem dziecka.

— Sławuniu moja najdroższa! — zalkała cicho, ujmując w swe dłonie wyciągniętą ku sobie rękę córki.

Z ust Gniewosza wypłynęła skarga. Fantom zawahał się, zmącił i zaczął szybko rozkładać się. Po chwili wsiąkł z powrotem w organizm śpiącego.

— Co pani zrobiła najlepszego? — zgromił Będziński drżącą od wzruszenia matkę.  
— Czy pani nie wie o tym, że medium może to ciężko odchorować?

I zajął się gorliwie budzącym się już Jankiem.

— Może go przenieść na sofkę do sąsiedniego pokoju? — zaproponowała wpatrzona z niepokojem w twarz Gniewosza pani Krystyna.

Będziński przyznał jej rację.

— Będzie to nawet rzeczą bardzo wskazaną. Przysłucki, pomóż mi z łaski swojej.

Obaj lekarze lekko unieśli z krzesła półprzytomnego Janka i przy pomocy pani Krystyny, podtrzymującej mu głowę, złożyli go na szezlongu w przyległej sypialni.

Przestraszeni nieprzewidzianym zajściem goście cichaczem usunęli się. Tymczasem Gniewosz odzyskał przytomność.

— Jak się czujesz? — badał go opiekun. — Nic nie boli?

— Trochę tylko prawa ręka w przegubie — skarżył się Gniewosz, dźwigając się z postania.

— No, no, tylko nie tak żwawo, mój kochany! Popatrz, Tadek, jak wygląda nadwyżenie ciała fizycznego wskutek utraty pewnego *quantum*<sup>19</sup> teleplazmy.

Przysłucki pochylił się nad ręką chorego i pilnie przypatrywał się miejscu wskazanemu przez kolegę.

— Istotnie, ubytek musi być znaczny. Wygląda na redukcję kilku kolonii komórek.

Będziński poklepał Gniewosza po ramieniu.

— Wyliżemy się z tego za parę dni. Przypuszczałem, że będzie znacznie gorzej. Na przyszłość będę ostrożniejszy w wyborze uczestników posiedzeń i w stosowaniu środków ochronnych.

Spojrzał na zegarek.

— Czas na mnie najwyższy. Za kwadrans mam odczyt. Tadek, bądź łaskaw zająć się tymczasem Jankiem aż do jutra rano. Ewentualnie przewieź go autem do naszego zakładu.

— Przepraszam łaskawą panią za nieudały seans i tyle kłopotu — zwrócił się na pożegnanie do pani domu. — Lecz nie nasza w tym wina. Chcieliśmy jak najlepiej.

<sup>19</sup>*quantum* (łac.) — pewna ilość. [przypis edytorski]

Pani Śląska podała mu rękę z uśmiechem na rozpogodzonej twarzy.

— Ależ, doktorze, na co te usprawiedliwienia? Więc rzeczywiście nic niebezpiecznego?

— Jestem o niego najzupełniej spokojny. Najdalej za osiem dni odbywamy powtórny seans w domu łaskawej pani.

Pocałował ją w rękę.

— *Adieu*, moi panowie! Do widzenia, do jutra!

Zostali we trójkę. Gniewosz zupełnie już przewyciężył osłabienie i wodził oczyma za inżynierową. Przysłucki zaczął naglić do powrotu.

— Czy szanowna pani nie mogłaby posłać służącej po auto dla nas?

Pani Krystyna zaprzeczyła gestem.

— Skąd ten pośpiech? Czy panom tak źle u mnie? Zjemy wpierw razem małą kolacyjkę, a potem pošlę Mariannę po auto. Tylko bardzo proszę! Nie oponować, doktorze! Dziś ja biorę pana Janka pod kuratelę. Jesteście panowie w moim domu.

Uśmiech, którym poparła te słowa, był tak ujmujący, że rozbroił nawet stanowczego doktora. Zastali na kolacji. Gniewosz jadł z apetytem, posługując się wyłącznie lewą ręką, bo prawa trochę mu jeszcze dokuczwała. Mówił mało, zajęty obserwowaniem pani domu i jej otoczenia. W połowie wieczery weszła służąca z listem do Przysłuckiego. Doktor zdziwił się.

— I tu mnie znaleźli! Ciekaw jestem bardzo, od kogo.

Rozdarł kopertę i szybko przeczytał pismo.

— Muszę natychmiast jechać — rzekł, powstając od stołu. — To od Będzińskiego. Jestem mu w tej chwili niezbędnie potrzebny. Panie Janku, wyruszamy! Szanowna pani wybaczy, że tak w połowie kolacji...

Gniewosz niechętnie odsunął już krzesło. Inżynierowa położyła mu łagodnie, lecz stanowczo rękę na ramieniu.

— Za pozwoleniem, panie doktorze. Pana Gniewosza zatrzymam jeszcze przez chwilę. Obowiązkiem przynajmniej jednego z panów jest dotrzymać mi towarzystwa do końca. Zresztą pan Janek wygląda mi jeszcze jakiś błądy i musi jeszcze trochę wypocząć. Odstawię go sama panom na miejsce.

Po krótkim wahaniu lekarz ustąpił i odjechał sam. Gdy Śląska wróciła z przedpokoju do jadalni, zastała Gniewosza przed portretem męża zawieszonym na ścianie pod oknem.

— Piękny mężczyzna — mówił zamyślony. — I szczęśliwy — dodał, patrząc jej głęboko w oczy.

Uśmiechnęła się z goryczą.

— Niech pan nie bluźni. Umarł tak młodo. Miał zaledwie trzydzieści lat Żyliśmy ze sobą tylko cztery miesiące.

Gniewosz przystąpił do niej i ujął łagodnie jej rękę.

— Biedna — powtórzył parę razy cicho. — Choroba?

— Nieszczęśliwy wypadek. Umarł nagle przy budowie.

Puścił jej rękę.

— Dawno?

— Dwadzieścia sześć lat temu.

Znów spojrzął jej w twarz z serdecznym współczuciem.

— Ile pani musiała przecierpieć! Taka młoda, dziecko prawie.

— Tak. Wychodząc za męża, miałam zaledwie 16 lat.

Uśmiechnęła się smutno.

— A dziś jestem już starą babą.

Gniewosz zachnął się jak pod razem szpicruty.

— Nie wolno pani tak mówić! — rzekł podniesionym niemal do krzyku głosem. — Jest pani przepiękną, rozkoszną kobietą, której zazdroszą urody młode dziewczęta.

Odpowiedział mu ciepły, miękki uścisk jej ręki.

— Tak, tak... dwadzieścia sześć lat temu... Właśnie tyle liczy pan sobie teraz, nieprawdaż?

Popatrzył na nią ze skupioną uwagą.

— Tak — to mój wiek obecny. — Dlaczego zrobiła pani to zestawienie?

— Nie wiem. Tak jakoś mimo woli. Czasem zjawiają się na ustach naszych słowa podobne do kaprysów przypadku... Ale zapomnieliśmy zupełnie o naszej kolacji. Trzeba ją skończyć.

— Wybacz pani, ale nie mogę. Skorzystałem tylko ze sposobności, by spędzić w jej towarzystwie chwil parę bez świadków. Pani nawet nie przeczuwa, czym są dla mnie te chwile...

Wstrzymała go spojrzeniem.

— Jeszcze nie, jeszcze nie teraz — błagały jej oczy.

Więc umilkł wzruszony.

— Ale po kieliszku marsali możemy jeszcze wypić? — przerwała kłopotliwe milczenie i podeszła do kredensu.

— Ten satyr wciąż tak samo się śmieje — usłyszała za sobą głos jego równy, senny, jakby nagle zautomatyzowany.

Zadrżała i wypuściła z rąk butelkę. Brzękło szkło i szlachetny trunek rozlał się pomarańczowobrunatną wstęgą po dywanie.

— Co pan powiedział?

— Ten satyr wciąż tak samo się śmieje — powtórzył jak automat, wpatrzony w wizerunek greckiego półbożka na jednym ze skrzydeł kredensu.

— Czy pan wie, co pan powiedział, panie Janku?

Zapytał ją niemo oczyma.

— Powtórzył pan dwukrotnie uwagę, którą zawsze robił mój mąż, ilekroć spojrzał na ten relief. Słowo w słowo. Czy nie dziwne?

Gniewosz ożywił się. Jakby odskoczył w nim zamknięty dotychczas zatrask, odwinęła się skręcona sprężyna. Objął wnętrze rzewnym spojrzeniem.

— Tak mi tu dobrze u pani, pani Krystyno, tak dobrze. Jak u siebie w domu. Jak gdybym tu mieszkał od dawna. Jak gdyby to był mój dom, nasz dom, pani Krystyno.

— Wobec tego nie puszczę pana stąd jeszcze. Może przejdziemy do salonu. Każę Mariannie przynieść wina z piwnicy.

Zadzwoiła na służę i wydała dyspozycję. Potem oboje, wzięwszy się pod ręce jak para dobrych, starych przyjaciół, przeszli do sąsiedniego pokoju.

Dochodziła siódma. Przez okna wsączały się z ogrodu wonie jaśminów i bzów, wcedzała wieczorna piosenka świerszczy. Pokój pławił się w słonecznej kąpieli. Czerwień ściekała ze ścian, z luster, żarzyła się w kryształach, krwawiła na fotelach. Wnętrze było wielką symfonią, zbudowaną na purpurze i złocie.

Oślepiiony blaskiem, Gniewosz przystanął na progu.

— Złota topiel — rzekł mrużąc oczy. — Co za pyszny zachód słońca!

Powoli oczy jego oswoiły się z orgią światła. Rozejrzał się uważnie.

— Nie brak niczego — zaczął po chwili jak przez sen. — Wszystko tak samo.

— A gdzie szafka biblioteczna? — zapytał nagle. — Szafka oszklona z zieloną firanką? Stała tu pod oknem.

Krystyna patrzyła na niego niemal przerażona.

— Stała tu rzeczywiście do niedawna — odpowiedziała, przewyciężając uczucie głębokiego lęku — lecz kazałam przestawić tam, koło pianina. — Ale skąd pan wie o tym, panie Janku?

— Mam wrażenie, że znam to wnętrze od dawna, że byłem tu już kiedyś, że poznaję te sprzęty, meble, wszystko... Jakbym wracał po latach do własnego domu...

— To niemożliwe — wyszeptwała, ściskając mu kurczowo rękę. — Od dwudziestu sześciu lat nie przestąpił progu tego pokoju żaden mężczyzna. Pan jesteś tu pierwszym.

— Tym dziwniejsze — a jednak prawdziwe. Więc tam, koło pianina. Tak — teraz widzę ją.

Postąpił ku szafce.

— Na półce górnej, po lewej, przy samej ścianie powinien być tom poezji Leopolda Staffa.

Otworzył i zajrzał do wnętrza.

— Jest! — zawołał radośnie. — Jest!

Wziął do ręki księżycowo-błękitną książeczkę.

— *Galąz kwitnąca*. Zna pani te poezje, Krystyno?

— Czy je znam? To był nasz ukochany poeta. Czytywaliśmy go zawsze wspólnie. Po raz ostatni wieczorem w wigilię śmierci męża. Późno w noc, jakby w przeczuciu zbliżającego się rozstania na zawsze, deklamował mi mąż *Willę samotną*, to małe arcydzieło liryki nastrojowej, w którym wibruje smutek jesiennych skonów.

Gniewosz podał jej otwartą książkę. Rzuciła okiem na kartę i pobladła.

— Tak — to ten wiersz. Dzisiejszy wieczór jest jak sen dziwny. Tracę powoli poczucie rzeczywistości... Proszę podać mi rękę.

Otoczył ją łagodnie ramieniem i patrząc w ogród obłany szczodrotą konającego już słońca, zaczął odtwarzać słowa poety głosem cichym, do głębi wzruszonym:

Cień, co na miłość naszą padł wieczną żalobą,  
Był dawno w mym przeczuciu. Pomnisz: szedłem z Tobą  
Wzdłuż muru, zza którego słodko się wychyla  
Tonąca wśród jaśminów i róż biała willa,  
Tchnąca marzeniem w ciszy i woni głębokiej.  
Na srebrnym niebie gasły różowe obłoki,  
Błękitny zmierzch zapadał i byliśmy smutni.  
Stanęliśmy w zadumie u krat starej wrótki,  
Patrząc w tajemne mrokiem ogrodu głębiny,  
Stworzone zda się, aby wśród nich snuć godzinę  
Szczęścia w niezmaconej i jasnej miłości.  
Wszystko zdało się czekać żądnych ciszy gości,  
Tu nam ściganym trwogą zdawała się schrona...

Wzruszenie odebrało mu głos. Umilkł. Wtedy Krystyna przytuliwszy głowę do jego piersi dokończyła:

Ogród tchnął upojeniem. Tęsknotą wiedziona  
Dłoń ma bezwiednie pchnęła wrota i... opadła,  
Wrota zamknięte były. I twarz Ci pobladła,  
Bo i Ty może wtedy odgadłaś to samo:  
Że obalony posąg Hermesa, co płamą  
Na murawie wśród zmierzchu białął, jak płat śniegu,  
Był jak poseł miłości pogodnej, co w biegu,  
Chcąc wrota nam otworzyć, runął, jak kwiat ścięty,  
U bramy zostawiwszy nas szczęścia — zamkniętej.

Ostatnie słowa wiersza odplynęły w przestrzeń z ostatnim, pożegnalnym promieniem odchodzącego słońca. Na niebie paliła się wieczorna zorza, do pokoju wlewał się zmrok. Gdzieś w krzewach jaśminu zalkał pierwszy słowik...

W milczeniu zeszedli do ogrodu. Wszystko zdało się cudownym powtórzeniem czegoś, co było przed laty, każdy krok na krętych, wijących się ścieżkach, pomiędzy klombami echem dalekiej w przeszłości przechadzki. Tak doszli do altany. Tu wyznał jej swą miłość. Bez słowa podała mu swe słodkie usta i nie bronila przed pieszczotą warg swych piersi. Gdy wychodzili z chłodnika, była już gwiazdzista noc. Bocznymi drzwiami od ogrodu weszli do wnętrza willi.

— Do Będzińskiego już nie wrócisz — powiedziała stanowczo. — Zostaniesz u mnie, a jutro rano wyjeżdżamy za granicę.

— Najdroższa — oponował słabo — nie chcę ci być ciężarem. Jestem człowiekiem bez stanowiska.

Przerwała mu niecierpliwie:

— Ależ to wszystko — to drobiazgi wobec naszej miłości. O środki materialne nie potrzebujesz się troszczyć. Mam majątek. Zresztą uzupełnisz swe wykształcenie za granicą i po kilku latach wybierzesz sobie zawód. Teraz rzeczą dla nas najważniejszą wyjechać stąd jak najprędzej.

Przycisnął do ust jej rękę.

— Czy mam zasłużyć sobie na tyle dobroci, Krystyno?

— Kocham.

A potem przyszła noc szału. Nad ranem Gniewosz zapadł w stan podobny do transu. Znieruchomiał, oczy nabrały szklanego wyrazu i sztywny, bezwładny, jakby zastygł w jej uścisku. Patrzyła bezradnie na piękne młodzieńcze ciało, które przed chwilą jeszcze drżało spazmem rozkoszy i darzyło ją słodczą męskich pieszczot.

Wtem uczuła na twarzy chłodny powiew i ujrzała nad sobą mglistą postać drugiego mężczyzny.

— Kto tu? — usłyszała głos swój obcy jakiś i zdławiony. — Kto tu?

Twarz widma rozjaśnił dobry, serdeczny uśmiech. Poznała go.

— Władku, wybacz mi! — jęknęła i zakryła twarz przed jego jasnym spojrzeniem.

I wtedy usłyszała głos jego cichy jak dawniej, łagodny:

— Bądź spokojna, Krystyno. Nie zламаłaś mi wiary. Tym, którego trzymałaś tej nocy w objęciach, ja byłem. Bo zrzędzeniem sił wyższych danym mi było wkrótce po mej śmierci wcielić się w kształt nowy — w to ciało młodzieńcze, które teraz na chwilę opuściłem, by w postaci dawnej odsłonić ci tajemnicę naszej powtórnej miłości.

Głos zamilkł, a gdy podniosła znów oczy, widma już nie było. W szarych blaskach zarania wdzierającego się do sypialni przez zapuszczone żaluzje wyczuła natomiast płomienne spojrzenie Gniewosza.

— Mężu mój!

I rzuciła się w wyciągnięte ku sobie ramiona.

Koło siódmej rano ubrali się i przez werandę wyszli z domu. Przed furką ogrodową pożegnali ostatnim spojrzeniem willę, przybytek swej miłości, park, klomby i altanę, świadków swego szczęścia.

— Chodźmy już stąd! — rzekła zdławionym przez łkanie głosem. — Spóźnimy się. Chodźmy już, Janku.

Gdy stał jak urzeczony, przemocą odciągnęła go od zaczarowanego miejsca. Wyszli na ulicę. Gdy zatrząskiwiał furtę od ogrodu, zdawało mu się, że zamykają za sobą na wieki bramy swego szczęścia...

Poranek był mglisty. Szare zwoje oparów kłębiły się w powietrzu i przesłaniały widok. Nie rozróżniało się drzew od latarni na parę kroków. Cicha jak zwykle ulica Leśna pogrążona była w bezwzględnej martwocie.

W ciągu pierwszych kilku minut nie spotkali ani jednego przechodnia. Tak doszli do najbliższej przecznicy. Wtem na zakręcie rozpruł ciszę ostrzegawczy odzew auta. Krystyna chciała cofnąć się na chodnik, lecz potknąwszy się o krawężnik, upadła. Gniewosz pochylił się i wyciągnął po nią ręce. Lecz było już za późno. Coś nieubłaganego jak pięść przeznaczenia odtrąciło go od niej na parę metrów. Rozległ się krótki, przeszywający serce krzyk i czarna masa pojazdu, spełniwszy okrutne swe zadanie, zanurzyła się z powrotem w mgłę...

W kwadrans później ktoś donosił dzielnicowemu komisariatowi policji, że u skrzyżowania ulic Leśnej i Wesołej leży w kałuży krwi dwoje ludzi. Ciało kobiety, straszliwie pokaleczone, sprawiło wrażenie zwłok — mężczyzna dawał oznaki życia.

## BUNT

Przez sześć tygodni Gniewosz pasował się ze śmiercią. Szanse zwycięstwa były tym słabsze, że w walce tej brał udział tylko organizm. Dusza ogłuszona obuchem nieszczęścia stała po stronie „nieprzyjaciółki”. Toteż gdy po wielu dniach maligny po raz pierwszy otworzył przytomnie oczy, opanowało go wszechwładne uczucie wstrętu. Obrzydliwa gorycz wypełniała po brzegi całe jestestwo. Spotęgował ją widok otoczenia: jego mieszkanie prywatne w zakładzie Będzińskiego i wszystko, co się z tym dalej wiązało. W końcu zważyło się na niego lawiną wspomnienie Krystyny. Zaskowyczał z bólu.

Potem potoczyły się szaropyłne gościńce miesięcy, dni, godzin, monotonne litanie powszedniości przesiewane przez nudę w przetaku życia. Jedyne namiętnością stały się wędrówki na cmentarz, na jej grób, i długie, samotne przechadzki po ulicy Leśnej. Po powrocie z nich, gdy go nikt nie mógł słyszeć, wybuchał głośnie, nieutulonym płaczem dziecka. To mu przynosiło ulgę. — Nazajutrz rzucał się do gorączkowej pracy, studiował wiedzę techniczną, uzupełniał dostrzeżone w sobie braki, przygotowywał elaboraty,



rysunki. Tak było do południa. Potem energia wyczerpywała się i załamany w sobie Gniewosz opuszczał ręce.

Będziński niechętnie patrzył na to wszystko. Wietrzył objawy buntu przeciw sobie i chęć usamodzielnienia się. I miał rację. Po przezwyciężeniu apatii życie uczuciowe Gniewosza nieznacznie ześrodkowało się w dwóch punktach: w kulcie dla zmarłej i w żądzy wyemancypowania się spod wpływów „dobrodzieja i opiekuna”. Stosunki między nimi w tym czasie znacznie oziębły. Tym bardziej że w mediumizmie Janka nastąpił okres wyraźnej stagnacji, którą Będziński przypisywał „fatalnemu wpływowi idiotyczno-miłosnej awantury z tą egzaltowaną śp. Śląską”.

Lecz z Gniewoszem nie zamienił na ten temat ani słowa, jak gdyby tragiczny wypadek dla niego nie istniał. To uporczywe przemilczanie, to chłodne ignorowanie jego uczuć dotknęło Gniewosza najbardziej. Zaczął nienawidzić doktora i jego eksperymentów, bo stały mu się synonimem oków nałożonych na jego młode życie. Z czasem dostrzegł poza swym „impresario” i opiekunem w jednej osobie kryjące się moce zaświatów, które wybrały sobie jego, Jana Gniewosza, za narzędzie do swych ciemnych, często kapryśnych, nieraz groteskowych celów. One to zdawały się kierować jego losem i ilekroć próbował wyzwolić się spod ich wpływu i pójść po linii własnych uczuć i pragnień, zwracały go z drogi i przypominały mu „właściwe” jego zadania i obowiązki. Dwukrotnie już dały mu odczuć swą wolę: raz, odsuwając od niego córkę ogrodnika, po raz wtóry, niszcząc brutalnie bezcenne życie Krystyny.

Tak mu się teraz przedstawiało jego dotychczasowe życie obserwowane w perspektywie ubiegłych lat dwudziestu sześciu. Po dotarciu do tej koncepcji Gniewosz zdecydował się na nieubłaganą walkę z zaświatem. Musiał choćby za cenę życia zrzucić z siebie nienawistne pęta i przestać być niewolnikiem. Przeczucie mówiło wprawdzie, że będzie to walka z własnym przeznaczeniem, lecz się nie uląkł. Wolał zginąć, niż odgrywać rolę łątki przesuwanej palcami chimerycznych jaźni. Zresztą mógł zwyciężyć. Wierzył w możliwość przełamania losu przez silne napięcie woli.

Przede wszystkim należało ustalić metody i sposoby. Z lektury o mediumizmie i skąpych, ale znamienitych pólslówek Będzińskiego dowiedział się, że najskuteczniejszym środkiem osłabiającym rozwój mediumicznych właściwości są częste stosunki płciowe oraz — wyczerpany, zużywający dużo energii, zarówno psychicznej jak fizycznej, tryb życia. Pierwszy z tych środków był dla niego w tym czasie niedostępny. Tęsknota za zmarłą i kult jej pamięci wykluczały nawet myśli o charakterze seksualnym. Pozostawał środek drugi, którego uchwycił się z zapamiętaniem fanatyka.

Ponieważ w związku z emancypacją duchową pozostawało uniezależnienie się materialne od doktora, musiał Gniewosz wszelkimi siłami dążyć do zdobycia samodzielnego stanowiska i jakiejś pozycji społecznej. Nie chcąc używać do tego celu pieniędzy opiekuna, postarał się o lekcje na mieście. Z funduszków w ten sposób uzyskanych zaopatrzył się w niezbędne do studiów książki i podręczniki. Jeżeli na razie nie wyprowadził się z zakładu doktora, czynił to tylko ze względu na „obowiązek wdzięczności”. Za doznane w latach poprzednich „dobrodziejstwa” rewanżował się w dalszym ciągu, oddając mu do dyspozycji eksperymentalne swe zdolności mediumiczne. W ogóle Gniewosz lubiał sytuacje jasne i wyraźne i w tej sprawie miał sumienie zupełnie spokojne.

Lecz i Będziński nie próżnował. Gorączkowe studia i egzaltowany kult dla zmarłej nie uszły jego uwagi, a że osłabiała widocznie sprawność mediumiczną Janka, musiał im przeciwdziałać: postanowił teraz zrealizować dawniej już powzięty plan i wywieźć go za granicę. Zmiana otoczenia, wrażenia i sensacje podróżnicze miały doprowadzić jaźń pupila do radykalnego zwrotu. Doktor spodziewał się, że dopiero tam „wszystkie sentymentalne mrzonki i marzenia o emancypacji wywietrzeją mu z głowy”.

Lecz i tu spotkał się ze stanowczym oporem. Gniewosz kategorycznie oświadczył, że nie wyjedzie. Przyszło do gwałtownej sceny. Padły słowa mocne, rozstrzygające. W rezultacie Gniewosz tegoż jeszcze dnia rozstał się z Będzińskim na zawsze i zamieszkał w pokoiku na poddaszu domu przy ulicy Ścieżkowej, w odległej, świeżo włączonej do miasta dzielnicy, a w bliskim sąsiedztwie z ulicą Leśną.

Zerwanie stosunków z doktorem przypadło na końcowe stadium jego studiów na technice. W parę dni potem Gniewosz zdał pierwszy egzamin inżynierski i objął skromną

posadę w fabryce maszyn. Po raz pierwszy od dwóch lat odetchnął pełną piersią. Stał nareszcie „na własnych nogach”.

Odtąd intensywne prace w fabryce wypełniały mu szczerze godziny poranne aż do obiadu. Popołudnia poświęcał Krystynie. — Spędzał je częścią na Powązkach, u jej mogiły, częścią na przechadzkach w okolicy willi przy Leśnej. Zwłaszcza te przechadzki miały niewysłowiony urok.

Cicha, samotna ulica ujęta w ramiona alei lipowej przeistaczała się w kaplicę wspomnień. Tu spoza krat żelaznych sztachet, krzyżowej plecionki siatek przeglądały zadumane wnętrza ogrodów, frontony will — tam z muru spływały w bezwładzie welony błuszczu przetkane warkoczami róż, ówdzie wystrzelał spoza furty gromnicą smutku cyprys. Wieczorne słońce rzucało na zakątek melancholijny uśmiech rozstania lub rozżagwione na szybach okien i werand świeciło przedzgonne swe gody. Po chodnikach, ogrodowych drożynach, po ścianach will i murach czołgały się cienie. Nadchodził zmierzch.

Gniewosz zatrzymywał się przed furtką jej willi i patrzył w głąb: na zgłuszony zielskim ogród, spętana dzikim winem altaną i senny, szklanym spojrzeniem szyb spoglądający dom. Nikt nie wychodził mu stamtąd na spotkanie. Zakłęte czarem smutku wnętrza puste było i nie zamieszkałe. I gdy z sąsiednich will padały światła lamp i dochodziły głosy wieczornego życia, dom Krystyny trwał w zmroku i zapomnieniu. Późno w noc wracał Gniewosz na swoje poddasze...

Tak upłynęły dalsze dwa lata. Zbliżał się wiek męski. Ból po utracie Krystyny ściął, ukoił się i przeszedł w stadium mgłą melancholii zasnutych wspomnień. W tym czasie Gniewosz ukończył w pełni swe studia i otrzymał dyplom inżynierski. W fabryce podniesiono mu gaźę i powierzono stanowisko odpowiedzialne. Wyrobił sobie opinię dzielnego pracownika.

Od dociekań nad mediumizmem stronił jak od zarazy, a swoje własne zdolności w tym kierunku ukrywał jak najstaranniej, pragnąc, by ludzie o nich zapomnieli. Niestety było wielu takich, co pamiętali. I ci nie dali mu spokoju. Jak przed sforą psów musiał opędzać się przed ustawicznymi zakusami rozmaitych mediumistów zawodowych i amatorów z bożej łaski, którzy ofiarowywali mu znaczne sumy, byle tylko pozyskać go dla eksperymentów. Przeczuwał, że wśród tych natrętów byli emisariusze Będzińskiego, i tym energiczniej odrzucał wszelkie oferty.

Trudniejsza była walka z własnym ustrojem psychofizycznym — z tym, co nazywał swoim przeznaczeniem organicznym. Niezależnie od swej woli zapadał inżynier od czasu do czasu w trans. Szczęściem wyczuwał zapowiadające go symptomy i zawsze w porę umiał usunąć się sprzed ludzkich oczu. Fenomeny najczęściej rozwijały się bez współudziału widowni. A o to mu głównie chodziło. Nie miał w sobie nic z aktorskich ambicji tzw. mediów zawodowych. Sprawiało mu też złośliwą radość to, że dzięki tym środkom ostrożności krzyżował plany zaświatowych jaźni i nie dawał im użyć się za pośrednika między tym a tamtym brzegiem. Bo powstawanie fantomów z jego teleplazmy tłumaczył sobie w przeważnej ilości wypadków czynną interwencją inteligencji bezcielesnych.

Mimo to widocznie pewne objawy jego mediumizmu przedostawały się od czasu do czasu do wiadomości „kochanych bliźnich”, bo nieraz po kryzysie transowym podchwytował niejedno spojrzenie brzemienne ciekawością z domieszką nabożnego strachu.

Wtedy jeszcze bardziej zaciął się w oporze i poprzysięgał sobie, że na przyszłość podwoi czujność. Niewątpliwie najskuteczniejszym środkiem był wyjazd do innej miejscowości, gdzie byłby osobistością mniej znaną. Lecz na to Gniewosz nie mógł się zdecydować. Przykuwały go do miejsca grób i dom Krystyny. Wycieczki na cmentarz i przechadzki po Leśnej były czymś nieodzownym, weszły w krew i stały się „drugą naturą”. Nie wyobrażał sobie życia bez nich. Głęboki liryzm wiązał duszę marzyciela z dziedziną wspomnień i pamiątek.

W któreś jesienne popołudnie zauważył, że nie jest jedynym miłośnikiem spacerów po samotnej ulicy. Chodnikiem po przeciwnej stronie jezdni przechadzała się młoda jasnowłosa dziewczyna w żalobnej sukience. Obecność jej rozdrażniła go.

Pewnie jakaś miłosna schadzka — pomyślał, obrzucając ją niechętnym spojrzeniem. — Nie mogła też wybrać sobie innego miejsca!

*Rendez-vous* na ulicy Leśnej uważał za profanację. Lecz zaintrygowała go twarz jej szlachetna, poważna, nacechowana smutkiem. Postanowił sprawdzić swój domysli ukrad-

kiem zaczął obserwować. Przeszła aleję lip, wzdłuż aż do wylotu, zawróciła i znów tym samym, powolnym, choć pełnym dziewczęcego wdzięku krokiem przemierzyła tę samą przestrzeń w kierunku przeciwnym, aż do skrzyżowania Leśnej ze Ścieżkową.

Czeka na kawalera — utwierdzał się w swych przypuszczeniach inżynier. — Jakiś niepunktualny niecnota!

Minęła godzina, dwie — panienska nie odchodziła. Twarz jej nie zdradzała ani cienia zdenerwowania. Cicha i smutna przesuwiała się jak geniusz żaloby pomiędzy żółkniejącymi już pierzejami drzew. Aż gdy zaczął zapadać zmierzch, zapuściła czarną, gęstą woalkę i powoli odeszła w stronę miasta.

Nieudała schadzka — określił sytuację Gniewosz. — Lecz prawdę mówiąc, żał mi jej trochę. Ten jej partner — to albo łotr skończony, albo idiota. Tyle godzin dać czekać na próżno dziewczynie.

I rzuciwszy pożegnalne spojrzenie na willę Krystyny, powlókł się zamyślony w kierunku Ścieżkowej.

Nazajutrz powtórzyło się to samo. Upредиła go nawet. Gdy przyszedł na Leśną, już ją zastał po przeciwległej stronie ulicy. I tym razem nikt jej nie towarzyszył ani nie przyłączył się później. Odeszła, jak wczoraj, przed nastaniem zmroku.

— Może to obłąkana? — Ciekaw jestem, czy i ona mnie zauważyła?

Zainteresowanie dla dziewczyny w żałobie wzrastało z dniem każdym. Niezmiennie o godzinie trzeciej po południu zjawiała się w alei i nie schodziła z placówki aż do zachodu. Nie odstraszały jej jesienne, dżdżem opile szarugi, rozsłochane jękiem wichru, ociekłe mgła — nie zniechęciły zimowe zawieje, jadowite mrozem, kurzące zamiecią. Przychodziła codziennie.

Gniewosz tak przyzwyczał się do widywania jej po tamtej stronie ulicy, że gdy pod koniec zimy przez parę dni nie przyszła, ze zdumieniem zauważył, że mu jej brakuje. Teraz już stanowiła smukłą, wytworna postać „żałobnicy” integralną część świętego zakątka, włączoną w jego całokształt jako jeden z nastrojowych motywów. Inżynier miał żal do niej za tę kilkudniową nieobecność i omal nie powitał jej z radością, gdy po tygodniowej przerwie ujrzał znów zbliżającą się z perspektywy alei. W porę opanował odruch i zawstydzony opuścił rękę podniesioną już ku kapeluszowi.

Przeszła drugą stroną cicha i zamyślona. Wydała mu się dziś bledszą i wychudłą.

— Przechorowała się biedaczka nie na żarty. Ostatnim razem mróz był straszliwy i musiała się wtedy przeziębic.

Poszedł za nią spojrzeniem pełnym współczucia i życzliwości...

Minęła zima i miała się ku schyłkowi wiosna. Panienska w żałobie wciąż odwiedzała ul. Leśną. Pewnego dnia pod koniec czerwca przechadzka jej przeciągnęła się dłużej niż zazwyczaj i chociaż zmrok zasnuwał już ulicę błękitną wstęgą, postać jej wciąż czerniała pomiędzy drzewami. Może zatrzymał ją zapach rozkwitłych świeżo bzów i jaśminu, miodowa woń pyłących kwieciami lip?

Wtem usłyszał Gniewosz ciężkie, wlokące się kroki. Jakiś mężczyzna o podejrzanej powierzchowności ukazał się po tamtej stronie ulicy i powoli zbliżał się ku nieznamemu. Dziewczyna po raz pierwszy okazała pewne zdenerwowanie. Rozejrzała się bystro dokoła i nieznacznie zesła z chodnika na środek jezdni. Podejrzany osobnik zauważył to i poszedł za jej przykładem. Po chwili stał już przy niej i zdjawszy kapelusz, coś mówił. Odsunęła się i zaczęła uciekać w stronę Wesołej. Napastnik rzucił się za nią w pogoń i wkrótce, chwytając brutalnie za ramię, osadził na miejscu.

Gniewosz w kilku skokach przebył dzielącą ich przestrzeń i jednym uderzeniem pięści wymierzonym zręcznie w jego łokieć oswobodził ją z uścisku.

Mężczyźni spojrzeli na siebie dziko. Indywiduum zrobiło charakterystyczny ruch wstecz, jakby sięgając po broń w tylnej kieszeni. Gniewosz upредиł go i paraliżując jedną ręką niebezpieczny gest, drugą uderzył go pod brodę.

Przeciwnik zawył z bólu i zwałił mu się pod nogi. Wtedy inżynier spostrzegł wystającą mu z tylnej kieszeni spodni rękojeść browninga. Szybko wyciągnął go i ukrył w kieszeni własnej zarzutki. Tamten tymczasem dźwignął się na nogi i błysnął parą złych, przekrwawionych ślepi.

— Te, hyc! — warknął, piniąc się z wściekłości i odstępując o parę kroków. — Zapłacisz mi za to!

Znów sięgnął ręką poza siebie i zaklął:

— Te, doliniarz! Zwędzileś mi spluw! Oddaj!

Gniewosz po raz pierwszy od lat był w świetnym humorze.

— No, no — tylko bez niepotrzebnej gadaniny. Wynos się stąd czym prędzej, jeżeli nie chcesz oberwać jeszcze czegoś na drogę. A ten twój „spluw” możesz sobie odebrać jutro w najbliższym komisariacie policji, gdzie go złożę jako trofeum wojenne. No, zabieraj manatki i ruszaj!

Admonicja w tonie na poły wesołym, na poły groźnym poskutkowała. Łazik, klnąc i odgrazając się półgębkiem, odszedł ku Ścieżkowej i wkrótce znikł wśród coraz bardziej gęstniejących mroków.

Gniewosz wrócił się z ukłonem do stojącej opodal, drżącej jeszcze od przerażenia panny.

— Wybacz pani tę trochę brutalną scenę, lecz nie umiałem znaleźć innego sposobu uwolnienia jej od tego natręta. Pozwoli pani, że się przedstawię: inżynier Jan Gniewosz, do usług.

Podawała mu rękę.

— Dziękuję panu. Moje imię: Ludwika Krzemuska.

— Muszę panią odprowadzić — nawet choćby wbrew jej woli. Ten apasz może jeszcze nie dał za wygraną.

— Chętnie skorzystam z uprzejmości pana.

Ruszyli w kierunku Wesołej. Rozbudzona walką fizyczną energia Gniewosza znalazła ujście w ożywionej rozmowie.

— Że też właśnie dzisiaj wracała pani z przechadzki po Leśnej trochę później niż zwykle!

Podniosła na niego zmieszana śliczne błękitne oczy:

— Niż zwykle? Więc pan widział mnie już kiedyś na tej ulicy?

— Od ubiegłej jesieni spotykam panią na Leśnej codziennie.

Nastąpiło kłopotliwe milczenie. Czuł, że panienka nie była zadowolona z odkrycia jej tajemniczych przechadzek.

— Więc pan chyba mieszka przy tej ulicy? — badała go po pewnym czasie.

— Nie. Mieszkam powyżej, przy Ścieżkowej.

— Więc musi pan codziennie przechodzić Leśną?

— Niekoniecznie. Chcąc dostać się do miasta, mam inną, krótszą drogę.

— W takim razie nie rozumiem, na jakiej podstawie utrzymuje pan, że od jesieni chodzi Leśną codziennie.

Spojrzał na nią serdecznie.

— A gdybym i ja miał specjalny powód do codziennych przechadzek po Leśnej? Gdyby i mnie ciągnęło coś nieodparcie do tego zakątka?

Panna Krzemuska nagle zatrzymała się. W świetle latarni twarz jej zdradzała silne wzruszenie.

— Więc i pana także wiąże z tą ulicą pewne wspomnienie?

Wtedy Gniewosz wyznał jej wszystko. Słuchała z głębokim zainteresowaniem, a gdy skończył, zapytała cicho:

— Więc tak bardzo ją pan pokochał?

A gdy milczał i patrzył w jej oczy, uściśnęła mu rękę.

— Biedny pan, bardzo biedny.

Pochylił się i z czcią dotknął ustami tej ręki. I znów szli chwilę w milczeniu. Potem opowiedziała mu o sobie. Była córką emigranta, właściciela kopalni miedzi w Australii. Przed sześciu laty ojciec wysłał ją do Polski, której nie znała, bo przyszła na świat na obczyźnie, w Sydney. W Warszawie pod opieką starej ciotki ukończyła szkoły średnie i uniwersytet. W czasie studiów zaręczyła się z młodym, obiecującym uczonym. Ślub ich miał odbyć się z końcem maja ubiegłego roku. Na parę dni przedtem Miecio nagle zapadł na *meningitis*<sup>20</sup>. W przeciągu tygodnia choroba w straszliwy sposób wyniszczyła mu

<sup>20</sup>*meningitis* (z gr.) — zapalenie opon mózgowych. [przypis edytorski]

organizm. Umarł z wycieńczenia ostatniego maja. Ulica Leśna była ulubionym miejscem ich narzeczeńskich przechadzek.

Związła, ściągnięta do wymiarów niemal sprawozdawczych opowieść panny Krzemuskiej zrobiła na Gniewoszu silne wrażenie. Poza skąpymi, kwefem wstydlivości obleczonymi słowami drzemała otchłań przebytych cierpień. „Cisza błękitu” rozlana na pięknej, poważnej twarzy panny Ludwika była powierzchnią, pod którą kłębiło się węzowisko wspomnień i szarpiącego duszę bólu.

Gdy rozstawali się koło najbliższego przystanku tramwajowego, czuli oboje, że łączący ich już silny, trwały węzeł sympatii.

— Kaprys przypadku sprowadził nas, towarzyszy niedoli, na to samo miejsce — mówił, ściskając na pożegnanie jej rękę.

— Przypadek? — odpowiedziała z powątpiewaniem. — Nie wierzę w przypadek.

— Więc los?

Nie otrzymał już odpowiedzi. Uniósł ją z sobą elektryczny pojazd.

Odtąd odbywali wspólne przechadzki. Zrazu po Leśnej, potem, gdy nastaly piękne dni letnie, dalej, poza miasto, aż do olchowego gaju. Ludwika lubiła, gdy opowiadał jej o sobie. Nazwisko jego było jej znane ze wzmianek w dziennikach i sprawozdań Towarzystwa Psychiatrycznego, które od czasu do czasu przeglądała. Jego właściwości mediumiczne widocznie ją żywo zainteresowały i prosiła o szczegółowe przedstawienie sobie ich ewolucji. Gniewosz czynił to niechętnie i nie ukrywał przed nią wcale, że zwalcza w sobie mediumizm, który uważa za swego największego wroga. Wobec tego przestała później nalegać i rozmowy ich przybrały charakter pogodniejszy. Pewnego razu z odcieniem wahania zapytała, czyby nie wziął jej z sobą na grób Krystyny. Propozycja wzruszyła go.

— Jaka pani dobra! — rzekł wdzięczny z głębi serca.

Gdy wracali z cmentarza, po drodze wstąpił do kwieciarni i kupił dla niej róże. Przyjęła z błyskiem radości w oczach. Potem nagle posmutniała. Dotknął łagodnie jej ręki.

— Nie potrzeba o tym myśleć. Przyjęła pani te kwiaty od przyjaciela. Ona tego nie weźmie za złe.

Pokraśniała i pochyliła głowę. Duża, cicha łza stoczyła się powoli po policzku.

— Na miły Bóg! — zawołał porywczco. — Nie mogę patrzeć na łzy pani, panno Ludwiko!

— Już przeszło — uspokajała go, uśmiechając się blade.

Wieczór ten jeszcze bardziej zbliżył ich ku sobie. W sierpniu złożył Gniewosz oficjalną wizytę w domu jej ciotki, p. Zwisłockiej. Staruszka przyjęła go serdecznie. Słyszała już o nim wiele od bratanicy.

Odtąd był stałym gościem w domu przy Alejach Ujazdowskich. Dzień 10 września rozstrzygnął o ich losie. Tego popołudnia przyszedł Gniewosz wcześniej niż zwykle, bo mieli pójść razem do teatru. Ludwika powitała go smutna i zamyślona. Zapytana o powód, podała mu list z pieczęcią z Sydney. Przeczytał. List był od jej matki. Pani Cecylia Krzemuska donosiła o niebezpiecznej chorobie męża i wzywała córkę do powrotu.

Gniewosz zwrócił list i spojrzął w jej oczy wyczekująco.

— Za tydzień odjeżdżam do Australii — oświadczyła cicho, lecz stanowczo. — I zdaje się, więcej do kraju nie wrócę.

Głęboka bruzda rozorała czoło inżyniera.

— A co będzie ze mną? — poskarżył się jak dziecko. — Ja dziś już bez pani żyć nie potrafię.

Jasne blaski zagrały w jej oczach. Ujęła mocno w swe dłonie jego ręce.

— A ona? A Krystyna?

— Czczę ją jak świętą, a panią kocham, Ludwiko.

— Więc pojedzie pan ze mną. Znajdzie pan zajęcie jako inżynier w kopalniach mego ojca. Cóż? Zgoda?

Patrzył na nią olśniony od szczęścia.

— Nie mogę uwierzyć temu, co słyszę.

— A jednak trzeba koniecznie — mówiła z uśmiechem na pół smutnym, na pół zalotnym.

— I chce to pani uczynić dla mnie jako dla przyjaciela?

— Może nie tylko dla przyjaciela.

Zarumieniła się cudownie.

Gniewosz, nie władając sobą, objął ją wpół i przycisnął do piersi.

— Ludwiko! Ludwiko najdroższa, chcesz zostać moją żoną?

Na ustach jej pocałunku spragnionych znalazł milczącą odpowiedź...

W parę dni potem w kościółku parafialnym Św. Szymona odbył się ich ślub. A na zajutrz odjechali ekspresem na Wiedeń.

---

Nie zatrzymali się nigdzie dłużej, bo zależało na pośpiechu. Jedną noc spędzili we Wiedniu, drugą w Trieście i tu wsiedli na parowiec zmierzający do Aleksandrii. Żegluga po Morzu Śródziemnym miała przebieg pomyślny. Pogoda dopisywała. Statek kołysany łagodną falą mknął ku brzegom Afryki w rytmach spokojnych. I gdyby nie myśl o ciężko chorym ojcu, byłaby się Ludwika czuła doskonale szczęśliwą. Wypiękniała jeszcze w tym czasie, rozkwitła pełnią niewieściej krasy. Smukłe, dziewicze jej ciało dojrzało w słońcu małżeńskich pieśczęt i nabrało kształtów miękkich i rozkosznych. Nieraz z dumą widział Gniewosz, jak gonią za nią pożądliwe lub pełne adoracji spojrzenia młodych mężczyzn.

— *You have a very pretty wife*<sup>21</sup> — wyznał mu raz na pokładzie jakiś siwowłosy, poczciwie wyglądający gentleman. — *You happy man*<sup>22</sup>.

Przyjęli te słowa jak od ojca, z życzliwym uśmiechem.

W Aleksandrii zabawili dłużej; okręt pasażerski „The Conqueror”<sup>23</sup>, którym mieli odbyć dalszą podróż, odchodził do Australii dopiero za trzy dni. Lecz na wycieczkę w głąb lądu nie było czasu. Zresztą Ludwika czuła się trochę zmęczona i wołała odpocząć. Zwiedzili tylko Kair.

Tu spotkała Gniewosza niezwykła przygoda. Po obejrzeniu wszystkich osobliwości miasta wstąpił z Ludwiką do jednej z kawiarni nad Nilem, by posłuchać wieczornego koncertu. Usiedli pod grupą palm, które rozwachlarzały się nad kawiarnianym dziedzińcem. Grała orkiestra artystów zbieranej drużyny. Obok krajowców o wydłużonych, trochę ptasich profilach widziało się twarze Arabów, Turków, Żydów, Syryjczyków i Murzynów.

Muzyka, na ogół hałaśliwa, utrzymywała jednak linię stylu: przewodni motyw orientalnej melancholii przepalającej się w żarze namiętnych wybuchów.

Podczas jednego z antraktów wszedł hinduski fakir z małym, może 10-letnim chłopcem. Rozesłał w pośrodku dziedzińca kilimek i usiadłszy w kuczki, rozpoczął swoje sztuki.

Były typowe, Gniewoszowie znali je z opowiadań i lektury. Najpierw doprowadził w ciągu dziesięciu minut nasienie jakiejś egzotycznej rośliny zasadzonej w wazoniku kolejno do stanu kiełkowania, pączkowania i rozkwitu. Potem popisywał się słynną na Wschodzie sztuką z liną zawieszoną w powietrzu, po której wspinał się jego nieletni pomocnik. Wreszcie przygrywał do tańca na fujarce wężom.

Posypały się oklaski i pieniężne datki. Gniewosz ze sceptycznym uśmiechem przypatrywał się tym łamańcom. Jeżeli była w tym wszystkim krzta prawdy, lekcewał fakira tym bardziej. Nie lubiał ludzi handlujących rzeczami nadprzyrodzonymi, pogardzał nimi jak szarlatanami. Starzec zdaje się zauważył to. Oko jego czarne, spokojne, beznamienne parę razy spoczęło na inżynierze i jego żonie. Za to inni okazywali mu pełny podziw i uznanie. Odszedł z chłopcem zadowolony z efektu.

Muzyka zagrała taniec derwiszów. Koło jedenastej wieczorem Gniewoszowie powrócili do siebie do hotelu, odległego od kawiarni o kilkanaście kroków. Ludwika, wyczerpana wrażeniami dnia, usnęła natychmiast, Gniewosz usiadł w podcieniu otwartej werandy i wsłuchiwał się w głosy nocy.

Opodal szemrały fale Nilu, z dala dochodziły krzyki kłócących się w nadbrzeżnej knajpie marynarzy, na pięttrze ktoś brząkał nieśmiało na strunach egipskiego sistrum<sup>24</sup>...

---

<sup>21</sup>*You have a very pretty wife* (ang.) — ma pan bardzo ładną żonę. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*You happy man* (ang.) — [jest] pan szczęśliwym człowiekiem. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>„The Conqueror” (ang.) — „Zdobycwa”. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>*sistrum* — starożytny instrument egipski. [przypis edytorski]

W pobliżu odezwał się szelest. Inżynier odwrócił się i ujrzał na stopniach werandy ciemny kontur mężczyzny. Nieznajomy położył palec na ustach i oparł się o poręcz balustrady. Gniewosz poznał fakira.

— Czy twoja *lady* śpi, sahibie? — zapytał szeptem po angielsku.

Inżynier potwierdził pochYLENIEM głowy.

— Przyszedłem zamienić z tobą słów parę, sahibie. Dojrzałem w tobie jednego z tych nielicznych ludzi w Europie, którym dane jest obcowanie ze zmarłymi. Wśród nas, synów Wschodu, jest ich więcej. Chciałbym cię ostrzec, sahibie, jak brata, jak pokrewnego mi ciałem i duszą człowieka.

Gniewosz powstał i zbliżył się ku nocnemu gościowi.

— Skąd możesz wiedzieć o mnie cośkolwiek?

— Widziałem twarz zmarłych i duchy przestrzeni otaczające cię. Są ci wrogie. Obraziłeś je, sahibie. Nie jesteś im posłuszny.

— Jestem wolnym człowiekiem.

— Człowiek zależy od mocy nieznanych, często silniejszych od niego. W tym mądrość, by umieć swoją wolę pogodzić z ich wolą, a może przez to i z wolą Przedwiecznego. Prawdziwy mędrzec dorasta do swego losu. Wy, ludzie Zachodu, rzadko to rozumiecie.

— W tym właśnie zasadnicza różnica między nami, Europejczykami, a synami Wschodu, że nie poddajemy się temu, co wy nazywacie przeznaczeniem. Walczymy i stwarzamy swój własny świat. I dlatego poszliśmy naprzód, a wy pozostaliście daleko poza nami.

Po twarzy fakira przemknął cień uśmiechu.

— Pozory, sahibie, pozory. Wielcy mahatmowie<sup>25</sup> Wschodu posiadają wiedzę stokroć głębszą od waszych uczonych. Tylko jej nie obnoszą, jak wy, po rynkach i ulicach, nie mieniają na liczmanie waszej kultury i cywilizacji. Godzina nasza jeszcze nie wybiła. — Lecz nie po to tu jestem, by cię nawracać. Przyszedłem, bo chcę cię ostrzec. Żal mi ciebie i twojej jasnowłosej *lady*. Młoda jest i piękna.

Gniewosz niespokojnie spojrział w głąb domu, gdzie poza zasłoną z maty spała Ludwika. Po chwili uspokojony bezwzględną ciszą zwrócił się znów do niezwykłego gościa.

— Więc co mi radzisz?

— Opuść ją i pozostaw jej losowi. Niech sama jedzie tam, dokąd teraz zdążacie oboje.

— Nie mogę — to moja żona.

— Więc wróć z nią do ojczyzny i nie sprzeciwiaj się więcej woli duchów.

Inżynier położył mu rękę na ramieniu i rzekł cicho, lecz dobitnie:

— Nigdy więcej nie będę ich sługą.

— Pożalujesz tego, sahibie. Zrobiłem, co mi kazał głos wewnętrzny.

— Z rady twojej niestety skorzystać nie mogę. Nie zejść z obranej drogi.

Wyciągnął rękę na pożegnanie. Fakir dotknął jej lekko końcami palców i odszedł w ciemność.

Gniewosz oparty o balustradę werandy przez chwilę wsłuchiwał się w ciszę nocy. — Słowa starca wplatały się w nią powoli niby senny haft — kapryśny, irracjonalny, nierzeczywisty. Niby ostatnie, bezsilne echo spraw, które były już poza nim. Czuł się wobec nich silny i opancerzony. Przeciągnął się znużony, ziewnął i zaśmiał się cicho. Odpowiedział mu plusk wiosła i zabłąkany wśród nocy fragment melodii. Ktoś przepływał obok i nucił pogodną, beztroską piosenkę.

Gniewosz odsunął kotarę u wejścia i zajrzał w głąb. Po twarzy jego rozlał się wyraz rozrzewnienia. Na otomanie w dyskretnym blasku matowej lampy spała Ludwika.

Zwinięta w kłębek, z ramieniem prawym podłożonym pod głowę, w złotych lokach, z twarzyczką drobną, dziewczęcą, była jak dziecko uspięne przez piastunkę jakąś cudowną bajką...

Bez szelestu rozebrał się, zgasił światło i położył się obok niej na macie. Oddech jego wkrótce skojarzył się i zrównał z jej oddechem...

---

Nazajutrz rano „Conqueror” podniósł kotwicę. Czas był pogodny, słoneczny. Poranna bryza trzepotała wstążką bandery patronującej okrętowi na maszcie przednim. Parę

<sup>25</sup>*mahatma* (sansk.) — indyjski tytuł określający przywódców duchowych i autorytety moralne. [przypis edytorski]

egipskich flag zahisowanych<sup>26</sup> w porcie pożegnało suwerenny statek holdowniczym pokłonem. Wzięto kurs na Suez.

Podróż kanałem i Morzem Czerwonym odbyła się spokojnie. Koło przylądka Guadafui wskutek gęstej mgły omal nie przyszło do katastrofy. Tylko dzięki przytomności umysłu kapitana Petersona uniknięto zderzenia z *paquebotem*<sup>27</sup> francuskim, powracającym do ojczyzny z Madagaskaru.

Wpłynęli szczęśliwie na roztocza Oceanu Indyjskiego. Zaczął wiać łagodny passat. Wsparci o burtę ramię przy ramieniu, Jan i Ludwika spędzali dnie całe na pokładzie. Od morza szedł na nich czar i zaduma bezkresów. Godzinami stali wpatrzeni w ciemnoszafirowe rozłogi. Spokój wielkich wód kołysał dusze w hamaku ukojenia. Śnili na jawie. Rzeczywistość przesłaniała im przedza marzenia.

Statek minął Cejlon i zmierzał w kierunku południowo-wschodnim, ku Australii. Weszli w strefę tropikalnych upałów. Ludwika znosiła je z trudnością, posyłając pochylonemu nad jej leżakiem mężowi znużone od skwaru uśmiechy. W cieniu rozpiętej opiekuńczo pomarańczowej umbrelli twarz jej wydała mu się drobniejsza jeszcze i jakby oddalona. Brał jej rękę w swe dłonie i gładził pieśczołtliwie.

— *Courage, madame*<sup>28</sup>! — pocieszał, przechodząc mimo, kapitan Peterson. — Spodziewamy się odmiany.

Jakoż przyszła. Nazajutrz od rana dął silny, chłodny wiatr. Opływali wtedy południowo-zachodni cypel Australii. Koło południa dma spotęgowała się, horyzont zasnuł chmurami i lunął ulewny deszcz. Marynarze nadzy po pas wystawiali z rozkoszą zbrązowiałe ciała na działanie deszczu. Wieczorem wypogodziło się. Nad statkiem wysklepiło się gwiaździste podzwrotnikowe niebo, przeżegnane szerokim rozmachem Południowego Krzyża. Noc tę przespała Ludwika na pokładzie.

W ciągu najbliższych dwóch dni żegluga miała przebieg normalny. Na wysokości Wysp Kangurowych barometr zaczął gwałtownie spadać. Wśród załogi dało się odczuć lekkie podniecenie. Przewrót zaległa duszna, przyczajona cisza. Zbliżał się cyklon.

Peterson zeszedł do kotłowni i długo konferował z palaczami. Po powrocie na pokład twarz miał zimną, skupioną. Gniewosz zauważył, że tłoki pracują ze zdwojoną siłą, a okręt zbacza wprost na południe.

— Nie zawiniemy po drodze do Melbourne? — zagadnął kapitana.

— Nie. W czas sztormu na pełnym morzu „miętko”. Wolę nawet opłynąć Tasmanię, niż dostać się w szpony huraganu niedaleko wybrzeża. Byle tylko nie wpaść w jego „oko”.

Wieczorem zerwały się pierwsze podmuchy i zalały pokład wielką falą. Pasażerowie pochowali się po kajutach. Skończyła się morska sielanka, przemówił żywioł. Peterson noc całą nie schodził z wyżki<sup>29</sup>. W przerwach pomiędzy jednym a drugim atakiem grzywaczy głos jego spokojny, opanowany grzmiał donośnie przez megafon.

„Conqueror” heroicznie zmagął się z nawałnicą. Chyżość jego spotęgowana przez napór wiatru z rufy doszła nad ranem do wymiarów fantastycznych. Statek leciał po falach, nie płynął. Koło południa podoficer obsługujący aparat radiotelegraficzny przy wyznaczeniu położenia okrętu ze zdumieniem stwierdził, że znajdują się o parę mil morskich na południowy wschód od Tasmanii. Kapitan polecił zrobić zwrot przez sztag<sup>30</sup> i skierować statek dziobem na północ. Był to ostatni manewr, na który zdobył się jeszcze „Conqueror”. Odtąd stał się igraszką tajfunu. Miotany jak piłka przez rozhukane wały pędził z zawrotną szybkością w nieznanym kierunku. Rozpętany żywioł wytrącił z rąk ludzkich wszelką inicjatywę. Unosił w nieskończone dale. Rwał ku tajemniczym przeznaczeniom. Orientacja była niemożliwa.

Po pięciu dniach szaleńczej galopady raczej intuicją niż drogą obliczeń i pomiarów doszedł kapitan do wniosku, że pędzą jak opętani po podzwrotnikowych wodach Pacyfiku, na południe od Archipelagu Polinezyjskiego. Następnego dnia statek, przemykając jak potępieniec mimo jakiejś zablakanej w pustyni wodnej rafy atolu, zaczął kilem o wystającą z jej calizny ostrogę. Zachrobotało coś straszliwie pod kadłubem i „Conqueror”

<sup>26</sup>hisować — wciągać na maszt. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>paquebot (fr.) — duży statek pasażerski. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>Courage, madame (fr.) — odwagi, proszę pani. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>wyżka — mostek kapitański. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>zwrot przez sztag — zwrot, przy którym dziób jednostki pływającej przecina linię wiatru. [przypis edytorski]



śmiertelnie raniony przechylił się na bok. Awaria musiała być znaczna, bo parowiec nagle stracił dotychczasową chyżość i zaczął słać się. Woda gwałtownie wdzierала się do rozprutych jego wnętrzości.

— Do pomp! — zagrział rozkaz kapitana.

Rzucono się do wyczerpującej, bezpłodnej pracy. Po sześciu godzinach woda wtargnęła do kotłowni i pozalewała paleniska. Zbliżał się koniec.

Radiotelegrafista Sleet wysłał ostatnie rozpaczliwe depesze błagające o pomoc. Spuszczono jedyne dwie pozostałe jeszcze szalupy ratunkowe. Wypełnili je podróżni tak szczerze, że od razu groziły wywróceniem. Załoga z kapitanem pozostała na pokładzie.

— Starajcie się jak najdalej odsadzić się od okrętu! — krzyknął Peterson przez tubę do kierowników szalup.

— A pan tu jeszcze, inżynierze? — zdumiał się w następnej chwili, spostrzegając Gniewosza, który wynosił z kajuty na ramionach omdlałą żonę.

— Chciałem ją ocucić — tłumaczył się inżynier — i dlatego tymczasem wyprzedzili nas inni. Czy nie ma już dla nas miejsca?

Peterson zwrócił się do ludzi w bliższej statku szalupie, która właśnie odbijała od burty:

— Halo! Brown! Miejsce dla jednej kobiety!

Odpowiedziały mu głosy protestu.

— Rzuć im ją pan do łodzi, dopóki to jeszcze możliwe! — krzyknął Peterson — Sternik Brown ją przyjmie. Liczę na niego. Rzuć ją pan, póki czas!

Gniewosz objął Ludwikę ostatnim, rozpaczliwym spojrzeniem, dotknął ustami jej ust i mierząc oczyma odległość, rzucił ją. Na chwilę serce przestało mu bić w piersi. Para rąk brązowych muskularnych wyciągnęła się z szalupy ku spadającemu ciału i w porę pochwyciła w powietrzu.

— *All right!* — rzekł spokojnie Peterson. — Wiedziałem, że Brown nie zawiedzie.

Gniewosz trupio bindy stał obok na kapitańskim mostku i wpatrywał się w oddalającą się szybko szalupę. Łódź zmierzała z wysiłkiem w stronę pierwszej, która zdążyła już odpłynąć od okrętu na bezpieczną odległość. Wtem poprzez huk bujowiska przedarł się okrzyk grozy.

— Zatopiła ich wielka fala — stwierdził Peterson obserwujący przez lunetę szalupę pierwszą. — Może to i lepsze niż śmierć z głodu i wyczerpania po kilkudniowej tułaczce po pustyniach oceanu.

Gniewosz z zaciśniętymi ustami śledził ruchy „swojej” szalupy. Była wciąż jeszcze w zasięgu wpływów „Conquerora” i ciężko borykała się ze wzburzoną przelewą. Lada chwila mogła podzielić los swej towarzyszki. Inżynier powiódł oczyma po horyzoncie. Beznadziejność! Wszędzie rozdaśane morze, góry wodne, strzępiaste, zielonomodre ściany. Znikąd pomocy.

— Żegnajcie, chłopcy! — usłyszał jeszcze słowa kapitana stojącego tuż obok na wyżce. — Odchodzimy w sumieniach naszych spokojni.

— *Good-bye*, kapitanie! — odpowiedział mu chór marynarzy.

Gniewosz uczuł, jak woda podmywa mu nogi i sięga kolan, jak czyjaś ręka przytwierdza go liną do bariery mostku. W ostatniej chwili, gdy statek już zanurzał się pod powierzchnię oceanu, ujrzał, jak głęboki lej wodny, wytworzony przez tonący „Conqueror”, wessał w swoją orbitę pozostałą szalupę; wciągnięta w wiry wodne ginącego okrętu poszła za nim na dno. Gniewosz zachwiał się i stracił przytomność...

---

Gdy po wielu, wielu godzinach otworzył oczy, uczuł straszliwe pragnienie i rozsadzający czaszkę ból głowy. Upalne, podzwrotnikowe słońce przepalało mu ciemię. Słona, niemal gorąca woda oceanu przeżerała mu skórę.

— Ludka nie żyje! — przerwała drętwołę półuśpienia pierwsza zła nowina. — Nie żyje!

Zwinął się w sobie od bólu jak robak i znów zamknął oczy. Lecz raz puszczony w ruch aparat myśli nie próżnował: wysnuwał nowe przedziwa:

— Dlaczego nie zginąłem wraz z nią? Może lepiej było nie rzucać jej do szalupy?

Dopiero teraz uświadomił sobie ból w prawym ramieniu, przywiązany do czegoś twardego. Spojrzał dookoła. Morze. Bezmiar rozkołysanych wód. Pogoda. Słońce w zenicie. Pustka.

Wykręcił z trudem głowę na prawo, w stronę obolałego ramienia, i zobaczył fragment okrętowego mostku bujający wraz z nim na powierzchni oceanu.

Ktoś mnie przywiązał do bariery wyżki — pomyślał. — Prawdziwie niedźwiedzia przysługa.

— Peterson! — zawołał nagle, odtwarzając w pamięci ostatnie chwile statku. — Dzielny Peterson — powtórzył ciszej.

— *Good morning*<sup>31</sup>, inżynierze! — usłyszał tuż za sobą głos kapitana. — Jak się pan czujesz po całonocnej żegludze?

Gniewosz nie wierzył uszom.

— Mam halucynacje pod wpływem pragnienia i gorączki. Koniec już niedaleki — tłumaczył sobie, zasłaniając wolną ręką twarz przed okrutnymi pociskami słońca.

— Czemuż nie raczysz odpowiedzieć na pytanie, kochany inżynierze? — usłyszał znów tuż obok wyraźny głos Petersona.

Odwrócił się w pół ciała i spostrzegł w odległości jednego metra od siebie wystające z wody głowę i tors kapitana.

— To pan, kapitanie Peterson? — zapytał, by upewnić się o realności obrazu.

— Ależ tak, we własnej osobie — zapewnił towarzysz niedoli. — Jak się pan czujesz?

— Głowa mi pęka od bólu. Gdzie jesteśmy i jak długo już unoszą nas fale?

— W każdym razie na wodach Pacyfiku, w skrajnej pustyni wodnej. Co do czasu, wedle moich orientacji przebijaliśmy na fali jedno popołudnie, całą noc i rano aż do chwili obecnej.

— Więc „Conqueror” zatonął wczoraj?

— O ile mnie rachuby nie mylą, tak.

Zapadło na chwilę milczenie.

— Czy to pan, kapitanie, przywiązałeś mnie do bariery tego mostku? — podjął rozmowę Gniewosz.

— Z tonu wnoszę, że nie żywisz pan z tego powodu szczególniejszej dla mnie wdzięczności. Co prawda, ma pan słusność. Sytuacja nie do pozazdroszczenia. Tak — to ja.

Znów umilkli wyczerpani. Słońce doskwierało coraz nieznośniej. Głód i pragnienie szarpały wnętrze. Gniewosz chwilami tracił przytomność.

— Przypuszczam, że wkrótce już skończy się ta głupia farsa — odezwał się po paru godzinach męczarń Peterson. — Nie wytrzymamy już długo. Głód skręca mi kiszki nie na żarty. Zresztą liczę na pomoc rekinów. I tak cud to prawdziwy, że dotychczas nas nie wywęszyły.

Gniewosz nie odpowiedział. Był już na to za słaby. Zobojętniał na wszystko i z minuty na minutę wyglądał zbawczych cieni śmierci.

Po południu powiała orzeźwiająca bryza. Lekko wzdęta fala poczęła unosić.

— Hulloch! — usłyszał Gniewosz wieczorem radosny okrzyk kapitana. — Hulloch! Inżynierze! Łąd, łąd na czołowym nurcie! Ster na burtę! Wyrównaj kurs!

— Zwariował — pomyślał resztkami świadomości Gniewosz. — Pomieszały mu rozum głód i gorączka.

Jakaś wielka zwarta fala chwyciła szczątki mostku z rozbitkami w opiekuńcze ramiona, podniosła wysoko ponad roztocz i łagodnie złożyła na piasku wybrzeża...

<sup>31</sup>*Good morning* (ang.) — dzień dobry. [przypis edytorski]

# CZĘŚĆ DRUGA. KRÓL CZANDAURA

## OSTATNIA WOLA ATALANGI

Rzut fali, choć łagodny, oszołomił ich. Leżeli na płaskoci długie godziny bez pamięci. Słońce dawno już przeszło zenit, gdy kapitan Peterson pierwszy zaczął dawać słabe oznaki życia. Otworzył obrzękłe, przekrwawione oczy, odetchnął głęboko i spojrzał przytomnie. Uczuł pod sobą ziemię. Świadomość stałego punktu zaczepienia podziałała wzmacniająco. Dźwignął się trochę i oparł na łokciu. Wtedy spostrzegł o parę kroków od siebie rozciągniętego na piasku Gniewosza. Dzieliły ich roztrzaskane na drzazgi szczątki kapitańskiego mostku. Liny, którymi byli przywiązani do żelaznej jego bariery, zwisały im teraz z rąk poprzerywane jak nici. Peterson dziwił się celowości faktu. Mostek spełnił sumiennie swe zadanie aż do końca. Gdyby nie tych parę desek z kawałkiem zgiętego żelaza i tych kilka skrętów sznura...

— Hallo! inżynierze! Żyjesz jeszcze?

Potrząsnął silnie ramieniem towarzysza. — Nie było odpowiedzi.

— Do diabła! — zaklął. — Przetrwac tyle i w ostatniej chwili drapnąć na tamten świat — to byłoby głupio. Nie uśmiecha mi się perspektywa pobytu w pojedynkę na odludnej wyspie. Trzeba go ratować. Może jeszcze dyszy.

Przyczołgał się do Gniewosza i przyłożył mu ucho do piersi. — Słabo, jak utajone w głębinach dalekie źródłisko, biło serce.piersi.

— Żyje!

Ułożył go na wznak i rozpoczął akcję ratowniczą. Rytmiczne ruchy ramion stosowane umiejętnie odbierały powoli ciała sztywność martwoty. Policzki inżyniera powlokły się brząskiem życia. Odetchnął z głębi piersi i obudził się.

— *How do you do, old fellow?*<sup>32</sup> — przywitał go serdecznie Anglik.

Gniewosz uściśnął mu w milczeniu dłoni. Był za słaby, by odpowiedzieć.

— Żałuję ogromnie, że nie mam odrobiny whisky pod ręką — ubolewał Peterson.

— Zaraz by pana postawiła na nogi. Hulloch, nie jesteśmy tu sami! Co to za diabły?

Inżynier podniósł ociężałą głowę i ujrzał w głębi na tle skał jasnobrzązowych wojowników. Na ostrzach ich włóczni, dzid i toporków łamało się słońce tęczą ognia i blasków.

— Krajowcy — rzekł obojętnie.

— Zbliżają się ku nam w szyku bojowym, z zachowaniem wszelkich ostrożności. Do trzystu pomp! Czyśmy przypadkiem nie spadli z deszczu pod rynnę? Wyglądają na amatorów ludzkiego mięsa.

Gniewosz z trudem stanął na nogach. — Peterson sięgnął ręką do tylnej kieszeni i uśmiechnął się.

Na szczęście ocalał browning.

Podniósł broń i błysnął nią tryumfalnie pod słońce.

— Chociaż z drugiej strony wątpię, czy ci gentlemeni oceniają w pełni doniosłość tego środka obrony.

Spokojnie wziął na cel najbliższego. — Gniewosz powstrzymał go.

— Co pan robisz, kapitanie? Rewolwer przemoczony, na pewno zardzewiały od wody morskiej, zawiedzie i narazi nas tylko na śmieszność.

— Otóż właśnie mylisz się, kochany inżynierze. Musieli coś widocznie słyszeć o broni palnej, bo zmienili taktykę. Czy nie dostrzegasz pan tego z ich ruchów i postawy?

Peterson mówił prawdę. Krajowcy zatrzymali się, a ich przodownik dawał rozbitkom jakieś znaki.

— Aha — wywnioskował kapitan — zaczynają pertraktować. To co innego.

I spuścił browning. Odległość dzieląca ich wynosiła najwyżej pięćdziesiąt kroków. Rozróżniali już dokładnie twarze i głosy. Wyspiarze naradzali się widocznie nad metodą dalszego postępowania. Decyzja zapadła wkrótce. Naczelnik oddziału, wysoki, kształtnie

<sup>32</sup>*How do you do...* (ang.) — Jak się pan czuje, kolego? [przypis edytorski]

zbudowany mężczyzna, odłączył się od towarzyszy i odrzuciwszy daleko od siebie broń, zbliżał się ku białym z wyciągniętą życzliwie ręką. Kapitan oddał browning Gniewoszowi.

— Zostań pan z tym na miejscu w odwodzie, gotów jakby w każdej chwili do zrobienia z broni użytku. Pogadam sobie z tym gentlemanem samowtór. Znam trochę język polinezyjskich dzikusów. Bo przypuszczam, żeśmy wylądowali na jednej z wysp Oceanii, chociaż dalibóg to skaliste odludzie nie przypomina mi żadnej z poznanych przeze mnie w ciągu trzydziestu lat włóczęgi po tych zakazanych wodach.

Tymczasem kolorowy wojownik podszedł na odległość paru kroków. Na twarzy jego orlikowatej, jak z brązu wykutej, drzemał cień uśmiechu: smutna, mądra wesołość ludzi starej rasy na wymarcu.

— W imieniu władcy tej ziemi — przemówił śpiewnym głosem — króla i pana mego Atalangi pozdrawia was, bladzi przybysze, Izana, wódz plemienia Itonganów. Niech łaska bogów i aumakna<sup>33</sup> zmarłych włodarzy tej wyspy spłynie na was ożywczą strugą, niby mleko słodkiego figowca, a złośliwe widma taberanów<sup>34</sup> omijają z daleka progi waszych domów. Witamy was, rozbitkowie z nieznanym stronom, niebaczni na to, czy wyrzuciło was morze z woli duchów, czy też zesłał was nam kapryśny przypadek na przekór zrządzeniom wyższym swywołący.

Peterson potrząsnął mocno wyciągniętą ku sobie rękę wojownika.

— I my witamy cię, Izano, wodzu wielkiego Atalangi, i upewniamy was, że życzliwe przyjęcie, jakiego się tu spodziewamy, znajdzie wdzięczne echo w sercu najmiłościwiej nam panującego króla imperium Wielkiej Brytanii, władcy wielu ziem, wysp i ludów na wschód i zachód od wielkiej słonej rzeki.

Na ustach Izany zarysował się odcień ironii. Zmierzył obdartych, wycieńczonych do ostateczności rozbitków lekceważącym spojrzeniem.

— Na wdzięczność niczym nie liczymy. Spełniamy tylko wolę króla Atalangi, który polecił zaprowadzić was do punhonua, czyli domu dla prześladowanych przez złośliwość losu. Rada starszych rozstrzygnie o reszcie.

— A skąd pewność — zagadnął Peterson — że w sercu wielkiego króla nie kryje się wąż zdrady? Kto nam zaruczy bezpieczeństwo?

Izana spochmurniał.

— Atalanga stanąć ma niebawem przed obliczem najwyższego Atmy i zdać sprawę z ziemskiej wędrówki. Kłamstwo nie może przejść przez usta władcy. Widział was obu duchem w pierw, zanim stanęliście w kręgu naszych spojrzeń. Wiedzieliśmy od wczoraj, że przyjdziecie, i dziś wyszliśmy wam na spotkanie. Bądź rozsądny, biały człowieku.

Peterson spojrzał na Gniewosza.

— Kpi czy o drogę pyta? — zagadnął po angielsku.

— Nie wiem, o co idzie — odpowiedział inżynier. — Nie rozumiałem ani słowa.

Kapitan uderzył się ręką w czoło.

— Co za bałwan ze mnie! Że też o tym nie pomyślałem. Sądzę, że należy im uwierzyć na słowo i pozwolić zaprowadzić się do azylu, o którym wspomniał. Zresztą nie mamy innej drogi do wyboru. Upadam z głodu i wyczerpania.

Gniewosz przyjął decyzję apatycznie:

— Jak pan uważa, kapitanie.

— Izano — rzekł Peterson — wysłanniku króla Atalangi, idziemy za tobą, ufni, że punhonua Itonganów użyczy nam schronienia i opieki przed mocami zdrady i niedoli.

Twarz Izany rozjaśniła się.

— I nie zawiedziecie się. Odpoczniecie przez noc, pokrzepicie ciała jadem i napojem, a jutro na Radzie Starszych usłyszycie wolę króla. Teraz chodźcie za mną.

Odwrócił się do nich plecyma i ruszył ku swoim w głąb wyspy.

Gniewosz i Peterson poszli za nim, zachowując pewną odległość. Wkrótce skrawek piaszczystego strądu, na który wyrzuciło ich morze, wbiegł klinem w calizną wyspy i skończył się. Teraz droga wiła się krętym parowem pomiędzy bazaltowymi skalami. Czasem przechodziła w ciasną perć, zdolną pomieścić zaledwie jednego człowieka. Peterson ogarniał niespokojnymi oczyma ponure zwisy skalne.

<sup>33</sup>aumakna — 3 duchy. [przypis autorski]

<sup>34</sup>taberan — zły duch. [przypis edytorski]

— Gdyby chcieli nas skrócić o głowę, mogliby to teraz zrobić bez skrupułu. Jesteśmy jak w kleszczach.

Gniewosz milczał. Apatyczne spojrzenia jego biegly przed siebie, w szyję parowu, gdzie w słabej poświatli migaly półnagie postacie tubylców.

Tak przeszli linię nadbrzeżnych skał i znaleźli się po tamtej ich stronie, we wnętrzu wyspy. Na pierwszym planie rozkładała się teraz osada Itonganów, spowita woalami przedwieczornych dymów, w głębi modrzały w mgłach lasy palm, pandanów, drzew chlebowych i eukaliptusów, a w dalszej perspektywie rysował się potężny łańcuch górski ze strzelającym dumnie w błękit dwurożnym szczytem.

— Wulkan — zauważył Peterson. — I to w stanie czynnym.

Kłaczaste zwoje dymu wydobywały się leniwo z krateru i układały w równoległe lawice na jednostajnym błękitcie nieba.

Izana zbliżył się do nich i wskazał ręką na szczyt:

— Święta góra, Rotowera. Dom bogini Pele.

— Piękny szczyt — rzekł Peterson. — Wyspa ma charakter wybitnie wulkaniczny.

Izana skinieniem ręki oddalił swych towarzyszy. Odeszli ku osadzie, pomiędzy chaty, gdzie obskoczył ich tłum kobiet i dzieci.

— Punhonua jest już niedaleko — oznajmił wódz. — Widzicie ten czerwony dom, z trzech stron zamknięty ramionami świętego gaju? Tam wasz przytułek. Tam pójdziemy.

Niebawem znaleźli się w azylum. Izana wprowadził ich do wnętrza chaty, gdzie zastali już przygotowany dla siebie posiłek. Stół bambusowy, przykryty liśćmi pizangu<sup>35</sup>, nęcił owocami i soczystym, purpurowym miąższem gojawy<sup>36</sup>.

W wydrążonych kalabasach<sup>37</sup> bielalo mleko palmowe, w skorupach z kokosu pienila się limoniada „guarapo”.

Usiedli na trzciniowych zydlach. Izana nabrał łyżką z brzuchatego wnętrza tykwy na talerz trochę jakiejś stawy i zaczął jeść.

— *Poi* — tłumaczył — ryba, mąka i taro<sup>38</sup>.

Rozbitkowie zachęceni poszli za jego przykładem. Inżynier skrzywił się wprawdzie trochę przy przelękaniu egzotycznej potrawy, ale ostatecznie zjadł swoją porcję, bo nie wypadalo okazywać wstrętu. Za to owoce i placki z manioku<sup>39</sup> spożywał łapczywie. Prawdziwą rozkosz sprawilo mu mleko kokosowe i napój „guarapo”. Wychylili jednego i drugiego po parę donic. Peterson od razu nabrał humoru i starał się rozruszać trochę Gniewosza.

— Ci kolorowi gentlemeni — to pierwszorzędni smakosze. Zwłaszcza ta limoniada postawiła mnie na nogi. Teraz przydałyby się cygara lub przynajmniej papierosy.

Jakby spełniając to życzenie wyrażone po angielsku, Izana podawał im krótkie fajeczki, napchane już tytoniem.

— Hulloch! Całkiem po europejsku! — zawołał Peterson z entuzjazmem. — Jak w kawiarni przy Tower Street.

Chciwie wciągali obaj w płuca narkotyk. Wódz powstał od stołu.

— Teraz pozostawiam was samych. Odpocznijcie. Poza obręb tego domu nie wolno wam wydalac się. Gdybyście to usiłowali, ściagnęlibyście na siebie gniew mieszkańców tej ziemi. Wolno wam tylko usiąść na progu domu. Tylko w punhonua jesteście bezpieczni.

Wyszedł. Rozbitkowie obsunęli się leniwo na trzciniowe maty. Gniewosz z podłożonymi pod głowę rękami patrzył w wykrój okna, poprzez który zieleniała gąszcz świętego gaju. Wyczerpanie, egzotyzm środowiska i krajowców przez pewien czas podziały na niego oszalamiająco. Przytępiły ostrze wspomnień, zagłuszyły świadomość wielkiej straty. Teraz przyszyła reakcja. Rozwarła się czarna, zionąca bólem pustka. W zawrotnych jej kręgach zamierzchła na zawsze wizja ukochanej. Bezpowrotnie, nieodwołalnie. Zgasł po raz drugi miraż upojenia, zapadł się na wieki z trudem wzniesiony złoty dom szczęścia, Ludwiko! Ludwiko!

<sup>35</sup>*pizang* — gatunek banana. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*gojawa* — owoc tropikalny; dziś popr.: gujawa. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*kalabasa* — naczynie wykonane z wydrążonego owocu. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*taro* — jadalne bulwy rośliny o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*maniok* — tropikalna roślina uprawna, której bulwy można przerobić na mączkę. [przypis edytorski]

— *My old fellow*<sup>40</sup> — obudził go do rzeczywistości głos kapitana. — Należy zastanowić się nad sytuacją.

— Nie mogę.

— Więc pozwól przynajmniej, że cię w tym wyręczone.

— Słucham.

— Otóż przede wszystkim stwierdzam, że jesteśmy na wyspie duchów.

Gniewosz podniósł leniwo głowę.

— Wyspa nazywa się Itongo, a słowo to w jednym z narzeczy Oceanii oznacza ducha.

Czyli: wyspa-duch.

— Co dalej?

— Według moich przypuszczeń wyspa ta znajduje się gdzieś w samym sercu olbrzymiej pustyni wodnej Pacyfiku, rozciągającej się między ostatnimi zrzeczeniami wyspiarskimi archipelagu wschodniej Polinezji a kontynentem Ameryki Południowej. Fala wymiotła nas na wulkaniczny wydmuch Oceanu Spokojnego mniej więcej pod 90 st. długości zachodniej a 30 st. szerokości południowej.

— Być może. Wszystko jedno.

Peterson zaczął niecierpliwie się. Był człowiekiem pozytywnym. Rozumiał wprawdzie motywy tej apatii, lecz ostatecznie, do licha, jest się mężczyzną i trzeba przystosować się do zmienionego stanu rzeczy. Ton, w jakim odpowiedział, był z lekka podrażniony.

— No, nie bardzo wszystko jedno. Przede wszystkim uwzględnij pan tę okoliczność, że wyspa Itongo należy do tych nielicznych zapadłych kątów oceanu, których nie znam. Rozumie pan doniosłość tego faktu?

Gniewosz podniósł brwi i na próżno silił się, by zrozumieć.

— William Peterson, wytrawny wyga morski, długoletni szyper marynarki handlowej w służbie Jego Królewskiej Mości Jerzego VII, od roku kapitan śp. parowca „Conqueror”, nie zna wyspy Itongo, zabłąkanego skrawka lądu na pustyni Pacyfiku — nie zna go, chociaż czuł się dotąd na tych wodach jak u siebie w domu przy Hollow Street pod nr. 4. Czy nie dziwne?

— Może dziwne, ale nie doniosłe.

Kapitan wypuścił z lulki spiralę dymu.

— W jaki sposób, do stu kartaczy, zdołała się dotychczas przede mną ukryć?

— Kto taki?

— Ależ wyspa, panie, wyspa Itongo. A to już najdziwniejsze, że nigdy o niej nie sły-  
szałem. Znam na wylot całą Melanezję, zawiąłem niezliczone razy do wszystkich portów i przystani Mikronezji<sup>41</sup>, lata całe włóczyłem się po archipelagu wschodniej Oceanii — kaleczyłem sobie nielitościwie język na narzeczach Papuasów, zalecałem się z powodzeniem do pięknych Maorytek<sup>42</sup> z Nowej Zelandii i rozkosznych dziewcząt z Tahiti, piłem po knajpach z ludożercami Malajami i kumałem się za pan brat z Kanakami archipelagu Marquesas<sup>43</sup> i Wysp Hawajskich — a przecież nigdzie żaden z tych gentlemenów i *ladies* nie napomknął mi ni słowem o wyspie Itongo.

— Prawdopodobnie wyspa nie leży na szlaku żeglarskim.

— I na mapach nawigacyjnych też jej nie ma.

— Widocznie statki omijają te niegościnnie strony.

Kapitan zamyślił się.

— A wie pan, co mnie tu na wstępie najbardziej zastanowiło? — zapytał po chwili.

— Co takiego?

— Język i wygląd fizyczny mieszkańców.

Gniewosz okazał lekkie zainteresowanie.

— Porozumiał się pan z nimi od razu. Podziwiałem łatwość, z jaką to panu przyszło, kapitanie. Itonganie mówią jakimś znanym panu dobrze narzeczem.

— Otóż właśnie nie. Charakterystyczną cechą ich mowy jest zdumiewający eklektyzm. Pomieszały się tu wszystkie języki Oceanii, ha! żeby tylko Oceanii! Czy uwierzysz

<sup>40</sup>*My old fellow!* (ang.) — Mój stary przyjacielu! [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*Mikronezja* — region geograficzny środkowej Oceanii, gdzie występują archipelagi niewielkich wysp. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*Maorytka* — dziś popr.: Maoryska. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*Marquesas* (hiszp.) — Markizy, archipelag wysp w środkowej części Pacyfiku. [przypis edytorski]

pan, że zdołałem w ciągu tej pogawędki wyłowić w tym wyspiarskim volapüku<sup>44</sup> parę wyrazów rdzennie indyjskich, a nawet tu i tam kilka dźwięków z melodyjnej mowy Hiszpanów? Język Itonganów jest najprzedziwniejszym stopem narzeczy Oceanii, czerwonoskórych mieszkańców Ameryki Południowej i licho wie jakich jeszcze innych domieszek.

— Mimo to zorientowałeś się pan w tym chaosie dość szybko.

Peterson uśmiechnął się zadowolony.

— No tak. Mam pewne zdolności w tej mierze. Kwestia wprawy i długoletniego wsluchiwania się. Rozmawiając z Izaną, miałem wrażenie, że odbywam językoznawczą podróż z wyspy na wyspę, z archipelagu na archipelag, z epizodycznymi wypadami w krainę Peru, Chile, Patagonii czy nawet Meksyku.

— Fenomenalny zlepek!

— Nie mniej fenomenalny typ ludzi. Itonganie zdradzają wszystkie cechy mieszanców, i to niepośledniej sorty. Na ogół sprawiają na mnie wrażenie typu Metysów zwanego *cholo* lub *chino*<sup>45</sup>. Jest to oryginalna kombinacja krwi polinezyjskiej z krwią Indian południowoamerykańskich, a kto wie, czy nie z przymieszką błękitnej krwi synów Kastylii.

— To by odpowiadało właściwościom eklektycznym ich mowy — wtrącił Gniewosz.

— Oczywiście. Żałuję bardzo, że nie ma tu z nami mego starego druha z Londynu, dr. Stirrupa, zapalonego folklorysty i etnologa. Ten by tu używał po uszy.

Rozmowę przerwało wejście Izany. Wódz żuł liście areki i wypluwał na podłogę sok gorzki, żółto-czerwony.

— Biali bracia — zaproponował uprzejmie. — Los zdarzył, że zawitaliście do nas w święto huśtawek. Jeżeli chcecie, wolno wam przy moim boku przypatrzeć się tej pięknej dorocznej uroczystości.

Peterson powstał z maty zaciekawiony.

— A na cześć jakiego boga obchodzicie to święto?

— Święto huśtawek nie czci żadnego boga, lecz przyspiesza wzrost zboża i roślin.

Kapitan zwrócił się do Gniewosza.

— Chodź pan przed chatę. Należy skorzystać z uprzejmości wodza. Zobaczymy coś w rodzaju magicznego przedstawienia. Jak widzę, pokutują na wyspie bardzo stare wierzenia i obrzędy.

Wyszli przed azylum. Rozległa łąka przed „punhonua”, zamknięta po lewej i prawej ścianą pandanowego lasu, roila się już od ludzi. W blaskach zachodzącego słońca połyskiwały czerwobrazowe torsy mężczyzn w narzuconych na barki *ponchos*, odsłaniała się w niewinnym bezwstydzie tropikalna uroda kobiet, kryjących wstyd swój pod wąską nabiedrzną przepaską „uluri”, utkaną z kory delikatnej jak batyst.

Kończono gorączkowo przygotowania do obrzędu. Młodzieńcy wbijali w ziemię ramiona huśtawek, dziewczęta stroiły głowy w wieńce z mirtu, przeplatane kwiatem mimozy, szkarłatem *loranthu*<sup>46</sup> i hibiskiem<sup>47</sup>. Pod opiekuńczym skrzydłem świętego gaju, na trybunie wzniesionej z tarcic eukaliptu gromadziła się starszyzna i kapłani.

Zabrział wielki drewniany bęben, „garramuta”. Suchy, tępy dźwięk w jednej chwili zebrał jakby w garść ludzkie głosy, ścisnął, związał i zdławił. Wśród ciszy przedwieczornej godziny drgał samotny monotonna pobudką.

A potem jak westchnienie ulgi załkała przeciągle bambusowa *kaura*<sup>48</sup>.

Dziewczęta utworzyły podwójny szpaler. Pięć najdorodniejszych wystąpiło z szeregu i stanęło w środku czworoboku, gdzie wznosiła się umajona splewami palm i bukietami czerwonych kwiatów „waratah” huśtawka. — Przodownica obrzędu, wysmukła, pełna egzotycznej dystynkcji dziewczyna, podniosła ramiona ku zachodzącemu słońcu i wpatrzona w jego tarczę powoli opuszczała je ku poziomowi.

— To księżniczka Rumi, córka Atalangi — szepnął Izana na ucho kapitanowi.

— Piękna dziewczyna. Znać rasę. Wygląda raczej na Kreolkę najczystszej krwi niż na chinę.

<sup>44</sup>*volapük* — język światowy, tu: mieszanka języków. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*cholo*, *chino* — czytaj: czolo, czino. [przypis autorski]

<sup>46</sup>*loranthus* — rodzaj rośliny pasożytniczej. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*hibisk* — dziś popr.: hibiskus. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>*kaura* — piszczałka. [przypis autorski]

— I strojem różni się od towarzyszek.

— Wcale jej do twarzy w tym czerwonym staniku, niebieskiej spódnicy i płaszczu spiętym na ramieniu srebrną broszą. Podobne, choć mniej szlachetne typy kobiet spotykałem w Peru, krainie starożytnych Inków i Keczua.

— Księżniczka Rumi jest kapłanką bogini Pele i dlatego nie wolno jej wystawiać na widok publiczny swej krasy.

Tymczasem Rumi, oddawszy pokłon słońcu, wstąpiła na huśtawkę. Towarzyszki pożegnały ją powiewnym ruchem rąk i zajęły miejsca na czterech innych porozstawianych dookoła tamtej w czworobok. Muzyka wzmogła się i nabrała pełni. Umilkła garramuta, a odezwała się cała orkiestra smętnych kaur.

Rumi objęła rękoma sznury huśtawki i w takt melodii zaczęła się kołysać. Za jej przykładem poszły inne obrzędniczki. Pięć huśtawek wahało się rytmem spokojnym, uroczystym. Chór dziewcząt zanucił pieśń:

— Pozdrowioną bądź, Wajrumati-Ziemio, którą poślubił bóg Oro, by stworzyć rodzinę! Błogosławioną bądź, Matko nasza w bólach porodu, w których wydałaś na świat synów nieba, Raugis, i dzieci ciemności, Papas. Rozdzielona z twym dostojnym małżonkiem przez wyrodných synów, ślesz od wieków westchnienia ze szczytów gór ku Ukochanemu, a On, by ulżyć twej niedoli, łzawi na cię potokami dżdżów. O bądź nam łaskawa, Wajrumatri-Ziemio, i przyspiesz wzrost plonów na polach i grzędach. Ojtali! Wajtupi! Ojtali! Wamar!

Postawa czterech obrzędnic na rogach czworoboku zmieniła się. Ściągnęły z bioder szafranowe „uluri” i pyszne w swej dziewiczej, wyzywającej nagości zaczęły wykonywać brzuchami i udami lubieżne, wyrafinowane jurne ruchy. Tylko kapłanka Rumi kołysała się dalej na swej huśtawce równo, spokojnie, hieratycznie. Chór śpiewał:

— Jak bujnie, nęcąco prężą się piersi naszych dziewic pocałunków męzowskich spragnione — tak bujnie, bogato niech wyrasta na polach naszych kłos pszenicy taro i żyta, Ojtali, Wajtupi! Ojtali, Wamar!

— Jak obficie i słodko spłynie kiedyś młodziwo<sup>49</sup> ich łon w usta niemowląt — tak obficie i słodko niech obrodzą nam role! Cukier, trzcina, ziemniaki, ryż, konopie i len! — Ojtalati, Wamuru! Wisznarwati! Tarmor!

— Jak lubieżnie, miłośnie rozchylają się biodra i podnoszą ich brzuchy za ciężarem męzów stęsknione, godzinę zapłodu czujące — tak niech się zapłodnią niwy nasze, ugory ciężarem kłosów zboża, owocami drzew i gęstwą pożytecznych krzewów. Owies, jęczmień, bawełna, tytoń, kawa, banany i jabłoni kwiat! Ojtalita, Karumi! Wiwirada, Ejmar!

— Oj kołysz się, bujaj, święta plonów huśtawko, pod nieba skłon, pod słońca kres! Im wyżej śmigiesz, im śmielszy zatoczysz krąg, tym wyżej strzelą źdźbła zboża, tym bujniej zlegnie pomiot ról. Ojtalita, Radumi! Fermagore, Wajor!

Tempo huśtawek zwolniło. Jeszcze kilka wahaniec i stanęły. Dziewczęta okręciły znów biodra przepaskami i zeskoczyły w ramiona czterech wojowników, którzy wśród okrzyków unieśli je w tłum. Tylko Rumi ześliznęła się ze swej huśtawki bez niczyjej pomocy i otoczona gronem dziewic odeszła ku trybunie, gdzie zasiadła na poczesnym miejscu wśród starszych i kapłanów. Jeden z nich, Marankagua, chudy i żylasty, o chytrym, przebiegłym spojrzeniu, powstał i dał znak siedzącym obok sześciu towarzyszącom.

— Bracia magiczni! Idźcie spełnić waszą powinność! Rola złej wróżby czeka na was. Odzegnajcie klątewne tabu!

Kapłani przywdziali na twarze potworne, wykrzywione śmiechem maski i poszli w rytualny pływ: taniec rytmiczny na trzy kroki, na pół marsz wojenny z towarzyszącym mu pobrękiem tarcz uderzanych brzeszczotami mieczy. Marankagua, naczelny czarodziej i kapłan, prowadził korowód taneczny i chwycił ostatnie rzuty słońca w owalną pawęż podobną do miedzianego zwierciadła. Gdy doszli do roli „obłożonej klątwą”, czarodziej podniósł magiczne lustro i zatrzymał poziomo nad głową.

— Bracia! — wskazał na kłosa różnorodnych gatunków zboża skupionych na prostokącie pola. — Na tej roli zebrałem wszystkie złe źdźbła i kłosa, które miały przynieść klęskę naszej ziemi. Niech każdy z was zje ziarno obłożone klątwą, niech przetrawi i zniszczy złowieszcze ich tabu w swym ciele i uwolni role Itongo od klęski nieurodzaju.

<sup>49</sup>młodziwo — pierwsze mleko matek. [przypis autorski]



I dla przykładu zerwał najbliższy kłos pszenicy, wyluskał ziarno i spożył. Na to hasło orszak braci magicznych rozsypał się po polu linią sierpa. Kapłani odrzucili maski i wśród dźwięków muzyki „oczyszczali” rolę.

— Oryginalna symbolika — rzekł Peterson, śledzący z zaciekawieniem ruchy braci. — Ci fanatyczni czciciele starych guseł i przesądów są zanurzeni po uszy w mrokach dawności. Tu każda czynność, każdy gest wymagający pewnej inicjatywy zdaje się być uzależniony od woli bóstwa czy ducha żywiołu. Zresztą nic w tym dziwnego. Jakże mogłoby być inaczej na „wyspie duchów”?

Gniewosz słuchał kapitana z odcieniem niechęci.

Tymczasem „ludzie magiczni” spełnili swe zadanie i przywdziawszy znów maski, wśród dźwięków muzyki zbliżali się ku „punhonua”. Uwaga krajowców skupiła się teraz na białych przybyszach. Kapłani pod przewodnictwem Marankagui otoczyli ich ochronną eskortą. Przestał grzmieć wielki „garramuta”, umilkły przeciągłe tony fujarki „kaura” i wśród uroczystej ciszy wieczoru, przeprowadzani przez całą ludność osady, ruszyli rozbitkowie w stronę wsi.

Charakter osiedla, podobnie jak powierzchowność i język tubylców, posiadał znamiona zbiorowiska mieszanego. Był to jakiś chaotyczny konglomerat, którego składniki zdawały się walczyć między sobą o przewagę i rolę przodowniczą. Bystro obserwujący wszystko Peterson stwierdził niebawem, że w osadzie Itonganów można było odnaleźć najróżnorodniejsze typy sadyb, poczynając od najprymitywniejszych bud, szałasów i wigwamów, a skończywszy na regularnie budowanych i krytych dachówką domach. I w architekturze mieszkań skojarzyła się indyjska Ameryka z czarną Polinezją, jak na idealnym pograniczu dwóch światów.

Uwagę Gniewosza pochłonął nowy, niezwykle malowniczy widok. Wylot ulicy biegnącej między rzędami domów zamykał budynek większy i ozdobniejszy od innych, łączący w sobie cechy charakterystyczne bytowisk wyspiarskich Pacyfiku i namiotów czerwonoskórych synów Nowego Świata. Środek rezydencji królewskiej, zbudowanej z drzewa eukaliptusowego i sosny „kauri”, wystrzelał w górę stożkiem indyjskiego wigwamu, skrzydła domu, pokryte dachem równym i płaskim, z wydłużonym jak w gontynach słowiańskich okapem, przypominały raczej sadyby niektórych mieszkańców Czarnego Archipelagu. Na tle tego oryginalnego domostwa rozłożyła się bajecznie kolorowa grupa ludzi. W pośrodku w otworze wchodowym wigwamu na podwyższeniu siedział w pozycji półleżącej w szerokim, rzeźbionym w nefrycie krzesłisku sędziwy król Atalanga. Prawe skrzydło tronu i wyspa Kongo zajęła Rada Dziesięciu i synedrion<sup>50</sup> kapłanów z Huanaco na czele, lewe obsadziła drużyna wodzów i wojowników. Zapadające już w ocean słońce grało raketami blasków na ostrzach dzid, włóczni, rohatyn, przeglądało się po raz ostatni dnia tego w zwierciadłach puklerzy. Wieczorny wiatr, ciepły, aromatem ziół oddychający, szedł od skał nadbrzeża w równych rytmicznych odstępach, igrał łagodnie pękami piór na głowach mężów w rynsztunku bojowym i odpływał w głąb wyspy w zacisza lasów palmowych i święte gaje pandanów. Skądś, z oddali, z samego serca puszczy dolatywało gruchanie dzikiego gołębia.

Stanęli przed obliczem króla. Atalanga miał oczy przymknięte. Wychudła od starości i choroby twarz wydała im się dziecinnie małą w porównaniu do wymiarów torsu o silnie rozwiniętej klatce piersiowej. Głowa władcy przypominała w profilu maski egipskich faraonów z trochę ostrzej zaakcentowaną linią orlego nosa. Ciało starca miało barwę jaśniejszą od inkarnacji poddanych: odcień miedzi zmieszanej z cynobrem. Cała postać, złamana i wyczerpana do ostatecznych granic, zdradzała wyraźne znamiona zbliżającego się końca: cienie śmierci rozpięły już nad królem ponure skrzydła. A jednak, gdy nagle podniósł powieki i skierował na inżyniera spojrzenie czarnych, przenikliwych oczu, uczył Gniewosz silny, przejmujący do głębi prąd psychiczny. Przez chwilę Atalanga badał przybysza wśród bezwzględnej ciszy.

— Tak — rzekł w końcu głosem cichym, choć wyraźnym. — Nie pomyliłem się. To jest ten sam człowiek, którego ujrzałem we śnie po prawej ręce mojego tronu.

Dźwignął się z trudem i podtrzymywany pod ramiona przez kapłanów powiódł oczyma po otoczeniu.

<sup>50</sup>synedrion (gr.) — rada starszych. [przypis edytorski]

— Ludu mój! — przemówił. — Oto biały człowiek, zesłany wam przez wszechmocnego Manu<sup>51</sup>, by stał się po mnie pośrednikiem między wami a duchami z tamtego brzegu. Bo widziałem na jego głowie spoczywające ręce zmarłych moich poprzedników, a waszych władców. Od dziś dnia nazywać go będziecie Itonguarem, czyli kochankiem duchów, i czcić go będziecie jako tego, którego umiłowaly nasze aumakna<sup>52</sup>.

Oczy króla zatrzymały się znów na Gniewoszu, mocne, niemal surowe.

— A ty, Itonguarze, pomnij na wolę bogów i pełnij ją do końca dni swoich, jak na oblubieńca duchów przystało. Biada ci, jeżeli zapragniesz uchylić się od nałożonego na cię obowiązku. Pamiętaj, biały człowieku, że z dniem dzisiejszym zostałeś przyjęty do grona dzieci tej ziemi i podlegasz odtąd jej prawom. Dzień, w którym ośmieliłbyś się przełamać ich żelazny pierścień, stanie się dniem twojej zguby i potępienia. Bogowie ocalili ci życie i wyrzucili na tę ziemię, ażebyś służył braciom swoim w sprawach wyższych, byś przywrócił znów przerwany przez wiek mój i chorobę związek Itonganów z krainą zaświatów. Takim ma być odtąd cel twój, Itonguarze, i przeklinam cię, jeżeli zejdziesz z drogi, którą ci przez usta moje ukazują duchy zmarłych.

Położył drżącą rękę na ramieniu Gniewosza i długą chwilę wpatrywał się weń głęboko. Potem opadł znużony w siedliszczce i mętne już, przesłonięte mgłą oczy utkwiał w twarzy kapitana.

— A ty, biały bracie — mówił słabym, urywanym głosem — który zdajesz się być jego przyjacielem, będziesz jednym z naszych wodzów i tłumaczem słów Itonguara, dopóki ten nie opanuje mowy dzieci tej ziemi. Witam cię, wodzu i towarzyszu broni, pod imieniem Atahualpy.

Peterson skłonił się i przemówił krótko w tonie równie uroczystym.

— Wielki królu i kapłanie plemienia Itongo! W imieniu własnym i obecnego tu przyjaciela mego Itonguara zapewniam cię i lud twój, że włożone na nas obowiązki i zadania spełnimy i dołożymy wszelkich starań, by pozyskać serca naszych nowych braci.

Gromki okrzyk zadowolenia i szczęk tarcz uderzonych włóczniami na znak entuzjazmu były odpowiedzią na słowa kapitana.

— Niech żyje Itonguar, oblubieniec duchów! Niech żyje wódz Atahualpa, jego przyjaciel!

Dla zacieśnienia węzłów młodego przymierza podano w naczyniach z tykwy napój „mate”, rodzaj naparu z liści prażonych krzewu podobnego do herbaty. Pito ją kolejką przez rurkę trzciniową „bombilla”, podawaną z ręki do ręki. Pierwszy łyk wciągnął Atalanga, po czym odsunął naczynie z nalewką ku itonguarowi. Po nim pił Atahualpa i z kolei chciał wręczyć bombillę Marankagui. Lecz Wielka Medycyna odmówił.

— Nie godzi się — tłumaczył się z obłudnym uśmiechem, poza którym kryła się tłumiona niechęć — bym ja, niegodny i wzgardzony sługa świątyni i bogów, pił zaraz po przyjacielu oblubieńca duchów.

— Masz słuszność, Marankagui — odpowiedział oschle Peterson. — Pomyliłem się. Po Atahualpie powinien pić jego przyjaciel i towarzysz broni — ten, który pierwszy powitał nas na tej ziemi: Izana.

I podał bombillę wodzowi. Ten uśmiechnął się życzliwie i pociągnął potężny haust odwaru.

Pogodny nastrój wytworzony przez ceremoniał złączyło nagle zasłabnięcie króla. Wśród zawodzeń kobiet i ogólnego popłochu zanieśli go członkowie Rady Dziesięciu w głąb domu. Nad wyspą zapadła tymczasem przecudna, gwiaździsta noc. Na ciemny szafir nieba położył się znakiem błogosławieństwa wielki Krzyż Południa.

Izana wskazał rozbitkom jeden z budynków sąsiadujących z rezydencją Atalangi:

— Odtąd zamieszkacie w tym domu. Chodźcie! Posiłek wieczorny czeka na was. Ty zwłaszcza, Itonguarze, musisz posilić się, bo jutro czeka cię „próba mocy”.

W czasie wieczerzy wyjaśnił kapitan Gniewoszowi treść przemówienia Atalangi. Inżynier słuchał początkowo z roztargnieniem, potem ze wzrastającą z każdym słowem uwagą. Gdy Peterson skończył, Gniewosz zamyślił się i milczał uporczywie. Wreszcie, nie odpowiadając na zadane pytanie, opowiedział mu zwięźle dzieje swego żywota. Peterson słuchał

<sup>51</sup>*Manu* — w hinduizmie ojciec rodu ludzkiego i prawodawca. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>*aumakna* — dusze zmarłych władców uważane za bóstwa niższe. [przypis autorski]

nie przerywając. Gdy Gniewosz skończył i zadumany wpatrywał się w ognisko, kapitan uściskał mu rękę.

— Odwagi, przyjacielu! Wprawdzie linie twego życia układają się dziwnie i jakiś fatalny los zdaje się pędzić cię wciąż w jedną niesamowitą stronę, nie trać otuchy. Nie należy poddawać się przypadkowemu zbiegowi okoliczności.

Gniewosz uśmiechnął się gorzko.

— Przypadkowy zbieg okoliczności — powtórzył bezdźwięcznie.

— Ależ naturalnie. Że ten konający kacyk znalazł w tobie materiał na medium, czy, jak się wyraził po swojemu, na pośrednika między tymi dzikusami a duchami ich przodków — to uważam za czysty przypadek.

— A mnie zastanawia to, że moment naszego ocalenia zeszedł się w tak zagadkowy sposób z chwilą jego agonii. Jak gdyby Atalanga czekał na moje tu przybycie, jak gdyby niewidzialne moce umyślnie spowodowały rozbicie statku w pobliżu wyspy.

— Jesteś przesądny, mój kochany.

— O nie! Miałem dotychczas aż nadto dowodów, że życiem moim kierują zaświatowe jaźnie.

Peterson spoważniał.

— Jeżeli tak jest istotnie, powinieneś okazać się mężczyzną i wydać im walkę na śmierć i życie.

Gniewosz powstał i wyprostował się. W oczach jego znużonych zatliła iskra obudzonej znów energii.

— I uczynię to — rzekł mocno. — Choćby dlatego, by pomścić śmierć Krystyny i Ludwika.

— A ja ci w tym dopomogę, John! Tu moja łapa.

Inżynier ujął w obie dłonie tę męską, życzliwie wyciągniętą rękę.

— Dziękuję ci, Will.

Kapitan uśmiechnął się.

— Tylko pomalutku, tylko metodycznie. Oto mój plan. Zdobędziemy pełne ich zaufanie, zyskamy wpływy, które ułatwią nam życie i sytuację, a przy pierwszej nadarzającej się sposobności wyfruniemy stąd, aż się za nami zakurzy. Cóż ty na to, John?

— Droga jedyna. Nie ma innego wyjścia. Poddaję się pod twoją komendę.

Peterson wypuścił z fajeczki gęsty kłąb dymu.

— *All right!* A wiesz, gdzie mniej więcej znajdujemy się w tej chwili?

— O ile sobie przypominam, określiłeś już raz szerokość i długość geograficzną wyspy — odpowiedział Gniewosz z lekkim uśmiechem.

— Gdzieś na ostatecznych, wschodnich krańcach Polinezji, na odosobnionej, od świata i towarzyszek odciętej wyspie Oceanu Spokojnego, w samym sercu pustkowi wodnego, na wysokości środka Republiki Chilijskiej.

— *Vis à vis* Chile? Skąd to przypuszczenie?

— Pomijając niektóre szczegóły w strojach kobiet, zwłaszcza tej czarnobrewej księżniczki Rumi, odnalazłem w języku Itonganów i w niektórych ich zwyczajach wyraźne ślady wpływów chilijskich. Kto wie, czy przed wiekami któryś z ich przodków nie przywędrował na samotną wyspę z kontynentu Południowej Ameryki? Co to za hałas!...

Ciszę nocy rozpruł ostry zgłęb głosów: niskie, gardłowe okrzyki mężczyzn i piskliwe biadania kobiet. Izana, dotychczas przysłuchujący się obojętnie niezrozumialej dla siebie rozmowie białych, wybiegł z chaty. Nagle w drzwiach wykwitła postać prześlizgniętej dziewczyny w czerwonym staniku, niebieskiej spódnicy i płaszczku spiętym na ramieniu broszą. Miała lzy w oczach i przerażenie w twarzy. Podeszła do Gniewosza i chwyciła go za rękę.

— Atalanga — rzekła, tłumiąc łkanie — mój pan i ojciec odszedł przed chwilą w krainę cieniów.

Peterson popatrzył na nią z współczuciem.

— Biedne dziecko. Straciła przed chwilą ojca. To księżniczka Rumi.

Gniewosz odruchowo otoczył ją ramieniem.

— Rumi, Rumi — powtórzył parę razy miękko.

Odsunęła się lekko i zwróciła do kapitana:

— Przyszłam was ostrzec przed Wielką Medycyną. Czarodziej Marankagua zazdrości Itonguarowi jego nowego stanowiska wśród moich braci i nienawidzi was obu. Miejcie się na baczności. Atahualpo, powtórz moje słowa w języku ojców twoich oblubieńcowi duchów.

Zanim kapitan zdążył spełnić jej życzenie, rozległ się szyderyczy śmiech czarnoksiężnika.

— He, he, he! — śmiał się Marankagua na progu chaty. — Cóż to robi w domu białych braci królewska córka i kapłanka wielkiej bogini?

A gdy mu nikt nie odpowiedział, zmienił ton drwiący na surowy i twardy jak brzeszczot tomahawka:

— Twoje miejsce w świątyni, u boku strażniczki Wajmuti. Nie przystoi ci, dziewicy i kapłance, przebywać nocną porą w domu mężczyzn.

Rumi rzuciła krótkie spojrzenie na inżyniera i milcząc odeszła. Marankagua popatrzył na białych z wyzywającym uśmiechem. Lecz Peterson nie pozostał mu dłużny.

— Marankagua — rzekł dobitnie, podkreślając każde słowo — nie wtrącaj się do cudzych spraw, a pilnuj lepiej swoich bożków, kapłanów i ceremonii. Radzę ci nie wchodzić nam w drogę.

— Taką silną już stopą stanęli od pierwszego dnia na ziemi ojców moich biali bracia? — zaszczał zjadliwie czarnoksiężnik. — Zobaczmy jutro, Atahualpo, czy twój przyjaciel przebędzie równie zwycięsko jak dzisiaj drugą próbę — trochę cięższą — próbę swojej siły.

Kapitan wskazał mu ręką drzwi.

— O to jesteśmy spokojni. A teraz pozostaw nas samych.

Gdy czarownik zniknął w ciemnościach nocy, Gniewosz i Peterson wyszli przed dom i usiedli na ławie pod okapem. Przez chwilę panowało milczenie. Przerwał je kapitan uwagą:

— Tak tedy umarł król Atalanga, wyznaczając przed śmiercią rolę częściowego swego następcy tobie, John. Tragikomiczny testament.

Gniewosz nie odpowiedział. Obserwował z zajęciem biały, haftowany rubinami iskier pióropusz dymu, wysuwający się cicho z krateru świętej góry.

— Wulkan Rotowera! — szepnął. — Wulkan Rotowera...

## POGRZEB

Najazutrz wczesnym rankiem zebrała się w wietnicy<sup>53</sup> w pośrodku wsi Rada Dziesięciu pod przewodnictwem arcykapłana Huanaki, by ułożyć porządek obrzędów pogrzebowych i omówić szczegóły żałobnego ceremoniału.

Tymczasem Wrumaroti, wdowa po wielkim królu, i jej trzy dorodne córki, jako najbliższe zmarłego i stąd obciążone niebezpiecznym dla otoczenia „tabu”, wzięły kąpiel oczyszczającą w świętej sadzawce Torana opodal świątyni boga Oro. Potem przywdziały białe szaty na znak żałoby i starannie wystrzegały się zbytniego zbliżenia do innych, by cień ich nie padł na nikogo i nie zaszkodził. Jako bowiem obłożone „tabu” wskutek śmierci ojca i męża uchodziły przez dni 7 za istoty nieczyste, których należało unikać. Z tego też powodu zaraz po wyjściu z kąpeli zamknięto wdowę w świątyni obok Torany, by wpływ żałobnicy, zgubny dla pozostających poza obrębem jej rodu, osłabić na czas niebezpieczny pierwszych dni siedmiu.

Po zarządzeniu tych środków ostrożności Marankagua wysłany z dwoma innymi szamanami do domu żałoby w obecności zgromadzonych tam tłumów zmienił imię zmarłego na Ayakuczo, by częste wspomnianie właściwego imienia nieboszczyka przez poddanych nie przynęciło jego ducha z tamtego brzegu pomiędzy żyjących. Nawet psa ulubienca i ukochanego konia królewskiego, Aśwatambę, przemianował czarownik, by ci, co pozostali przy życiu, przez przyzywanie tych zwierząt nie wywabili z zaświatów cienia ich właściciela. W końcu czterech wodzów wyniosło nieboszczyka z domu żałoby, każdy dźwigając na ramieniu jeden z czterech drążków feretronu, nie patrząc na króla i unikając dotknięcia zwłok, które powoduje dziesięciodniową nieczystość. A gdy już żałobnicy

<sup>53</sup>wietnica — dom narad. [przypis autorski]

przekroczyli próg domu i mary zaczęły oddalać się ku „fejtoce”<sup>54</sup>, Marankagua przyłożył pierwszy do skrzydła królewskiej sadyby płomień żagwi. Zajęły się w lot przepojone żywicą sosnową węgary i stanęły słupem ognia. Trzech innych „ludzi pożarnych” podstaąpiło z pochodniami pod pozostałe węgly domu i przeszczepiło im czerwoną moc żywiołu. Wśród jęków i zawodzeń płaczek spłonęła rezydencja króla Atalangi.

A on sam tymczasem z orlą głową wspartą na tarczy, z rękoma krzepko zaciśniętymi dookoła drzewca włóczni i tomahawku, nieczuły już i zimny na wszystko, zbliżał się powoli na barkach wiernych wodzów ku miejscu wiecznego spoczynku. Za marami sześciu wojowników w pełnym rynsztunku bojowym okrążało powolnym, tanecznym korowodem wielki bęben „garramuta” z wypalonym na nim wizerunkiem zmarłego, za tanecznikami szła kapela flecistów przygrywających na bambusowych kaurach i orszak płaczek, za tymi Rada Dziesięciu, kapłani, wodzowie, szamani i wojownicy, potem szary tłum mężczyzn i kobiet. Zamykała pochód w pewnym oddaleniu rodzina zmarłego, krewni i domownicy. Cienie ich, ile że dzień był słoneczny, a godzina już przypołudniowa, rzucały na drogę wizerunki ich mocne i wyraziste, jakby ostrzegając tych, co szli przed nimi, by mieli się na baczności.

Tak doszli do pierwszych drzew świętego gaju. Stąd do celu wędrówki było już niedaleko. Cmentarz bowiem władców północnej części wyspy Itongo, fejtoką zwany znajdował się w odległości jednej wiorsty od stolicy kraju, za trzecim lasem, po tamtej stronie rzeki Jatupi. Orszak przeszedł gaj pandanów<sup>55</sup>, minął las palm i eukaliptusów i przesunawszy się przez głuchą aleję drzew mangrowiowych, wyłonił się na obszernej, kolistej, kurhanami królów pokrytej przestrzeni. Taniec i muzyka ustały. W ciszy południa umieszczono zwłoki w postawie siedzącej, twarzą ku wschodowi, w świeżo wykutej pieczarze. Obok złożono trofea wojenne, broń, dwa dzbany rzeźbione z jadeitu, jeden z wodą, drugi z mlekiem kokosu, i misę srebrną z potrawą „poi”; potem otwór grotty zawalono kamieniem i obrzucono ziemią i darnią. Na szczycie kurhanu Huanako zasadził kazuarinę<sup>56</sup>, krzew żaloby i smutku. Modlitwy kapłanów nad świeżą mogiłą zakończyły pogrzebowy obrzęd.

Gdy już odeszli od grobu wodzowie i żałobnicy, wysunęła się z tłumu białym kwefem otulona kapłanka Rumi i z płaczem serdecznym przypadła do kurhanu rodzica. Prócz białych nikt na to nie zwrócił uwagi, bo wszyscy zajęci byli teraz przygotowaniami do stypy.

Na kolistym polu pomiędzy mogiłami, porosłym trawą, jaskrami i szkarłatnym draczem, zbijano naprędce stoły z tarcic sosnowych, rozstawiano donice z kokosowych skorup, flaszki z dyń i tykwy, rozścielano maty i obrusy z mszystych liści pizangu. Dziewczęta, o ciałach koloru brązu i miedzi, półnagie, w przepaskach „paruru” z tappy-papierotki na rozłożystych biodrach, przelewały z cynowych dzbanów w kubki i puchary cierpki jabłecznik, wino palmowe i orzeźwiający w skwar letni „guarapo”, czyli limoniadę z trzciny cukrowej i cytryny, oszałamiający napój z owocu „algarobo”, który wolno pić tylko kobietom zamężnym, i odurzający trunk „awą” zwany.

Z półmisków pociągały oczy i podniebienia ponętnie gojawy podobne do pomarańcz, o miąższu purpurowym i ziarnistym, posytnie smaczliwki, których mięsowocnie soczyste i jędrne kryje skorupa skórowata i oleista, pizangi, pigwy, banany, pootwierane gościnnie, mlekiem słodkim wypełnione czary z kokosu, melony, pataty, rączkami młodych niewiast wypiekane placki z taro i orzechy ratta.

Do uczt zasiadli najpierw członkowie Rady Dziesięciu, wodzowie i kapłani. Tymczasem młodź płci obojej odprawiała pląsy. Wojownicy, natarci w krzewach przez niewiasty tłuszczem i farbami, w płaszczach z kangurów, strojni w pióra strusia emu i kakadu, w perukach z włókien roślinnych, z włosami upudrowanymi na czerwono, zatoczyli szeroki krąg taneczny „korroboro”. Potrząsając groźnie dzidami i pochodniami, zaczęli od strojenia min potwornych, by powoli przejść w tempo dzikiego, wojennego pląsu. Po „korroboro” przyszła kolej na taniec „duk-duk”. Odańczył go drugi zastęp młodzieńców, gdy tamci znużeni podeszli do stołów. Przy dźwiękach kaury i garramuty nadzy

<sup>54</sup>fejtoka — cmentarz. [przypis autorski]

<sup>55</sup>pandan — rodzaj drzew i krzewów występujących w tropikalnych rejonach Afryki, Azji, Australii i Polinezji. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>kazuarina — gatunek drzewa tropikalnego występującego w Australii i Oceanii. [przypis edytorski]

tancerze w maskach z czaszek zwierząt, tzw. „kowarsach”, nacierali na siebie tarczami z wyciętym na nich wizerunkiem drzewa totemowego pandanu i uderzywszy puklerzem o puklerz, rozbiegali się z okrzykiem bojowym na linię tanecznej peryferii.

Przyszła kolej na dziewczęta. W przepaskach z delikatnej jak batysty kory kryjących części sromne, w czarnych mantillas<sup>57</sup> zarzuconych fantastycznie na plecy i głowy, ze złotymi grzebieniami wpiętymi we włosy, poszły w taniec falą ciał gibkich, ciemnobrązowych. W leniwych skrętach wiły się ich torsy wydatne, o piersiach stromych, kształtu gruszek, kołysały biodra rozwodziste, bujawe<sup>58</sup>, krzyżowały się łydki sprężyste, o konturach smukłych, młodych antylop.

Taniec był szczególny. W przeciwieństwie do dzikich skoków i rzutów mężczyzna tchnął miękkiem wdziękiem i hamowaną dyskretnie lubieżnością. Było w nim coś z hiszpańskiego fandango<sup>59</sup>, szerokiego gestu habanery<sup>60</sup> i chilijskiej cueca<sup>61</sup>.

Peterson miał chwilami wrażenie, że przypatruje się płasom uroczym południowoamerykańskich Kreolek, tańczących na towarzyskich tertullas<sup>62</sup> gdzieś w Limie, Arequipa czy Caracas, lub że uczestniczy w ludowej zabawie na pograniczu Peru i Boliwii i podziwia rozchybotane w tanecznym szale, przy dźwiękach gitar i mandolin palące cigarillos<sup>63</sup>, półkrwi hiszpańskiej seniority.

Trącił łokciem stojącego obok w zadumie Gniewosza:

— John, to ładne, co? Nawet bardzo ładne?

A po chwili:

— Słuchaj, John — ten pierwszy taniec, męski — to była Polinezja — ten drugi — to Południowa Ameryka, to kultura taneczna prastarych Indian może z czasów Inków lub Tolteków<sup>64</sup>, zmieszana z rytmem krwi hiszpańskiej.

Inżynier nie zdążył z odpowiedzią, bo czyjaś ręka mocno, choć łagodnie odciągnęła go w inną stronę. Odwrócił się i spostrzegł Huanakę. Starzec spoglądał na białych porozumiewawczo i znakami dawał do poznania, że pragnie pomówić z nimi na osobności. Usłuchali wezwania i podeszli z nim ku upłazowi<sup>65</sup> pod jednym z kurhanów, okrytemu cieniem żalobnej kazuariny. Tu usiedli. Kapłan patrzył w milczeniu na biesiadników i tancerzy w pośrodku cmentarza, a potem nie odwracając oczu od obrazu, rzekł do Petersona:

— Bracie Atahualpo, słuchaj uważnie, co powiem, i w chwilach przerwy tłumacz Itonguarowi znaczenie słów moich. Bo przeznaczone są dla niego.

Kapitan skinął głową. Huanako utkwiał w Gniewoszu spojrzenie swych mądrych, do brych oczu i długo badał go do głębi.

— Itonguarze! — przemówił wreszcie głosem cichym a uroczystym. — Ponieważ wszechmocny los i wola króla chciały, byś został pośrednikiem między nami a duchami naszych praocjców, powinienes poznać przeszłość naszą i dzieje naszej ziemi. Wielki król, umierając w moich ramionach, polecił mi wtajemniczyć cię w te sprawy, zanim złożysz przed ludem dowody swej nadziemskiej siły. Otóż powinienes wiedzieć, że wyspa Itongo jest jednym z tych rzadkich, ukrytych przed okiem zwyczajnych ludzi zakątków, w których gromadzą się i przechowują ślady zamierzchłych wieków ludzkości. Takich miejsc rozrzuconych po ziemi jest niewiele; może dwa, trzy najwyżej. Jednym z nich jest kraina Itongo. Takie dalekie od gwaru świata i ludzkich rynków zaułki istnieć muszą zgodnie z wolą Przedwiecznego, by w nich zapisywało się i utrwalalo poprzez wieki wszystko, co Ziemia i jej synowie przeszli od prapoczątku aż do chwili obecnej. Są to jakby oszczędzone przez czas i śmierć składnice przeszłości, gdzie nie tknięte przez wielkie prawo przemian żyją wciąż wspominki lat ubiegłych. Taką składnicą jest i ład, na który wyrzuciła cię łaskawa fala. — Wyspa Itongo jest jak kosztowna, omszała pleśnią czasu kruza nagrobna,

<sup>57</sup>*mantilla* (hiszp.) — rodzaj peleryny. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*bujawy* — kołyszący się. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>*fandango* — hiszpański taniec o szybkim tempie. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*habanera* — taniec hiszpański. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*cueca* (hiszp.) — taniec chilijski. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*tertulla* (hiszp.) — przyjęcie. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>*cigarillo* (hiszp.) — papieros. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*Toltekowie* — prekolumbijska kultura ze środkowego Meksyku, poprzedzająca państwo Azteków. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>*uplaz* — bezdrzewna pochyłość w górach porośla trawą. [przypis edytorski]

w której wieki złożyły swe najcenniejsze skarby. Wyspa Itongo jest „punhonua” wygnanych ze wszystkich stron ziemi bogów, przytułkiem dla strąconych z tronów i ołtarzy zaświatowych mocy, które tu znalazły bezpieczne schronienie. Tułają się po dziewiczych jej borach i kniejach istności prastare, z wszystkich krańców świata rodem, błakają stwory żywiołów wypłoszone skądinąd przez ludzki śmiech i ludzką niewiarę, włóczą się bóstwa i kształty myśli dawno już przebrzmiałe, na targowisku świata za wymarłe uchodzące. Tu żyją i trwają jako ślad dni minionych, przewyciężonych i męką serdeczną przebytych. Przygarnęli je gościnnie jeszcze ojcowie nasi, a my, wnukowie, przymierza starego dochowujemy. Nawiedzają nas czasami, w chwilach ważnych, schodzą do naszych chat z gór, lasów, kurhanów, jezior, cmentarzy i podszeptują naszym królom, tłumaczom woli zmarłych i czarownikom nieraz sprawy ważne, udzielają rad.

Huanako przerwał swą opowieść i zamyślonymi oczyma wodził po kołyszących się pośepnie kazuarinach. Gdy kapitan przetłumaczył Gniewoszowi treść słów jego, starzec skupił się ponownie i podjął rzecz przerwana.

— Stanowisko swe wyjątkowe na ziemi zawdzięcza wyspa Itongo swej dawności i swemu pochodzeniu. Kraina nasza jest szczątkiem najstarszego na świecie, olbrzymiego ładu, który przed milionami lat rozciągał się na przestrzeniach dzisiejszej wielkiej słonej rzeki, a później, po wielokrotnych wybuchach gór ognistych, został zalany przez fale. — Resztkami tego olbrzymiego ładu są dzisiaj rozrzucone po wielkiej słonej wodzie pojedynczo lub gromadami wyspy na zachód od naszej, a zamieszkałe przez braci o ciemniejszej od naszej barwie skóry: wy, ludzie Zachodu, nazywacie ich Czarnymi. Wyspa Itongo jest ostatnim, najbardziej na wschód w głąb oceanu wysuniętym szczątkiem zaginionej ziemi. Zamieszkiwał ją przed dniem straszliwej klęski i zatracenia ród olbrzymów, praojców naszych czarnych braci wyspiarzy. Gdy wielki, czarny ład w pochodzie wieków zanurzał się częściami pod powierzchnię wody, na Dalekim Wschodzie<sup>66</sup> dźwigał się z morskich otchłani ład nowy, nie mniej rozległy. Zachodnie jego kończyny sięgały daleko poprzez roztocze wód, a jedna z jego odrośli rozciągała się nawet w niewielkiej odległości od naszej wyspy. Wtedy to mieszkańcy młodego ładu, ludzie czerwoni i miedziani, przywędrowali na statkach i łodziach do naszych przystani i zmieszawszy się z rodem tubylców, stali się założycielami dzisiejszego plemienia. Stąd w krwi naszej płyną dwa nurty, jak w duszach naszych pokutują wspomnienia dwóch ładów, dwóch różnych światów. Bo i ów ład drugi uległ po wiekach losowi pierwszego, by ustąpić miejsca trzeciemu, który dziś ludzie biali nazywają podobno Nowym Światem. Wskutek okropnych wstrząsów, jakie wtedy po raz trzeci nawiedziły starą Ziemię, zapadła się pod zwierciadło morza bliska nas odnoga drugiego ładu i wyspa Itongo znalazła się osamotniona wśród nieprzejranej pustyni wodnej. Lecz pamięć dawnych czasów i dzieje jej pochodzenia przekazywane z pokolenia w pokolenie przetrwały do dzisiaj i mieszkańcy Itongo wiedzą, że wyspa ich jest ostatnim śladem pogranicza dwóch zamarłych przed wiekami światów. — A że ludy, z których powstało plemię Itonganów, należały do najstarszych na Ziemi i stały może u kolebki rodu ludzkiego, dlatego Manu<sup>67</sup> świata wybrał ich wyspę na przytułek dla prastarych wiar, upadłych bogów, duchów i stworów żywiołu. Bo wszystkie one były przemijającym Jego obrazem, bo we wszystkich nich odzwierciedlał się On, Przedwieczny, w coraz to inny sposób.

Lud nasz, jak widzisz, Itonguarze, jest ludem bardzo starym. Powstały ze zmieszania się ludzi czarnych i czerwonych, pełnił się przez wieki dwoma korytami. Na północnej polaci wyspy przeważała krew szlachetniejsza, wydając rasę Itonganów Jasnych, w południowej, po tamtej stronie łańcucha gór, wzięła górę krew pośledniejsza i spłodziła odmianę Itonganów Czarnych. Stąd wybuchły waśnie i spory, które doprowadziły do podziału kraju na dwa państwa rządzone już od wieków przez udzielnych królów. Władcą obecnym Południa jest Tarmakore.

Do pogłębienia różnic między ludem Jasnym i Ciemnym przyczyniło się zstąpienie pomiędzy Itonganów Północy jednego z bogów leśnych, Tane-Mahuty. Ten, upodobawszy sobie jedną z naszych dziewic, zszedł z drzewa w jej łono, kiedy zasnęła w cieniu

<sup>66</sup>na Dalekim Wschodzie — z punktu widzenia Huanaki ład Ameryki Połudn. i części Afryki leżały na Wschodzie. [przypis autorski]

<sup>67</sup>Manu — Bóg. [przypis autorski]

pandanu. W ten sposób Prakriti została matką nowego pokolenia Itonganów, od którego wywodzi się ród królów Północy. Od tego też czasu wojownicy Itonganów Jasnych noszą na tarczach obraz drzewa pandanowego, które jest dla nas tabu jako totem<sup>68</sup> rodziny, inaczej kobongiem zwany. Dlatego pandan-pochutnik jest u Itonganów Północy drzewem świętym. Nie wycinamy zeń progów, nie budujemy chat, jak ludzie Południa, ani nie pokrywamy dachów naszych domów jego twardym i wonnym liściem. Gaje pandanowe są u nas świątyniami, przez które należy przechodzić z czcią i w milczeniu.

Tu arcykapłan znów przerwał i czekał cierpliwie, aż Peterson przetłumaczy wszystko na język białych swemu towarzyszowi. Gdy to nastąpiło, zniżył głos do szeptu i zakończył:

— Wolą Najwyższego jest, aby od owej chwili przed wiekami, kiedy wyspa Itongo ujrzała się osamotnioną pośród bezmiarów morza, nigdy już więcej nie nawiązywała się żadna nić między nią a resztą świata. Tę wolę swoją objawił Manu praojcom naszym przez usta itonguarów i kapłanów. Tak to wyspa, odcięta od waszych przemądrzałych łądów, zachowała w niepokalanej czystości odwieczne wiary i stała się przytułkiem dawności. Staraniem Wielkiego Ducha było oszczędzić nam zetknięcia z mieszkańcami innych części ziemi.

Jego to wszechmocną a mądrą wolą dzieje się, że wasze wielkie pływające domy jakby unikały naszej wyspy, omijając ją szczęśliwie z daleka. A kiedy czasem ślepy traf lub rozszałały orkan zapędzi któryś z nich w tę zapomnianą stronę, Manu zarzuca na oczy żeglarzy płachtę mgły tak nieprzeniknionej, że przepływają obok, nic nie widząc. Stara legenda mówi, że raz tylko w pochodzie wieków groziło wyspie Itongo odkrycie. Było to około 200 lat temu, gdy chciwa niepotrzebnych nowin ciekawość białych przemierzyła już podobno wzdłuż i wszerz wszystkie łądy i morza. Pewnego rana pojawiła się na horyzoncie naszej Północy wielka ilość korabi wypuszczających dym gęsty, wełnisty z niezliczonych kominów. Szły wprost na nas. Pogoda była piękna, słońce czyste, bez skazy. Musieli nas dojrzeć. Byli już w odległości zaledwie jednej mili. Długie czarne rury przytknięte do oczu ich naczelników skierowane były w naszą stronę. I wtedy wyspa ruszyła z miejsca. Jak łabędź na cichych wodach stawu odpłynęła w nieskończone przestrzenie Południa. Wkrótce korabie białych ludzi znikły za horyzontem, a Itongo zatrzymała się. Odtąd nikt już nie zamącił nam ciszy. Ty, Itonguarze, i ty, Atahualpo, jesteście pierwszymi cudzoziemcami, którzy od wieków postawili stopy na naszej ziemi. Wasze przybycie przepowiedział zmarły król i jest ono zgodne z wolą Przedwiecznego. Pełnić tu macie ważną służbę, jesteście tu potrzebni. Atalanga czekał na was. Bo od zamierzonych czasów istnieje w państwie Itonganów obok króla, Rady Dziesięciu kapłanów, szamanów i zaklinaczy — ważny urząd itonguara, czyli tłumacza woli zmarłych, bogów i duchów przyrody. Ten urząd sprawuje u nas zwykle sam król, o ile obdarzony jest cudowną władzą pośredniczenia między nami a zaświatem. Takim władcą szczęśliwym przez wiele lat był zmarły wczoraj Ayakuczo, król i itonguar w jednej osobie. Niestety, wiek sędziwy czy też inna przyczyna osłabiły tę moc jego od dawna i od szeregu już lat uszy jego były zamknięte na głosy płynące z tamtej strony. Bolał nad tym wielki władca i szukał wśród poddanych kogoś, kto go mógł zastąpić. Lecz szukał na próżno. Ci, którzy zgłosili się, twierdząc, że słyszą mowę zaświatów, okazali się podłymi kłamcami lub nędznymi oszustami. Dlatego u schyłku żywota powitał król z radością twoje zbliżanie się, Itonguarze. Wyczuł je na wiele dni przedtem, zanim morze wyrzuciło was na nasz brzeg. I to właśnie przecucie umierającego jest nam najsilniejszą rękojmą, że oczekiwań naszych nie zawiedziesz i urząd swój godnie sprawować będziesz. Pamiętaj, Itonguarze, że obok przyszłego króla, do którego wyboru wkrótce przystąpi Rada Dziesięciu, obok mnie, arcykapłana, ty będziesz najważniejszym człowiekiem wśród Itonganów. Więc staraj się zasłużyć na cześć, która cię odtąd otaczać będzie, i pomnij chodzić ścieżkami prawdy i sumienia. Bo gdybyś sprzeniewierzył się prawom tej wyspy i chciał pójść swoją drogą, będziesz miał przeciwko sobie i ludzi jej, i bogów. Nie znam twej przeszłości, Itonguarze, i nie chcę wdierać się w jej tajemnicę. Wiem, że jako człowiek biały będziesz się zrazu czuł obco pośród nowych braci swoich. Wiem również, że wola Ayakucza i urząd mogą ci się wydawać czymś narzuconym niby jarzmo. Lecz zważ, synu mój, na to, że może tylko temu zawdzięczasz życie i ocalenie. Znać wola wyższa niż rozkaz króla zaniósł cię tu-

<sup>68</sup>totem — mityczny praojciec plemienia; totemem może być zwierzę, roślina lub kamień. [przypis autorski]



taj poprzez lądy i morza. To los twój, Itonguarze, to twoje przeznaczenie wykute przez ciebie samego, przez czyny twoje w żywotach poprzednich. Dlatego, synu mój, przyjmij wolę króla jako wyrok losu i nie staraj się spod niego uchylić. Tak radzi ci życzliwy, stary człowiek, którego dni też już policzone. Bądź mądrym, Itonguarze, mądrym i dobrym dla czerwonych braci, z którymi los sprzął cię w tak dziwny sposób. Oto wszystko, co ci chciałem powiedzieć. A teraz odejdz w pokoju z druhem twoim, Atahualpą, aby poddać się próbie siły, którą, jestem pewny, przebędziesz zwycięsko i ku naszemu zadowoleniu. Błogosławię ci na drogę.

Położył ręce na głowie Gniewosza i z wzniesionymi ku niebu oczyma chwilę modlił się cicho. Potem odjął dłonie i lekko ucałował go w czoło.

Tymczasem stypa miała się ku końcowi. Szeregi tancerzy i tancerek ściągały się z cmentarnego pola i ustawiały w orszak powrotny. Przy kurhanie Atalangi rozpalono wielkie ognisko, aby duch zmarłego, wyszedłszy z grobu nocną porą, nie drżał z zimna. Z obu stron mogiły postawiono straż honorową, która miała pilnować jej do rana. Marankagua w towarzystwie kilku kapłanów powycinał na drzewach dokoła kurhanu znaki, które miały na celu wprowadzić w błąd ducha króla i zmylić mu kierunek drogi, gdyby zapragnął powrócić do swojej ziemskiej sadyby i mącić żyjącym spoczynek nocnej pory. Gdy żalobnicy opuszczali fejtokę, objęły już ziemię cienie nagłej, podzwrotnikowej nocy. Na jej czarnym, aksamitnym tle gorzała posępnie czerwień ogniska, wyświęcająca z mroków sylwety strażników i kazuarin...

## ITONGUAR

Do osady wrócił orszak pogrzebowy koło dziewiątej wieczór. Zanim Rada Dziesięciu zdołała zebrać się w wietnicy, wybuchł popłoch.

Ostre, krwawe światło przeszło ciemności, rozległ się głuchy huk i ziemia zafalowała. Spojrzenia odruchowo podniosły się ponad linię borów, na pogodne, wygwieżdżone niebo, na które wytryskiwały z krateru świętej góry mietlice ognia, dymu i popiołów. Tłum zakołysał się.

— Rotowera się przebudził! Bogini Pele gniewa się na swoje dzieci! Gorze nam! Wulkan! Wulkan!

Zasłaniając twarze rękoma, ludzie rzucili się do bezładnej ucieczki w stronę morza. Niektórym strach podciął kolana i padali bezradnie na ziemię, inni zataczali się jak pijani lub osłupiałymi oczyma wpatrywali się w coraz to ognistsze siklawy świętej góry. Sytuację opanował Izana. Głosem donośnym a spokojnym kazał kobietom i dzieciom uciszyć się i cierpliwie czekać na otwartym pośród wsi majdanie na powrót mężów, których wezwał na naradę do wietnicy. Pele wprawdzie zagniewana, lecz obecność itonguara działa na nią uśmierzająco i Rada Starszych spodziewa się, że znajdzie sposób na zażegnanie nieszczęścia.

Słowa wodza podziały jak oliwa na wzburzone odmęty. Ludzie opamiętali się, ścichli i powoli zaczęli gromadzić się na majdanie. Jakby na potwierdzenie tego, co mówił Izana, wulkan uspokoił się. Ustały podziemne wstrząsy i grzmoty, grunt przestał falować pod nogami i tylko słupy ognia zmieszanego z popiołem strzelały wciąż w górę i mąciły pogodę granatowego nieba.

W wietnicy rozpoczęły się obrady pod przewodnictwem Huanaki. Niespodziewany wybuch Rotowery wpłynął na ich porządek. Pierwszy wystąpił z wnioskiem Marankagua. Czarownik domagał się bezwzględnego wysłania braci-błagalników, by ułagodzili gniew bogini Pele przez wrzucenie w otwór krateru kilku złotych monet. Następnie oświadczył szaman, że zapas tongi<sup>69</sup> jest już na schyłku i że należy wyznaczyć „tongalerów”, którzy by zaraz nazajutrz rano udali się w góry na poszukiwanie cudownego ziele.

Oba wnioski przyjęto i uchwalono wśród hucznych oklasków. Z kolei podniósł się z miejsca Huanako i tak przemówił:

— Bracia kapłani, radni i wodzowie! Z radością i wzruszeniem głębokim przychodzi mi teraz wezwać was do wzięcia udziału w próbie siły nowego, cudownie nam przez Manu zesłanego itonguara. Ta próba będzie jednocześnie pierwszym od lat wielu zasięgnięciem rady zmarłych przodków naszych, błogosławionym na przyszłość nawiązaniem związków

<sup>69</sup>tonga — ziele narkotyczne, wywołujące ekstazę. [przypis autorski]

z duchami ojców. Izano, podaj itonguarowi kubek tongi, która zamknie na głucho przed światem bramy jego zmysłów, a otworzy mu podwoje tamtej strony. A ty, Atahualpo, wytłumacz białemu bratu, o co chodzi, i zapewnij go, że napój, który mu podajemy, nie odbierze mu życia.

Arcykapłan usiadł, a Izana przystąpił do Gniewosza z kubkiem odwaru z torebek nasiennych bielunia czerwonego, rodzaj opium, które miało ułatwić mu przejście w stan transu. Gniewosz, zachęcony przez Petersona, wypił. Skutek był niemal natychmiastowy. Inżynier zbladł i zaczął ślaniać się. Kapitan obrzucił Izanę groźno-badawczym spojrzeniem. Lecz wódz uśmiechnął się i biorąc Gniewosza pod ramię, rzekł:

— Bądź spokojny, Atahualpo! Dusza itonguara przekracza w tej chwili próg rzeczywistości i przechodzi na tamten brzeg. Dlatego ciało chwieje się i zapada w sen. Pomóż mi wyprowadzić go do wigwamu<sup>70</sup> duchów.

Z trudem udało im się podprowadzić Gniewosza do namiotu ze skór stojącego o parę kroków od domu narad. Gdy podnieśli kotarę pustego wigwamu i posadzili go na ławie pod ścianą, był już w pełnym transie. Izana uśmiechnął się z zadowoleniem:

— Itonguar śpi już snem świętym, a dusza jego ogląda twarzą w twarz oblicza zmarłych i rozmawia z duchami. Zostawmy go tu samego, Atahualpo. Nie wolno ludziom zwykłym przebywać w wigwamie, gdy śpi w nim tłumacz zaświatów.

Wyszli, zapuszczając za sobą kotarę od wejścia. Tymczasem dokoła namiotu duchów zebrały się rzesze ludu. Tłok był taki, że Izana musiał rozstawić strażę. Na przestrzeni zamkniętej przez kordon wojowników dokoła wigwamu zajęli miejsca wodzowie i kapłani z Huanaką na czele. Blask pochodni trzymany przez strażników padał na twarze podniecone oczekiwaniem, skupione, ciekawe lub niedowierzające. Tu i tam poprzez ciżbę masek ludzkich przeglądało oblicze ścięte uczuciem strachu lub wykrzywione ironią. Tylko spojrzenia kapłanów spokojne i zrównoważone ukrywały starannie właściwy stan duszy. Jeden Marankagua, stojący obok arcykapłana, nie silił się na zachowanie pozorów. Twarz jego ponurą, ciemnobrązową przebiegał bezustannie uśmiech szyderstwa.

Mimo ścisłu panowało uroczyste milczenie. W ciszy słychać było pryskanie płonących żagwi i daleki szum morza.

Gdy Peterson z Izaną wyszli z wigwamu i donieśli starszyźnie, że itonguar zapadł w „sen święty”, nastrój pogłębił się. Wszyscy z zapartym oddechem utkwili spojrzenia w namiot...

Wtem zerwał się wicher. Przeszedł ponad głowami czekających ze świstem podobnym do wycia zgłodniałych szakali, potrząsnął czubatym szczytem wigwamu, załopotał kotarą i rozplynął się w przestrzeni. A przecież na palmach dookolnych i figowcach przy wietnicy liść jeden nie zdręgnął, nie zakolysała się gałązka. Marankagua przestał się uśmiechać.

I przyszedł znów znikąd drugi i trzeci atak wiatru, zatargał namiotem, zawył jak stado wilków i szczeł bez śladu. I znów zaległa doskonała cisza. Nagle ściany wigwamu sfałdowały się i wydeły na zewnątrz jak balon. Zaskrzypiały żerdzie i krokwie, a wewnątrz napętniło zmieszany głosami. Ze zgielku wypadały od czasu do czasu poszczególne słowa, wyrazy i zdania w języku nieznanym. Urywki te zlewały się znów z bezładem dźwięków w chaos mętny i odurzający. Lecz pewne głosy brały coraz wyraźniej górę nad innymi i coraz silniej wyodrębniały się od reszty. — W końcu dwa wybiły się zwycięsko na powierzchnię i przygłuszyły inne: jeden metaliczny jak surma bojowa, drugi niski i głucho dudniący. Słowa wyrzucane przez niewidzialne usta stały się zrozumiałe. Były ujęte w język Itonganów. Głosy zdawały się spierać i o coś kłócić. Chciwe uszy słuchaczy wyląwały akcenty gniewu i groźby. Wreszcie głos niższy zamilkł i popłynęły falą dźwięków czystych a gromkich, ze spiżowej wydobytych piersi, słowa:

— Ludu nasz! Po przerwie wielu lat znów przyszliśmy wesprzeć cię radą i przestrogą. Itonganie! Pośród was jeden knuje zdradę przeciwko braciom swoim i rychło przyjdzie chwila, gdy połączy się z wrogiem waszym na zgubę kraju. Miejcie się na baczności i strzeżcie granic Południa! Gotujcie się do boju! Czas już niedaleki. „Taberany”<sup>71</sup> krwi i żelaza opuściły już swe komysze i w ryszunku bojowym, żądne ludzkich żywotów,

<sup>70</sup>wigwam — namiot. [przypis autorski]

<sup>71</sup>taberany — złe duchy. [przypis autorski]

unoszą się już nad waszymi głowami. Miejcie przezorność węża i męstwo jaguara. Do boju, bracia, do boju!...

Głos umilkł nagle przykryty piekielną wrzawą innych domagających się swej kolei. Wigram trząśnięty cały od prężącej się energii, która szukała ujścia. Dzikie okrzyki, potworne obelgi i przekleństwa krzyżowały się w zamkniętym wnętrzu niby rzuty dzirytyw i tomahawków. W końcu wszystko umilkło i grobowa cisza zaległa namiot.

I wśród Itonganów była cisza grobu. Stali zasluchani wciąż w umarłe dawno echa głosów. Pierwszy ocknął się Huanako. Podniósł drżącą ręką brzeg kotary i wskazały Izanie rozciągnięte w poprzek namiotu ciało itonguara:

— Zanieś go do jego tolda<sup>72</sup>, bo utrudzon wielce przez duchy.

Słowa starca podziały jak zdjęcie czaru. Zawrzało w tłumie jak w ulu. Wśród gwaru i okrzyków rozstępujących się z czcią i trwogą ludzi wynieśli Peterson i Izana bezwładnie zwisającego im z ramion Gniewosza i złożyli na matach w chacie przeznaczonej dla itonguara. Małe światło kaganka padło na zmienioną twarz inżyniera, który miał oczy wciąż zamknięte i oddychał z trudnością. Strugi potu ściekały mu po policzkach. Rzęził głucho. Kapitan oparł głowę przyjaciela na swoich kolanach i usiłował wlać mu w usta gorzałkę z manierki. Gniewosz skrzywił się, wypuł płyn i otworzył oczy.

— Zostawcie mnie samego — rzekł słabym głosem.

Gdy wyszli, oparł się plecyma o ścianę i zapadł w zadumę. Zdarzenia ostatnich dni przeciągały przed nim jak miraż w tempie nieprawdopodobnie szybkim. Aż do chwili „próby siły” był w stanie psychicznego odurzenia. Cios losu, który wydarł mu żonę, oszłomił go, przytępiając wrażliwość na wszystko, co potem nastąpiło. Poruszał się i działał jak automat, popychany wolą kapitana. Skąpe odruchy instynktu samozachowawczego zatracaly się bez reszty w tępych morzu obojętności. Raz tylko zarysował się ospale kontur myśli, że dziwnym zrzędzeniem przypadku znów służy innym za pośrednika między dwoma światami. Ta myśl wywołała gest wewnętrznego sprzeciwu. Lecz i ten odruch zgasł zalany szarym, ciągnącym się jak mąż grzęzawiskiem inercji. Teraz, po „próbie”, coś przełamało się w nim. Jakby jakieś tajemnicze prądy, przeszedłszy przez niego, pozostawiły po sobie ślad w postaci zaczynu, który pchnąć go miał na drogę inicjatywy. Obudziło się zainteresowanie dla nowego otoczenia. Współdziałała i młodość. Był mężczyzną zaledwie trzydziestoletnim. Rekonwalescencja duchowa przyśpieszyła proces ozdrowienia fizycznego. Po godzinie rozmyślań otrząsnął się z resztek odrętwienia i spojrzał oczyma pełnymi wzmożonej energii życiowej.

W tej chwili drzwi tolda odchyliły się i do wnętrza wśliznęła się bez szelestu Rumi. Uśmiechnęła się i położyła palec na ustach. Potem podała mu cynową czarkę z winem palmowym, zaprawionym sokiem gojawy.

Wypił, patrząc jej z wdzięcznością w oczy. Trunek pokrzepił go widocznie.

Ujął w dłonie jej rękę i przycisnął do ust. Cofnęła ją pomału przyjemnie zdumiona. Znać gest ten na wyspie nie był w zwyczajaju. Lecz zrozumiała intencję.

— Marankagua! — szepnęła ostrzegawczo i wskazała mu tomahawk wiszący nad łóżem.

— Marankagua! — powtórzyła dobitniej, gdy nie ruszał się z miejsca i podziwiał profil jej głowy z ciemną różą wpiętą we włosy.

— Marankagua! — nagliła, sięgając po broń na ścianie.

Wreszcie zrozumiał. Wyciągnął ramię po topór, lecz spóźnił się. Zanim zdążył chwycić za stylisko, jakaś postać z zasłoniętą po oczy twarzą wtargnęła do izby i rzuciła się na niego skokiem pantery. Błysnęło ostrze noża. Inżynier schylił się, uniknął ciosu i ruchem węzowym przypadłszy do przeciwnika objął go wpół. Wśród szamotania się spadło czarne poncho<sup>73</sup> zasłaniające twarz wroga i oczy Gniewosza skrzyżowały się z wściekłym spojrzeniem czarownika.

— Ty psie parszywy — syknął przez zęby, wytrącając mu z ręki kordelas. — Nauczę cię szacunku dla itonguara!

I wymierzył mu potężny raz pięścią między oczy. Marankagua zachwiał się, brocząc krwią, odskoczył o parę kroków wstecz i z głuchym okrzykiem zniknął za drzwiami.

<sup>72</sup>told — chata. [przypis autorski]

<sup>73</sup>poncho — wyraz hiszpański używany w Ameryce. [przypis autorski]

— Rumi — rzekł zwycięzca. — Odejdź stąd, zanim nadejdą inni. Odprowadzę cię do świątyni.

Dziewczyna, która przypatrywała się walce blada od wzruszenia i z zaciśniętymi ustami, patrzyła nań teraz z wyrazem nie tajonego uwielbienia. Nie rozumiała wprawdzie treści słów wypowiedzianych w nie znanej dla niej mowie, lecz z gestów jego domyśliła się, o co idzie. Skinęła głową i przezornie zdjąwszy ze ściany tomahawk, podała go Gniewoszowi. Odebrał go z uśmiechem i odchyliwszy tylne drzwi tolda, przepuścił ją mimo. — W milczeniu, trzymając się za ręce, szli wśród nieprzeniknionych ciemności. Wieś spała. Było już dobrze po północy. Sokole oczy córy borów wżerały się śmiało w kiry mroków i szukały drogi. Po kilkunastu minutach stanęły u bram świątyni. Rumi podniosła kamienny młotek u wejścia i lekko uderzyła nim w odrzwi. Odsunęły się zasuw i w otworze portalu oświecona szkarłatnym światłem wiecznego ogniska ukazała się Wajmuti, piastunka kapłanki i współstrażniczka świątyni. Objęła tulącą się do niej dziewczynę i popatrzyła badawczo na mężczyznę.

— To przyjaciel, Wajmuti — uspokoiła ją młoda. — To nasz itonguar.

Staruszka pochyliła głowę i dotknęła palcem jego piersi. Zamieniły szybko parę słów. W rezultacie Wajmuti wyniosła z głębi chramu ślepa latarkę z płonąca wewnątrz ampulką oliwną i podała ją Gniewoszowi. Podziękował Rumi spojrzeniem i skłoniwszy się obu, odszedł.

Latarka oddała doskonałą przysługę. Wkrótce znalazł się na ścieżce do swojego domu. Gdy mijał powężłone chaszczce skrubu<sup>74</sup> opodal tolda, zdawało mu się, że w ciemnościach błysnęła dziko para oczu. Zaśmiał się na głos, potrząsnął groźnie tomahawkiem i nucąc arie z jakiejś opery, wszedł do chaty. Zastał Petersona palącego fajkę i oglądającego kordelas porzucony na podłodze.

— Pamiątka po wizycie tego łotra Marankagui — objaśnił go krótko. — Ale też dostał porządną odprawę.

Ziewnął, przeciągając ramiona:

— Jestem setnie zmęczony. Należy mi się dzisiaj dobrze zasłużony spoczynek.

— *Well* — odpowiedział kapitan, zaryglowując oba wejścia. — Chodźmy zatem spać. Od jutra czeka nas tu porządna robota. Dobranoc, John!

— Dobranoc, Will!

## ZDRADA

Był słoneczny poranek. Wnętrze puszczy, podobne do odwiecznego chramu, oddychało tajemnicą. Półmrok, powiernik istot zagadkowych, rozpinął tu zawsze zdradliwe więcierze. Szare ich, cieńsze od pajęczej przędzy nici wiązały się w niewidzialne supły pomiędzy pniami palm, drzew mangrowiowych i figowców. W dziedzinie półbrzasku snuły się cienie i kształty, kryły poza nabrzmiałymi w kształcie butelek trzonami faszowców, przywierały do pokręconych węzowato korzeni igławy lub spłoszone przykucwały w zbitych na kołtun i nie do rozwikłania zaroślach niebieskawego skrubu. Tam, spoza parości chlebowca, wyglądały czyjeś oczy dzikie, płochliwe a ciekawe, ówdzie, przez spławy mlekiem ociekającego krowieńca<sup>75</sup>, szarzał zarys postaci ni to ludzkiej, ni to zwierzęcej. Na strzelistych araukariach<sup>76</sup> huštały się żółto-zielone papugi kakapo i „keo” lub podskakiwał z gałęzi na gałąź bezskrzydły ptak „kiwi”. Po ziemi pełzały w fantastycznych skrętach kennedie i fiołkowe swanosy, z olbrzymich eukaliptusów zwieszał się szkarłatny lorantus.

Ze szczelin zabłąkanych tu wędrownych skał i gładów wystrzelał na wysokiej lodydze wielki jak ludzka głowa, czerwony waratah, dookoła pni rzewni, sagowców<sup>77</sup> i pochutnika owijał się morderczy matopalo i dusił je powoli w pasożytniczych uściskach. Przekedzone przez dzikie oplącza lian, paproci, surmii<sup>78</sup>, drążni<sup>79</sup> i ramienic<sup>80</sup> słońce wpadało w zaułki puszczy poświatłą zmorowatą, zielonkawą, rozświecało na chwilę zakazane komysze

<sup>74</sup>skrub (z ang. scrub) — busz, gęste zarośla podzwrotnikowe. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>krowieniec — tzw. drzewo krowie, wydzielające sok podobny w smaku do mleka. [przypis autorski]

<sup>76</sup>araukaria — roślina iglasta występująca w rejonie Australii i Oceanii. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>sagowce — rośliny podzwrotnikowe przypominające palmy. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>surmia — rodzaj rośliny dającej jagody. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>drążnia — cekropka, tropikalne drzewo południowoamerykańskie. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>ramienica — gatunek wodorostu. [przypis edytorski]

i mateczniki, przedpotopowe zasięki i zastrzały i przerażone tym, co ujrzano, cofało się z powrotem. Tu, z tej zielonej matni, nigdy nie przemierzonej ludzką stopą, unosił się wieczyste czad rozkładających się zwłok roślinnych i zwierzęcych. Z czarnej lub brudnoczerwonej wody, zakisłej kożuchami prawieków, wywiązywały się opary ostre i zjadliwe i odpływały trującymi falami ku brzegom puszczy...

Na kraju boru, niedaleko stołecznej osady, kończyli poranne modły za powodzenie tongalerów, wysłanych przed miesiącem na poszukiwanie świętej rośliny. Szaman Wangarua odpasał z bioder rzemień spleciony z włókien tappy i rozwiązał trzydziesty z rzędu supeł, odpowiadający trzydziestemu dniowi wędrówki poszukiwaczy tongi. Usta modlących się przez chwilę umilkły i dusze ich przeniosły się w dal, ku braciom zbieraczom i ich wodzowi, który wedle umowy o teże dnia godzinie rozwiązywał też trzydziesty supeł na swym rzemiennym kalendarzu. Tak to dzień po dniu ci, co pozostali w domu, śledzili pochod braci-pielgrzymów, a modły ich, życzenia i myśli towarzyszyły im w drodze, przynosiły szczęście w poszukiwaniach i utwierdzały na duchu. W tym samym czasie żony tongalerów, by podzielić z nimi na odległość niewygody i umartwienia podróży, wstrzymywały się od obfitego jada, soli, kąpieli, wystrzegały się szybszych ruchów i biegania z obawy przed nadwyrężeniem ciała i zaszkodzeniem przez to nieobecnym mężom. Bo między małżonkami związek ciała i duszy silniejszy jest niż między ludźmi sobie obcymi i nieraz to, co spotyka jedno z nich, „odbija się” na odległość na drugim...

Tym razem podróż zbieraczy tongi przeciągnęła się poza zwykły czasokres i niepokój o ich losy nurtował serca oczekujących ich braci. Prócz tego były troski stokroć większe. Przepowiednia bliskiej wojny wyrzeczona ustami itonguara przed miesiącem zdawała się spełniać. Początkiem smutnych ziszczeń było zniknięcie szamana Marankagui nazajutrz po „próbie siły” i tryumfie tłumacza woli umarłych. Przebąkiwano o zdradzie.

Huanako w porozumieniu z Atahualpą, Izaną i itonguarem zarządził natychmiastowe zbrojenia. W ciągu dni 30 ściągnięto wojowników z wszystkich osad kraju, wykuto tysiące tarcz, wyostrzono bezlik tomahawków, włóczni i dzid. Od rana do późnej nocy grzmiały po kuźniach młoty i wykuwały na rozkaz białych wodzów nowe, nie znane dotychczas rodzaje broni. Potem przyszły próby robienia tą bronią i wielkie ćwiczenia bojowe pod osobistym kierownictwem itonguara i Atahualpy. Wypadły świetnie. Po jednej z tych gier wojskowych obaj biali zacierali ręce i śmiali się jak szaleni, a Atahualpa, jak zwykle zuchwały trochę i rubaszny, ośmielił się poklepać po plecach wodza Izaną.

Dzień dzisiejszy miał być ostatnim dniem przygotowań i miał się zakończyć ogólnym przeglądem sił zbrojnych. Toteż kapłani szli w zamyśleniu z miejsca modłów na majdan zebrań wojskowych. Tu oczekiwali ich już itonguar i Atahualpa, otoczeni świtą i zastępami wojowników.

Po miesięcznym pobycie na wyspie Gniewosz zmienił się ogromnie. Narzucona mu przez krajowców rola nie tylko nie skępowała w niczym swobody jego ruchów, lecz owszem, spotęgowała poczucie pewności siebie i wyższości nad otoczeniem. Był naprawdę ich itonguarem, drogmanem zaświatów, kierownikiem pierwotnych i naiwnych umysłowości. W krótkim czasie opanował wybornie ich język i władał nim sprawniej niż niejeden tubylec. Ta łatwość w wyuczeniu się ich mowy przyczyniła się też bardzo do podniesienia go w oczach Itonganów. Przypisywali to wpływowi duchów, które znać otaczały go szczególniejszą łaską. Ucieczka Marankagui zazdrosnego o wpływy, zakrawająca na zdradę, wzmocniła jeszcze stanowisko itonguara. Uważano krok szamana za realizację jego przepowiedni. Z największym jednak uznaniem spotkała się energia, z jaką w przeciągu miesiąca przy pomocy Atahualpy zorganizował wojsko i przygotował kraj do wojny. Toteż chodził itonguar wśród nich skąpany w chwale jak w słońcu i krążyły pogłoski, że właśnie z powodu niego dotychczas odwlekano wybór króla. Podobno starszyzna obawiała się, by blask, jaki padał od jego postaci, nie przyćmił od pierwszej chwili nowego władcy. I nikt prócz Huanaki nie przeczuwał, że dzień dzisiejszy miał przynieść i pod tym względem rozstrzygnięcie.

Gdy już zebrały się tłumy i wodzowie uszykowali wojsko, itonguar wstąpił na pagórek w środku majdanu i uderzył włócznią o tarczę na znak, że chce przemówić. Szmery zgłuchły. Setki tysięcy oczu zatrzymały się na „kochanku duchów”. A on, wsparty na włóczni, wysmukły i muskularny jak młody bożek wojny, zawołał donośnie:

— Mężowie plemienia Itonganów Jasnych, nadszedł dla was czas próby.

Teraz złożycie dowody, żeście potomkami najstarszego rodu na ziemi, że w żyłach waszych płynie szlachetna krew wielkich wodzów i zdobywców. Oto wśliznęła się pomiędzy was jakaś jadowita żmija krwi niepewnej, złańniczej i podszywszy się, nie wiem jak, pod skórę szamana, przez wiele lat oszukiwała was podłe. Teraz, gdy woła duchów położyła kres jego szalbierstwom, zrzucił przybraną skórę i zbiegł na Południe do waszych wrogów. Tą żmiją, tym zdrajcą jest Marankagua, który może w tej chwili bierze z rąk króla Czarnych, Tarmakorego, pieniądze za sprzedaną krew braci!

Słowa itonguara podziały jak iskra na prochy. Posypały się gradem na głowę zbiega i zdrajcy przekleństwa i złorzeczenia. Dotychczas nikt publicznie nie ośmielił się rzucić kamieniem potępienia na szamana. Wstrzymywał ludzi zabobonny lęk przed jego zemstą i czarami. Teraz, gdy mieli za sobą powagę itonguara, nikt nie kładł tamy oburzeniu i rozwiązały się języki. Wszystkie oszustwa, wszystkie nieudane tricki i poronione zabiegi lekarskie Wielkiej Medycyny stanęły teraz pod pręgierzem publicznym.

- Taberany niech go strąca w przepaście Rotowery!
- Niech ugotuje swego dziadka!<sup>81</sup>
- Oszust jeden! Żonę mi na śmierć podkurzył ziołami!
- Oby go żywcem odarł ze skóry pan borów, Tane-Mahuta!
- Dziecko mi urzekł!
- Zdrajca Marankagua! Falszywy czarodziej!
- Krowom moim odmówił mleko!
- Złajnik!
- Parszywy pies mu kobongiem<sup>82</sup>!

Lawinę okrzyków wstrzymał itonguar powtórnym uderzeniem w pawęż. Uciszyli się, a on zakończył:

— W porozumieniu z przyjaciółmi moimi, a wodzami waszymi, Atahualpą i Izaną, radzę wam, wojownicy Itonganów, wybrać teraz kilku ludzi znających dobrze przesmyki prowadzące ze stoków północnych łańcucha gór na południe, w kraj naszych wrogów. Przewodnicy ci poprowadzą dwa bitne oddziały, złożone z najdzielniejszych, i urzędzą zasadzkę.

Po tych słowach wystąpił z grona wodzów doświadczony w boju Ngahue i skłoniwszy się, odpowiedział:

— Umiłowany przez bogów i mężów, Itonguarze! Dwóch znam tylko ludzi, na których w tej ważkiej sprawie polegać można: Izanę i Ksingu. Oni tylko znają góry z tej i tamtej strony jak myśliwy swoją tajstrę i skaczą ponad czeluściami przepaści jak skalne antylopy.

— Więc oni będą przewodnikami — odparł itonguar i zwrócił się do Rady Dziesięciu: — Wodzowie Itongo, czy możecie wskazać nam ludzi sposobniejszych?

Milczenie zatwierdziło wybór. Wystąpił arcykapłan Huanako.

— Mężowie plemienia Itongo — rzekł głęboko wzruszony — kapłani, wodzowie i wojownicy! Trzydzieści dni temu duch króla Ayakuczo odszedł na słońce. Opuścił nas władca i ojciec, nie pozostawiając syna — następcy. Był ostatnią odroślą wielkiego rodu, który się od boga wywodził. Od dni trzydziestu jesteśmy jak owce bez pasterza. Zwyczajem przodków naszych było nazajutrz po śmierci króla przystępować do obioru nowego. Teraz stało się inaczej i ważka sprawa pozostała w zawieszeniu aż do dnia dzisiejszego. Może tak i lepiej. Może wahanie się starszych wyjdzie na dobre ludowi. Bo zaprawdę w trudnym znaleźliśmy się położeniu. Ojcowie nasi powierzali tę najwyższą w narodzie godność mężowi, który łączył w swej osobie cnoty wodza i przymioty itonguara. Takim był Ayakuczo, takim ojciec jego, Lahore, takim dziad Jefnares i pradziad Kastambo. Lecz ród ten wymarł. Mężowie Itongo! Któż dziś jest najgodniejszym ich następcą? Kto w sposób cudowny łączy męstwo i mądrość wodza z tajemną władzą rozumienia świata duchów i zmarłych? Czyż naprawdę nie ma między nami takiego męża? Itonganie? Kto ostrzegł nas przed zdrajcą i przygotował do boju? Kto w dniach trzydziestu dokonał dzieła niesłychanego u nas od wieków? Kto wystawił armię bitną i sprawną w obrotach,

<sup>81</sup>Niech ugotuje... — ślady dawnego ludożerstwa. [przypis autorski]

<sup>82</sup>kobong — przodek. [przypis autorski]

jak koło garncarskie w rękach mistrzowskiego zduna? Kto zaopatrzył tę armię w spiżę na całe miesiące i wyposażył w nowy rodzaj broni?

— Itonguar! Itonguar! — przerwały mu entuzjastyczne okrzyki.

— Wyście powiedzieli — podjął starzec, opanowując wrzawę gestem ręki. — Niech się stanie wedle woli waszej. — Rado Dziesięciu, zatwierdź przez powstanie wolę ludu!

Chwilę po wezwaniu starca trwała naprężona cisza. Oczy wojowników spoczęły wyczekująco na starszyźnie. Lecz niedługo czekali. Pierwszy powstał z miejsca najdzielniejszy z wodzów, Izana, po nim najdoświadczeńszy, Ngahue, za ich przykładem poszedł Ksingu i wszyscy inni bez wyjątku.

Wtedy Huanako położył rękę na ramieniu itonguara i rzekł wśród uroczystego milczenia:

— Rada Dziesięciu i lud plemienia Itonganów Jasnych wybiera cię swym królem. Odtąd będziesz się zwał Czandaurą, czyli Darem Duchów.

Tu arcykapłan odwrócił się twarzą ku ludowi i zawołał wielkim głosem:

— Król Czandaura niech żyje!

— Niech żyje! — odgrzmiały tłumy.

— Niech żyje! — powtórzyły echa borów.

Gniewosz wzniosł włócznię ponad głową i gdy się uciszyło, odpowiedział jednym słowem:

— Przyjmuję.

Otoczyła go Rada Dziesięciu wśród oznak czci i hołdu. Król każdemu uścisnął rękę i z każdym zamienił parę słów. Dłużej zatrzymał dłoń Atahualpy.

— Będziesz moim naczelnym wodzem — rzekł w języku Itonganów. — Wszak nie odmówisz mi i nadal swej pomocy?

Peterson przymknął filuternie jedno oko.

— Do stu tajfunów! — mruknął po angielsku. — Grasz swą rolę niczym Garrick<sup>83</sup>. Gotowem zapomnieć wobec ciebie języka w gębie. Masz minę urodzonego króla. Niech cię diabli, John!

A głośno, w języku Itonganów:

— Wola Waszej Królewskiej Mości jest dla mnie rozkazem.

I uścisnął rękę Czandaury.

Król w asyście świty, radnych i kapłanów ruszył ku świątyni Pele, by tu z rąk arcykapłana przyjąć insygnia władzy i błogosławieństwo.

Chram bogini miał kształt rotundy przykrytej płaskim dachem, z którego środka strzelał ku niebu ścięty stożek wieży naśladowującej krater. Strop świątyni wspierał się na czterdziestu kolumnach, rozstawionych kolisto podwójnym rzędem. Jeden z nich opasywał przybytek bóstwa po stronie zewnętrznej i wraz ze stropem tworzył rodzaj przedsionka, drugi rząd kolumn obiegał dokoła wewnątrz. Obie kolumnady rozdzielało przepierzenie z jaspisu, tworzące ścianę świątyni. W środku, w okrągłym zagłębieniu wyłożonym kostkami bazaltu, płonął wieczysty ogień podsycany ręką kapłanki i strażniczki. Na ścianach widniały rzeźbione i malowane wizerunki bogów i marmurowe tablice zapełnione pismem obrazkowym. W powietrzu unosiła się woń ziół i kadzideł.

Gdy orszak Czandaury wkroczył do gontyny, obie kapłanki zniknęły za zasłoną rozdzielającą wewnątrz na dwie połowy. Huanako wrzucił do dymiącej obok ogniska urny szczyptę peruwiańskiego balsamu i zdjął ze ściany oznaki władzy królewskiej. Z naczynia buchnął niebieski dym i napełnił chram słodkimi woniami. Arcykapłan wdział na barki Czandaury poncho barwione w szafranie, głowę jego przyozdobił kołpakiem z błyszczącym nad czołem błękitnym soliterem<sup>84</sup>, a na palec średni ręki lewej włożył mu złoty pierścień. Król ukląkł i pochylił głowę. Starzec położył na niej obie dłonie i patrząc w niebo przegładające przez otwór szczytowy, rzekł:

— Synu i królu mój, przyjm błogosławieństwo na drogę nowego żywota.

Wodzowie uderzyli włóczniami o puklerze. W świątyni rozlecił się chrzęst żelaza na znak, że panowanie króla rozpoczęło się pod hasłem wojny. Ceremoniał był skończony. —

<sup>83</sup>Garrick, David (1717–1779) — aktor angielski, słynny wykonawca ról szekspirowskich. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>soliter — pojedynczo oprawiony duży kamień szlachetny. [przypis edytorski]

Wszyscy wyszli. Król pozostał sam, by spędzić w świątyni godzinę na rozmowie z boginią Pele i duszą własną.

Gdy przebrzmiały echa ostatnich kroków, powstał i oparty o jedną z kolumn, wpatrzył się zamyślony w zwoje dymu wysnuwające się z urny. Był w szczególnym nastroju. Do niedawna igraszka w ręku sił nieznanych, młodzieniec wątpliwego pochodzenia, zawdzięczający wykształcenie i pozycję społeczną tajemniczym właściwościom, przykuty węzłami „wdzięczności” do obcego mu człowieka — dziś był królem. Na odległym wprawdzie, zapomnianym przez świat skrawku ziemi — jednak niemniej królem. I czuł się nim naprawdę. Oceniał w całej pełni wielkość władzy, którą rozporządzał. Jak mocarz trzymał w ręku zbiorową duszę swych poddanych, tę pierwotną, niemal dziecięcą, naiwnie prostą duszę. I zdawało mu się, że przejrzał ją na wylot, od serca do serca, od głowy do głowy, że zna ich wszystkich — tych czerwono brunatnych braci, że przestali już dla niego być środowiskiem cieni i zagadek. Jak olbrzym z baśni położył ich sobie wszystkich na dłoni, zważył, zmierzył i może teraz nimi podrzucać jak zongler kulami. Z uśmiechem przypomniał sobie przestrożę Huanaki: „Gdybyś sprzeniewierzył się prawom tej wyspy i chciał pójść swoją drogą, będziesz miał przeciwko sobie i ludzi jej, i bogów”. — Naiwny, dobry starzec! Któż by „sprzeniewierzał się”, któż by łamał, jeśli można przekształcić, przerobić, nagiąć do swej woli? Po co druzgotać, jeśli można ulepić jak wosk wedle własnego upodobania? Zamiast przeskoczyć, czyż nie lepiej obejść?

I zaśmiał się cicho.

Zafalowała zasłona z zielonej tappy i z głębi chramu wyszła Rumi. Od ucieczki Marankagui nie widział jej ani razu. Teraz wydała mu się smuklejsza i jakby surowsza. Może miejsce dodawało powagi, może strój kapłanki, prosty i pozbawiony ozdób niewieścich. Patrzyła spokojnie wielkimi, słodkimi oczyma sarny. Skłonił się przed nią nisko.

— Księżniczko Rumi, jakżeś piękna w twej szacie surowej!

— Pokłon ci, Czandauro — odpowiedziała. — Pokłon ci, królu mój i panie! Jakżem szczęśliwa, że wolno mi powitać cię tym imieniem.

— Tobie je zawdzięczam, Rumi.

— Mnie, Czandauro? Żartujesz chyba z poddanki twojej?

— Gdybyś nie ostrzegła mnie przed Marankaguą, nie stałbym dziś na tym miejscu i nie podziwiałbym twojej urody, księżniczko.

Pokraśniała i spuściła oczy.

— Schlebiasz mi, królu. Ostrzegłam cię za późno. Życie zawdzięczasz tylko własnemu męstwu.

Podniosła oczy i rzekła z entuzjazmem:

— Bileś się jak lew, Czandauro. Marankagua jest podłym zdrajcą, ale dzielnym wojownikiem. Mało kto sprostał mu w walce wręcz. A jednak wytrąciłeś mu nóż z ręki jak dziecku.

— Obecność twoja, Rumi, była mi bodźcem do męstwa. Nie chciałem w oczach twoich uchodzić za niedołęgę.

— Cóż mogło tobie, królu, zależeć na tym, co myśli o tobie czerwonoskóra córka borów? Nie zwracałeś na mnie uwagi. Jestem dla ciebie jak kamień przydrożny.

— Mylisz się, piękna dziewczyno — zaprzeczył żywo. — Uroda twoja zarzuciła mi na szyję niewidzialne lasso i niewoli ku sobie. Myślałem o tobie nieraz w ciągu tych dni trzydziestu.

Cofnęła się przerażona żywością jego słów.

— Nie wolno mi marzyć o szczęściu — odpowiedziała smutno. — Jestem kapłanką i muszę pozostać dziewicą.

Zatrzymał ją, chwyciwszy za rękę.

— Rumi! — mówił miękko, gładząc dłonią jej warkocze. — Rumi! Miłość łamie wszystkie przeszkody i nie da się odstraszyć nikomu. Czemu dziś nie wykwitła szkarłatna róża w gaju włosów twoich?

— Róża jest kwiatem krwi i namiętności. Nie przystoi kapłance.

— A jednak owej nocy ustroiłaś nią głowę.

— Zapomniałam na chwilę o tym, kim jestem. I źle zrobiłam, Czandauro.

Chciał ją objąć, lecz odskoczyła w porę i zwinna jak gazela wspięła się na ołtarz, ukryty za kotarą. Nadstawiła uszu i położyła palec na ustach.



— Ktoś tu nadchodzi — szepnęła, blednąc. — Pewnie wracają po ciebie, królu. Zapuść zasłonę i stań przed ogniskiem.

Czandaura jednym skokiem znalazł się znów pod kolumną. Uczynił to w samą porę, bo w tej chwili podwoje chramu rozchyliły się i weszli Izana i Ksingu.

— Najdostojniejszy władco — przemówił pierwszy — poszukiwacze świętego ziela tonga powrócili. Czy dowódca ich, Mahana, może zdać ci sprawę z przebiegu wędrówki?

Czandaura spojrział na wskazówkę zegara słonecznego, co znaczył czas na bramie gontyny.

— Gdy cień przesunie się na godzinę trzecią po południu, każcie mu stawić się w wietnicy przed moim obliczem. Tymczasem niech pielgrzymi wezmą kąpiel i nasycą głód i pragnienie.

Wodzowie skłonili się i wyszli. Król przez jakiś czas stał niezdecydowany w środku świątyni i spoglądał na zasłonę. Lecz gdy ani jeden fałd jej nie zadrgał i żaden szelest nie przerywał ciszy, opuścił i on przybytek patronki wulkanu.

---

Powrót tongalerów był zdarzeniem dnia. Wydzierano ich sobie z rąk, zasypywano pytaniami. Każdy chciał przed innymi zaspokoić ciekawość. Jak się okazało, wyprawa natrafiła na przeszkody, które spowodowały opóźnienie powrotu. Drogę wśród górskich parowów w części zalała woda wezbranych strumieni, w części zatarasowały naniesione przez burzę i powódź głazy. Ostatecznie trudności pokonano i zapas zebranego ziela przedstawiał się wcale pokaznie. Największe wrażenie wywołała wiadomość o spotkaniu z Marankaguą. Członkowie wyprawy, wysłani w góry natychmiast po zapadnięciu w tej sprawie uchwały w wietnicy, nie wiedzieli oczywiście nic o jego ucieczce i szaman również ani słówkiem z tym się nie zdradził. Obecność swą niespodziewaną w górach tłumaczył misją zbadania przemyków powierzoną mu rzekomo przez Radę Dziesięciu. Spotkanie miało miejsce niedawno, bo onegdaj rano, czyli dwadzieścia osiem dni po zniknięciu czarownika. Marankagua wyrażał się z uznaniem o białym itonguarze i jego pierwszych krokach. Wezwany przez tongalerów do wspólnego powrotu, oświadczył, że musi pozostać jeszcze w górach, by zbadać dokładniej teren przyszłej walki. Znikł im z oczu równie nagle, jak się pojawił. Tylko z naczelnikiem wyprawy miał podobno dłuższą rozmowę, po której Mahana dał hasło do natychmiastowego powrotu.

Takie wieści krążyły po osadzie, zanim przyszło do urzędowej relacji w obliczu króla. Sprawozdanie Mahany nie przyniosło nic nowego, owszem, zdawało się nawet skąpsze w szczegółach. Naczelnik tongalerów rozwodził się szeroko nad trudnościami, z którymi musieli walczyć, i z dumą podkreślał piękne wyniki zbioru, a tylko krótko i mimochodem wspominał o spotkaniu ze zbiegłym szamanem. Lecz właśnie ten szczegół najwięcej zainteresował młodego władcę. Czandaura kilkakrotnie przerywał mu opowiadanie i wypytywał o słowa i zachowanie się Marankagui. Mahana odpowiadał zwięźle, uparczywie powtarzając to samo.

W końcu król zaniechał indagacji w tym kierunku i zapytał, czy przypadkiem nie spotkali oddziału wysłanego niemal jednocześnie z tongalerami dla prześlągnięcia bogini Pele. Mahana dał odpowiedź przeczącą. Nigdzie nie natknęli na ślad braci-błagalników. Zresztą nic w tym dziwnego, bo drogi ich rozchodziły się już od Doliny Wielkiej Siklawy i biegiły w kierunkach wprost przeciwnych. Na tym wyczerpał się temat rozmowy i król dał znak, że posłuchanie skończone. Po odejściu Mahany poprosił Izanę i Atahualpę, by przed wieczorem zechcieli go odwiedzić, a Huanakę, by odebrał od Mahany zapas zebranej tongi i dopilnował złożenia go w spichlerzu obok świątyni boga Oro. Po oddaniu tych zleceń Czandaura opuścił wietnicę i poszedł odpocząć w swym toldzie. Była wtedy godzina piąta po południu.

---

Zbieracze tongi byli wciąż bohaterami dnia i ośrodkiem ogólnego zainteresowania. Po zaspokojeniu pierwszego głodu zaczęli szeroko i dokładnie opisywać przebieg podróży. Przy tym gwoli pokrzepienia ducha i odwilżenia gardła strudzonego gawędą często zaglądali do kubków i kalabasów. Lecz czy nalewka z owoców, „algarobo”, była dla nich za mało esencjonalną, a „guarapo” za mdłe i niezbyt podniecające, dosypywali sobie do

pucharków od czasu do czasu niby od niechcenia parę szczypt sproszkowanego ziela. Któryś z lepszych obserwatorów zauważył to i nabrał ochoty do tajemniczej ingrediencji<sup>85</sup>. Więc nalał i sobie szklanicę limoniady i przy najbliższej sposobności, gdy jeden z tongalerów sięgnął do woreczka z ziele, poprosił go, by się z nim podzielił. Tamten spojrzął kwaśno, ale ostatecznie spełnił prośbę. Przykład podziałał i niebawem kilkunastu ludzi raczyło się napojem zmieszonym z tongą. Bracia zbieracze zwierzyli się innym pod wielkim sekretem, że Marankagua, spotkawszy ich w górach, radził każdemu zaopatrzyć się potajemnie w zapas świętego ziela i zaraz po powrocie zażyć go do woli z pierwszym lepszym napojem. Gdy mu jeden z nich przedstawiał, że tonga — to przecież ziele święte, przeznaczone wyłącznie dla itonguarów w chwilach wyjątkowych, szaman zaśmiał się szydersko i nazwał to przesądem niegodnym mężów. Po wypiciu dopiero otworzą im się oczy na rzeczy z tamtej strony i będą mądrzy jak bogowie. Rada kusiciela odniosła pożądaną skuteczną. Koło siódmej wieczorem połowa osady bredziła jak w malignie. Krzyki pijanych wojowników mieszały się z wyciem przerażenia wywołanego przez wizje. Bo napój z torebek nasiennych bielunia czerwonego, znanego w świecie naukowym pod nazwą *datura stramonium*, działa odurzająco jak narkotyk i powoduje zwidzenia. To, co dla medium jak Gniewosz było środkiem do przyśpieszenia transu, użyte w dawkach nadmiernych przez osobników o organizmach normalnych, stało się źródłem bezmyślnych widzeń i halucynacji.

Po zapadnięciu zmierzchu wieś Itonganów wyglądała na osadę szaleńców. Z pochodniami w rękę jedni tańczyli jak opętani, drudzy uciekali w popłochu przed niewidzialnymi widmami, inni, pogrążeni w ekstatycznej kontemplacji, wpatrywali się w zwodnicze obrazy przestrzeni.

A tymczasem na drugim końcu osady, w toldzie królewskim, toczyła się rozmowa między Czandaurą, Atahualpą i Izaną. Kapitan był chmurny i niezadowolony.

— Zachowanie się tego Mahany bardzo mi się nie podoba — mówił, pykając z wiśniowej fajeczki. — A ty co o tym sądzisz, Izano?

Wódz wydobył ze skórzanego woreczka na piersiach parę korzonków jankony, włożył do ust, pożył, a resztę wypluwszy w kąt izby, odpowiedział:

— Mój biały brat mówi prawdę. I mnie się widzi, że język Mahany jest rozdwojony jak u węża, a słowa jego podobne przykrywkom z liści i gałęzi na wilcze doły.

Spojrzął królowi w oczy.

— Rozmawiałem z kilku wojownikami, którzy wrócili z gór.

— No, i czego się od nich dowiedział brat mój? — zachęcił Czandaura do dalszych zwierzeń.

— Uszy Mahany były otwarte na słowa czarownika.

— Domyślałem się tego — wtrącił Peterson.

— A jednak przed obliczem twoim, Czandauro, słowa Mahany skąpe były i rzadkie jak uśmiech słońca w dżdżyste dnie jesieni.

— I ja to spostrzegłem.

— Gdy Huanako kazał sobie oddać zebraną tongę, okazało się, że jest jej o wiele mniej, niż się spodziewał. Zasiłek w spichrzu przeznaczony na święte ziele wypełnił się zaledwie do połowy.

— Do stu zapowietrzonych taberanów! — wrzasnęła Atahualpa i grzmotnęła w stół, aż podskoczyły na nim szklanki. — Założę się, że połowę skradł ten łajdak, Marankagua. Podzielili się, złodzieje. Temu staremu wydze przyda się ten narkotyk do oszukiwania nowych sprzymierzeńców. Zechce znów wśród Czarnych odgrywać rolę Wielkiej Medycyny i itonguara.

Izana skrzywił się nieznacznie. Szanował bardzo swego białego kolegę, ale nie mógł przyzwyczać się do jego przekleństw. Czuł przed nimi trwogę.

— Nie wzywaj imienia złych duchów niepotrzebnie, Atahualpo — upomniął go.

— W każdym razie — zabrał głos Czandaura — są tu jakieś matactwa i pachnie zmową. Musimy przeciwdziałać, i to bezzwłocznie. Ty, Atahualpo, każ rozstawić natychmiast silne straże. A ty, Izano, wraz z Ksingu, jak było postanowione, jeszcze tej nocy przed zej-

<sup>85</sup>ingredienca (z łac.) — składnik. [przypis edytorski]

ściem księżycy weźcie swoich ludzi i obsadźcie przesmyki górskie od strony południowej. Ja z resztą wojowników nadciągnę tam w pośpiesznych marszach.

Wszedł Ngahue. Twarz starego wodza zdradzała troskę i niepokój.

— Źle się dzieje, królu — mówił zdyszany od wytężonego biegu. — Połowa wojowników spita tongą hałasuje i rzuca się jak gromada opętanych.

Czandaura zmarszczył się:

— Kto rozdał pomiędzy nich ziele?

— Sami wzięli od tongalerów.

Peterson zaklął siarczyście.

— Tajemnica zniknięcia połowy zapasu rozwiązana! A to lotry!

Czandaura już przypasywał miecz do boku.

— Nie ma ani chwili do stracenia! — wołał cały wzburzony. — Atahualpo, każ zagrać na alarm i zarządz zbiorckę co trzeźwiejszych! Postaramy się zaraz, by im wywietrzała tonga ze łbów. Izano, przygotuj swój oddział do wymarszu i weź z sobą Ksingu!

Już mieli opuścić toldo, gdy z zewnątrz doszła ich wrzawa rozpaczliwych krzyków. Czandaura wypadł pierwszy na podwórzec i spostrzegł, że część osady w płomieniach. Tłum kobiet i dzieci wśród jęków i pisków toczył się falą czarnych sylwet w stronę północną osiedla. Jakiś wyrostek nadbiegł zdyszany i krzyknął:

— Intonganie Czarni wpadli na naszych! Rzną ludzi i palą wigwamy! Taberany sprzy sięgły się z nimi przeciw Jasnym!

Król, a za nim wodzowie rzucili się w kierunku szalejącego żywiołu. Po drodze spotkali kilkunastu mężczyzn bez broni, z wykrzywionymi konwulsyjnie twarzami. Ngahue splunął na nich z pogardą:

— Pijanice i tchórze!

Lecz byli wśród nich i trzeźwi. Na widok Czandaury i wodzów zatrzymali się zawstyżeni. Gdzie który poskoczył do najbliższej chaty po włócznię lub tomahawk. Sformował się mały oddział. Król objął osobiście komendę.

— Naprzód! — krzyknął, wywijając nad głową swym świeżo ukutym mieczem.

Dotarli do zaatakowanej części osady. Mnóstwo czarnych postaci uwijało się jak diabły, tnąc na prawo i lewo bez miłosierdzia. Jaśni bronili się słabo, pijani, zaskoczeni i zdeorganizowani. Tylko garstka przytomnych na umyśle skupiła się dokoła wietnicy i odpierała zacięcie następującego wroga. Spostrzegłszy Czandaurę na czele oddziału, podnieśli okrzyk radości i natarli ze zdwojoną energią. Król znalazł się w osierdziu boju. Z błyskawicą w oku, ze zbrudzonym od gniewu czołem szerzył dokoła siebie straszliwe spustoszenie. Brzeszczot jego miecza połyskujący w lunie płonących wigwamów spadał jak piorun na karki, rzeźbił okrutnie piersi i szyje, rozdzierał plecy, jak żądło żmii zatapiał się w serca. Boków jego pilnowali wiernie wściekły Atahualpa i metodyczny Ngahue. Kapitan kłął, aż uszy wędły, i nie wypuszczając z ust swej fajeczki, puszczał w coraz to dzikszy taniec klingę swej wedle własnego pomysłu zrobionej szpady. W zapale wojennym zapomniał zupełnie o kategoriach miejsca i przestrzeni i ryczał jak opętany w języku ojczystym:

— Niech żyje Jego Królewska Mość Jerzy VII! Niech żyje Anglia!

Tymczasem Ngahue milczkiem, bez emfazy, lecz skutecznie, ciął tomahawkiem.

Odzież kierowana osobiście przez króla podziała jak cud. Oddział jego, zrazu szczupły i słabo uzbrojony, wzrastał ze zdumiewającą szybkością. Jak spod ziemi wyrastali wojownicy i stawali karnie u boku władcy. Czandaura poczuł się na siłach i szepnął na ucho Ngahuemu.

— Niechaj brat mój weźmie z sobą trzydziestu zuchów, obejdzie świątynię Oro i uderzy na tych czarnych drabów z lewej. Oskrzydlimy ich.

— Niech Manu ma cię w swojej opiece, dzielny królu! — odpowiedział wódz. — Idę spełnić rozkaz.

I chyłkiem okrążył ze swoimi chram boga.

W zamęcie walki jakiś olbrzymi przeciwnik zamierzył się włócznią na Czandaurę. Atahualpa zasłonił go wprawdzie tarczą, lecz pocisk przebił górny brzeg puklerza i przeszył ramię króla. Ognie zamigotały w oczach Czandaury. Stłumił okrzyk bólu i wściekły rzucił się na napastnika. Zadzźwięczały o siebie miecz i tomahawk, aż posypały się iskry i odpadły.

I po raz drugi zwały się bronie, i po raz drugi rozłączyły bez skutku. Aż przy trzecim wypadzie miecz Czandaury dosięgnął Czarnego w czoło. Olbrzym zachwiał się i wypuścił z rąk siekiere. Unieśli go w cieniu nocy towarzysze.

— To był Tarmakore, król Itonganów Czarnych — zawołał Izana, walczący mężnie jak wilk „aguara”. — Niech żyje król Czandaury!

— Niech żyje Czandaury! — powtórzyli rozentuzjzmowani wojownicy.

Zwycięski pojedynek władców rozstrzygnął o wyniku walki. Napastnicy załamali się. Ataki ich osłabły, straciły inicjatywę i pewność. Gdy na dobitkę odezwały się okrzyki bojowe oskrzydłającego oddziału Ngahuego, poszli w rozsypkę. Rozpoczął się pościg. Czandaury, choć ranny i krwią broczący, kazał podać sobie konia.

— John — perswadował mu Peterson. — Daj sobie wpieryw zaopatrzyć ramię. Zbyt silnie krwawi. Ja już z tymi hultajami skończę. Pozwól, że cię wyręcę.

Lecz Gniewosz, podniecony walką i zwycięstwem, nie chciał ani słyszeć o tym.

— Później, później. Teraz nie ma czasu na takie drobiazgi.

I dosiadł konia. Oczy jego szukały kogoś w kotłowisku uciekających wrogów. Spiał konia i popędził w kierunku swej toldy za oddziałem zbiegów, którzy chyłkiem przekradali się w tę stronę. Jeden z nich, na przedzie, spostrzegł prześladowcę, zatrzymał się, napiął łuk i strzelił. Świsnął wąsaty pocisk tuż koło ucha Czandaury i zatopił się w sercu nocy. Król ściągnął boki rumaka ostrogami i w kilku potężnych susach dopędził tylne szeregi uciekających. Z okna chaty płonącej przy drodze wysliznął się długi jęzor ognia i oświecił jaskrawo ich twarze. Czandaury wydał okrzyk gniewu i zemsty. Poznał w przywódcy oddziału Marankaguę. Szaman rączy jak jelen pędził w stronę świątyni Pele. Król zabiegł mu drogę i ciał szabłą, mierząc w głowę. Czarownik zręcznie uchylił się i dotarł do wrót ni chramu. Zanim Czandaury zdołał zsiąść z konia i wtargnąć za nim do wnętrza, tamten wypadł z gontyny drugą stroną, unosząc w ramionach kapłankę Rumi. Z krzewów akacji obok świątyni wysunął się czekający tu już widocznie od pewnego czasu Mahana z dwoma końmi i podał szamanowi jednego z nich. Marankagua przerzucił ciało omdlałej dziewczyny przez łęk siodła i już wkładał lewą nogę w strzemię, gdy spostrzegł nad sobą straszliwe oczy Czandaury. Szabla króla zawisa nad jego głową powtórnie. Lecz cios jej wstrzymany w drodze przez tarczę sprzymierzeńca drasnął mu tylko skroń i rozorał głęboko policzek. Marankagua otarł krew rękawem opończy i korzystając z chwilowej bezczynności wroga, odjechał z branką i Mahaną w pełnym galopie.

Czandaury nie mógł już ich ścigać. Cios zadany szamanowi był ostatnim wysiłkiem, na który umiał się zdobyć w tej chwili. Wyczerpany upływem krwi zesunął się nieprzytomny z siodła na ziemię. Znalazła go Wajmuti i z trudem zawlokła do chramu. Potem z jękiem i płaczem pobiegła do Huanaki. Gdy przyszli do świątyni wodzowie i kapłani, zastali Czandaurę pogrążonego wciąż w mrokach niepamięci. Arcykapłan skropił mu twarz jakimś ożywczo pachnącym płynem i wcedził w usta parę kropel „guarapo”. Król otworzył oczy i zapytał:

— Gdzie Rumi?

A gdy mu nikt nie odpowiedział, znów przymknął ociężałe powieki...

## ZWYCIĘSTWO

Rana Czandaury nie zaopatrzona w porę zaogniła się i ropiała. Król gorączkował i w mągnie rwał się do boju. Gdy wracała przytomność, był tak osłabiony, że najmniejszy wysiłek przychodził mu z trudnością. Przy łożu czuwała Wajmuti, gotowa na każde skinięcie, leczyl Huanako, najlepszy lekarz w kraju. Ziola arcykapłana i driakwie przynosiły choremu widoczną ulgę. Mimo to choroba przeciągała się na tygodnie. Król niecierpliwił się, zżymał, lecz musiał być powolnym Huanace i nie opuszczał łoża. Jedyną osłodą w tym czasie były rozmowy z Atahualpą na temat przebiegu walki i pościgu. Zdradziecki napad Czarnych naprowadzonych przez Marankaguę mimo piekielnego podstępny nie udał się i zakończył się zupełną ich klęską. W rezultacie pozostawili na placu boju 200 zabitych, a 50 ciężko rannych. W czasie dwudniowego pościgu, który sięgnął aż poza granice państwa i zatrzymał się dopiero w wąwozach po tamtej stronie *cordillery*<sup>86</sup>, padło ich znów około 100. Jaśni prócz 60 zabitych w czasie nocnego napadu, ludzi przeważnie

<sup>86</sup>*cordillera* (hiszp.) — łańcuch górski. [przepis edytorski]

pijanych lub bezbronych, stracili tylko szczęście, a kilku odniosło lżejsze lub cięższe rany. Sprawność bojowa plemienia świeciła mimo zdrady świetny tryumf. Szczególnie odznaczyły się oddziały przyboczne króla i Atahualpy, uzbrojone w nowy rodzaj broni siecznej, szable i szpady. Broń ta, sporządzona pod osobistym dozorem białych z wybornej stali przez krajowych kowali i płatnerzy, okazała się niezrównana w walce wręcz. Miedziani wojownicy dzięki lekcjom fechtunku, udzielonym przez króla i Atahualpę, władali nią znakomicie.

Mimo choroby i wyczerpania kazał Czandaura zgromadzić żołnierzy „białej broni” przed swoim toldem, wsparty na poduszkach wygłosił do nich krótką, pochwalną mowę. Przyjęli ją z okrzykami uniesienia na jego cześć i zaczęli się tłumnie cisnąć do łóżka chorego, aż ich Atahualpa i Huanako siłą musieli wstrzymać. Wśród wiernej drużyny brakło tylko Izany i Ksingu, bo ci po ukończeniu pociągu nie wrócili do osady, lecz pozostali w górach, by tu w przesmykach i wąwozach czuwać jak orły skalne nad bezpieczeństwem rubieży.

Pomyślnie odparcie napadu Czarnych i skuteczność „reform wojskowych” umocniły jeszcze stanowisko Gniewosza wśród krajowców. Patrzyli jak na półboga. Powodzenie, z jakim spotkały się jego pierwsze pociągnięcia na tej dziewiczej ziemi, przekonało go do niej i związało z nią ściślej, niż się spodziewał.

Lecz najsilniejszym łącznikiem między nim a Itongami była kapłanka Rumi. Sympatia okazana mu zaraz w pierwszych dniach przez tę egzotyczną piękność wytrąciła go z apatii i bezwoli. Chęć popisania się przed nią odwagą i rycerskością była jednym z głównych bodźców do czynu. Gdyby mu kto zwrócił na to uwagę, byłby temu stanowczo zaprzeczył. A jednak sam przyłapywał się na tym, że myśli jego w okresie choroby i rekonwalescencji silnie zaprzętały trwoga o los Rumi. Obawy te podniecała jeszcze Wajmuti. Wstrząsnęła nim udzielona przez starą piastunkę wiadomość, że Rumi w chwili porwania miała na palcu szafirowy pierścień z gwałtowną trucizną, kurarą — jako jedyną broń przeciw gwałtowi. Jeżeli Marankagui udało się ściągnąć go z jej palca, zmniejszyły się wprawdzie obawy o samobójstwo, lecz za to groziło pohańbienie. W razie przeciwnym nieszczęśliwa dziewczyna mogła w każdej chwili zrobić użytek z swej straszliwej broni. Na samą myśl o jednej z tych ewentualności wzbierały w sercu Czandaury kolejno uczucia bezsilnego gniewu i cierpienia. W takich chwilach zrywał się z posłania, chwycił za szablę i krzyczał, by mu podano konia. I potrzeba było całej powagi i autorytetu Huanaki, by go z powrotem zapędzić do łóżka.

Nareszcie po czterech tygodniach rana zasklepiła się i Czandaura odzyskał siły na tyle, że mógł bez obawy przed recydywą dosiąść konia i ruszyć w pole. Niecierpliwość króla podzielali wodzowie i wojownicy, czekający od dawna na hasło. Toteż wyprawa odwetowa potoczyła się w tempie zawrotnym lawiny. W przeciągu trzydziestu godzin dotarli do podnóża Czerwonej Turni, tu przenocowali, a następnego rana połączyli się na przełęczy Coxayala z przyczajonymi tam już od tygodni wysokogórkimi oddziałami Izany i Ksingu. Relacje obu wodzów były pomyślnie. Od czterech tygodni Czarni nie dawali o sobie znaku życia. Pobici i zdziśiatkowani cofnęli się w głąb swych dzierżaw na południe od zębatach grzbietów cordillery i lizali się z zadanych im ran. Porozstawiane po siodłach górskich pikiety i patrole donosiły zgodnie, że ani jeden z nich nie odważył się zapuścić w wąwozy i przesmyki. Wysłany na zwiady tydzień temu, chytry i giętki jak wąż Pomare dotarł aż do głównej kwatery wroga, a nawet wśliznął się nocą do namiotu, w którym Marankagua więził kapłankę. Od niej dowiedział się, że Tarmakore wyleczył się wprawdzie z rany, lecz ani myśli o walce zaczepnej. W ogóle wśród Czarnych miało panować powszechne przygnębienie i obawa przed najazdem. Otoczyli osadę główną obronnym szansem i rozstawili gęste strażę. Na przedpolu obozu snują się niezliczone patrole i podjazdy.

Rumi wychudła i wynędzniała, lecz duch jej nieugięty i nie traci nadziei, że wkrótce przyjdzie odsiecz. Za pośrednictwem Pomarego przesyłała Huanace pokłon, a królowi pismo w zwoju z tappy-papierotki, w którym podobno podawała ważne szczegóły dotyczące siły i rozmieszczenia wojsk Czarnych.

Czandaura wysłuchał uważnie relacji, odebrał pismo i zwołał radę wojenną. Postanowiono, że Izana i Ksingu pozostaną na miejscu i pilnować będą dalej przełęczy, a król z resztą wojowników nazajutrz wczesnym rankiem zejdzie w doliny Południa. — Szcze-

gólowy plan ataku zamierzał Czandaura opracować sam po zapoznaniu się z treścią listu Rumi. Ten list schowany na piersi pod żołnierskim poncho przyśpieszał tętno jego serca i budził słodkie niepokoje. Nareszcie późnym wieczorem został sam w swym połowym namiocie. Przy blasku kaganka rozwinął zlepiony starannie klejem z drzewa gumowego rulon i znalazł we wnętrzu nakreślone pięknym, artystycznie wykonanym pismem obrazkowym słowa:

„Ufaj i bądź spokojny! Czuwa nade mną Manu i twoja gwiazda”.

Uśmiechnął się.

Więc pamiętała o nim i czuła, że jest mu bliską. Tych parę słów i niewinne kłamstwo, które posłużyło za pretekst do ich przesłania, ileż kryły w sobie cudownych dla niego rewelacji. Jak zacieśniały między nimi tajemne węzły! Czyż nie były wyznaniem, że poza sprawami wiary i narodu toczy się inna, dla obojga ważniejsza, bo ich sprawa?

Wzruszony i pełen podziwu dla kobiecej pomysłowości przycisnął list do serca i długo w noc pieścił się jego treścią.

---

Stolica Itonganów Czarnych oddaloną była od stoków południowych *cordillery* o dziesięć mil. Otaczały ją od północy dziewicze bory, biorące swój początek niemal na zboczach potężnego wału górskiego, który biegł w poprzek wyspy od wschodu na zachód i spadał z obu stron w morze urwistymi, niemal prostopadłymi ścianami bazaltu. Te lasy pierwotne i dzikie stanowiły teraz jedyną naturalną obronę państwa Tarmakorego, ale też przedstawiały i dla wroga niemalą wartość jako teren nadający się do ukrywania ruchów i posunięć. Atahualpa, rozzuchwalony powodzeniem, oświadczył się za jednodniowym rajdem jazdy, która po przebyciu puszczy miała wziąć obóz Czarnych wstępny bojem. Ngahue, ostrożny i nieufny, przestrzegał przed możliwością zasadzek w głuszy leśnej bezdrożnej, mało znanej i moczarowatej.

Opinię starego wodza poparł Pomare, jedyny pewny znawca tych okolic. Zdaniem tego zdolnego wywiadowcy nie mogło być mowy o jednodniowym przebyciu puszczy. Dróg we właściwym tego słowa znaczeniu nie było, a ścieżki wijące się krzyżową siecią poprzez bory, rozmokłe wskutek ulew i bagniste, utrudniały znacznie jazdę konną. Wobec tego Czandaura podzielił wojowników na trzy oddziały. W straży przedniej szedł Ngahue z Pomarem jako przewodnikiem, potem korpus główny z królem, a zamykała pochód straż tylna pod komendą Atahualpy.

Przewidywania Ngahuego sprawdziły się. Posuwali się bardzo powoli. Konie objuczone sprzętem bojowym i wojłokami z żywnością grzęzły w błocie powyżej pięcin. Ludzie musieli iść przeważnie pieszo i prowadzić je za uzdę. Niedoszły „rajd jednodniowy” przekształcił się w żmudną, pełną niespodziewanych przeszkód, trzydniową wędrówkę. Dopiero czwartego dnia o świcie zaczęła się przeredzać puszcza, a przeglądać zielona roztocz równiny. Czandaura wstrzymał pochód i nakazał dłuższy odpoczynek przed atakiem. Zdwojono ostrożność, bo lada chwila mogli natknąć na oddziały wywiadowcze wroga. Wysłany z podjazdem Pomare przyniósł wiadomość, że w odległości pół wiorsty spotkał biwakujących wojowników. Główna kwatera Czarnych była już niedaleko. Przesłaniało ją tylko niewielkie wzgórze zarośnięte skrubem z drzew mulga, rodzaju karłowatych akacji o trujących cierniach.

To wzgórze postanowił Czandaura opanować. Przeczekali na skraju borów do wieczora, a o zmierzchu podsunęli się szybko pod pagórek. Koniom obwiązano kopyta szmatami, by stąpały cicho, nie czyniąc tętentu. U stóp wzniesienia jeźdźcy posiadali i przywiązali rumaki do wbitych naprędce palików. Ngahue odkomenderował czterdziestu wojowników, którzy mieli tomahawkami porobić przesieczkę wśród zbitych, nastroszonych trującymi cierniami chaszczy mulgi. Po upływie godziny utworowano trzy przejścia. Przy blasku księżycy trzy oddziały w różnych punktach wdarły się na grzbiet. Osada Czarnych leżała przed nimi w odległości ćwierć mili. W ogniach wiatr czerniały wyraźnie zarysy chat i wigwamów. Na jednym z nich w samym środku chwiał się w powiewach nocnego wiatru królewski buńczuk z piór strusia emu.

Czandaura przyzwał do swego boku Pomarego.

— Gdzie jest wigwam, w którym trzymają Rumi?

— Tuż obok królewskiego, pierwszy na prawo.

— Możesz odejść.

Król raz jeszcze ogarnął spojrzeniem całość sytuacji. Była zadawalająca. Pagórek zajęty przez Jasnych ciągnął się wydłużoną linią kolistą na przestrzeni kilku kilometrów i otaczał podkową obóz Czarnych. Rozmieszczenie wojowników na szczycie wzgórza w odstępach kilometrowych umożliwiło atak koncentryczny z trzech stron.

Całą trudność stanowiła niemożność użycia koni. Teren między wzgórzem a osadą był bagnisty, a ponadto szaniec ochronny przed samym obozem bardzo wysoki. Musieli podsunąć się pieszo i wdrzeć na wał i palisadę.

Korzystając z tego, że księżyc zaszedł na chwilę za chmury, Czandaura dał znak białą chustą. Zwinni jak jaszczurki wojownicy zaczęli spływać trzema strugami ze szczytu wzgórza. Zaledwie znaleźli się poza opiekuńczym żywopłotem mulgi, u stóp pagórka, przypadli do ziemi. Teraz już nic ich nie osłaniało przed okiem wrażliwych strażników, prócz szeleszczącej cicho trzciny bagiennej i żdźbeł szuwaru. Na czworakach, kryjąc się za pałkami wiszarów, kolbami rogoży, pelzali jak węże. Każda kępa turzycy, każdy ostrów tataraku był ponętą przystanią, gdzie można było na chwilę podnieść głowę od cuchnącego zgnilizną bagna i odetchnąć świeżym powietrzem. Grunt falował jak woda i ustępował pod nogami. Miejscami zapadali po kolana w gęstym, rdzawym błocie. Chmury moskitów cięły bez litości.

W miarę zbliżania się ku szańcowi teren tężał i scalał się. Po półtorej godzinie dochodzili do suszę. Od wału dzieliła ich tylko kilkumetrowa przestrzeń kamiennego, darnią umocnionego odkosu i nad brzegiem trzęsawiska szumiące zarośla bambusów. Tu przykucnęli dla nabrania tchu. Czandaura, prowadzący oddział środkowy, znalazł się na linii jednej z bram obozowych. Solidna, zbita z krąglaków bukowych, spiętych żelaznymi kunami, zjeżona bolcami ćwieków szczyrzyła się naprzeciw jak zły zwierz, gotowy do skoku. Z drewnianych wież obronnych po obu jej stronach raz w raz wychylały się sylwety strażników. Spoza szańca dolatywał zgłuszony szmer głosów i krzyków lub rżenie koni. Czarni mieli się na baczności.

Król otarł pot z czoła i usiadł na podwiniętym *poncho*. Po chwili przyczołgał się do niego po rozkazy wysłaniec Ngahuego. I jego ludzie byli już naprzeciw jednej z bram. Czandaura pochylał się do ucha wojownika.

— Powiedz wodzowi, by czekał, aż uderzy Atahualpa. Wtedy niech próbuje podłożyć ogień pod bramę wschodnią.

Żołnierz przyłożył rękę do czoła i piersi i popelzał jak wąż z powrotem wzdłuż linii trzciniowego przedpiersia.

Czandaura pchnął Pomarego z rozkazem do Atahualpy na zachodnim skrzydle.

Wśród tego potężna lawica chmur przesłoniła księżyc i oddała ziemię nieprzeniknionym mrokom. Tylko ogniska osady gorzały niby krwawiące rany nocy. Czandaura polecił wydobyć z wojłoków pakuły, klaki i susz i sam z dwoma najtęższymi zuchami wypełznął z zarośli na podmurowanie szańca. Pozostali mieli w razie zaatakowania go obrzucić obrońców wału strzałami i pociskami. Król i jego dwaj towarzysze przykucnęli we wnęce między bramą a wystającą ścianą szańca, ułożyli stos z chrustu i przepojonych smołą pakul i czekali.

Czandaurze czas przeciągał się w nieskończoność. Czuł nerwowy niepokój i podniecenie gracza przed rozstrzygającą partią. Czymże było zdenerwowanie, któremu kiedyś, w kraju, ulegał podczas zawodów o mistrzostwo w boksie czy szermierce, w porównaniu z tą grą, w której stawką były losy dwóch plemion, życie Rumi i jego własne? Mimo wszystko może po raz pierwszy w życiu był w swoim żywiole: ruszał się, działał, walczył. Było w tym coś pięknego, coś rycerskiego, coś, co uważał za istotny, właściwy cel swego życia, podczas gdy wszystko inne w nim wydało mu się irracjonalną, śmiesznie głupią pomyłką. Jakiś rys atawistyczny europejskiego konkwistadora odezwał się w nim późnym echem i dopominał o realizację zdobywczych zachcianek. Jak zwykle w chwilach duchowego napięcia przyszła mu szalona ochota do zapalenia papierosa. Absolutna niemożność zaspokojenia jej wprawiła go w stan nerwowego zniecierpliwienia. Wysiłkiem woli powstrzymał się, by nie powstać i zacząć przechadzać się tam i sam pod bramą.

Jakże imponujący kontrast pod tym względem stanowiło zachowanie się obu krajowców. Siedzieli nieruchomo jak posągi, skamienieli w oczekiwaniu na znak władcy. Ani

jeden niespokojny gest, ani jeden żywszy ruch nie zdradzał wewnętrznego nastawienia tych ludzi.

Manekiny obowiązku i karności — dziwił się Gniewosz — czy też ludzie bez odrobiny nerwów? A może tylko przedstawiciele wschodniego stoicyzmu starych, wymierających ras? Co za wspaniały spokój i opanowanie! A może... tylko obojętność wobec przeznaczenia?

Po stronie zachodniej osady odezwało się puchanie puszczyka długie, przeciągłe, żalonne. Gniewosz drgnął i wyprostował się. To Peterson dawał znak do ataku. Nie minęła i minuta, a z tej samej strony nadpłynęła wrzawa bojowych okrzyków i szczęk broni. Jednocześnie rozbłysła różowym brzaskiem luna światła. Atahualpa rozpoczął akcję dywersyjną.

Czandaura skinął na swoich. Skrzესali ognia i zapalili stos. Potężny płomień buchnął w niebo i zaczął podlizywać czerwonymi jęzorami bramę i wieże strażnicze. Dzięki ryk Czarnych i ulewa strzał były odpowiedzią. Król wyrwał z za pasa tomahawk i z krzykiem „Naprzód w imię Manu!” runął na wierzeje. Powtórzyły okrzyk setki wojowników i jednym skokiem znalazły się obok niego pod szaniami. Huk siekier skrzyżował się ze świszczącym akompaniamentem strzał i zgrzytem żelaza. Czarni bronili się zaciekle. Napadnięci z trzech stron równocześnie, nie stracili przytomności i stanęli na wysokości zadania. Najzaciętszy bój rozgorzał przy bramie głównej zaatakowanej przez Czandaurę. Nieprzyjaciel wkrótce zorientował się, że akcją kieruje tu sam król, i dlatego tutaj skupił największy odpór. Była chwila, kiedy zdawało się, że Jaśni, prażeni z góry gradem pocisków i parzeni niemilosiernie wylewanym z wiader wrzątkiem, ustąpią przed furią obrońców. Sytuację ocalił Czandaura. Chmurny, z rozwianym włosiem, jak bóg burz, Tahwiri, z krwawą pręgą na policzku, wspiał się zuchwale po drabinie przystawionej do szanica i pierwszy przyłożył pochodnię do ostrokołu. I chociaż udało się Czarnym ugasić ogień w jednym miejscu, za chwilę wdzierał się niszczący żywioł zażegnany ręką króla gdzie indziej i wieńczył tryumfalnym pióropuszem szczyty palisady. Zachęceni bohaterstwem białego, kolorowi wojownicy ze zdwojonym męstwem przypuścili ponowny atak.

Wtem odpór zelżał. Po szeregach Czarnych przeszedł powiew zniechęcenia. To Ngahue przez wywaloną bramę wschodnią wkraczał do osady i zagrażał obrońcom od lewego boku.

— Niech żyje król Czandaura! — zawyło z setek piersi i pod ciosami siekier runęły zwęglone wierzeje główne.

Wtargnęli do serca obozu. Lecz już i od zachodniego skrzydła pędził dziki popłoch masy czarnych wojowników. I Atahualpa nie chciał pozostać w tyle w godzinę zwycięstwa. I jemu to przypadł w udziale najświetniejszy czyn tej nocy rozstrzygnięć. Po długiej, uporczywej walce położył trupem Tarmakorego. Śmierć króla zakończyła bój. Czarni, zewsząd otoczeni i zdeorganizowani, wywiesili na wietnicy płat czerwonego sukna na znak poddania się.

— Niech żyje Czandaura, król wyspy Itongo! — wołali zwycięzcy.

— Niech żyje! — podjęli okrzyk zwyciężenia.

Lecz oczy wodzów i wojowników na próżno szukały tego, który był przedmiotem owacji. Odezwał się pomruk zaniepokojenia.

— Gdzie król? Gdzie Czandaura?

Atahualpa, choć ranny i pobladły od utraty krwi, wjechał koniem w tłum jeńców i klnąc po angielsku, krzyczał:

— Gdzie król Czandaura, czarni hultaje? Każę was wyciąć do nogi, jeśli włos jeden spadnie mu z głowy!

Aż uspokoił go Pomare, który objąwszy w pół chwiejącego się już na siodle, rzekł półgłosem:

— Król poszedł uwolnić kapłankę Rumi.

Jakoż niebawem z ulicy pomiędzy wigwamami nadjechał Czandaura na białym rumaku. Przed nim na siodle z zasłoniętą zielonym kwefem twarzą siedziała Rumi, za nim ponuro patrząc spode łba szedł pieszo wzięty na lasso Marankagua.

Powitały ich entuzjastyczne okrzyki i szczęk włócznie uderzanych o tarcze.



Tak zakończyła się wyprawa, której wynikiem było złączenie obu plemion i krain pod berłem Czandaury. Kilkanaście pierwszych dni po zwycięstwie poświęcił król zwiedzaniu zdobytych obszarów i zapoznaniu się z nowymi poddanymi.

Pod względem klimatu, fauny, flory i naturalnych bogactw południowa część wyspy mało różniła się od północnej. Tylko konie mieli Czarni o wiele piękniejsze od swoich pobratymców. Obaj biali byli nimi zachwyceni i już w czasie bitwy zdobyli sobie po jednym rasowym okazie.

Pierwszą troską Czandaury po odbyciu podróży okrężnej po nowym terytorium było wyznaczenie namiestnika, który by z jego ramienia rządził południową połacią wyspy. — Na stanowisko to nadawał się najbardziej Atahualpa, lecz ten stanowczo odmówił. Nie chciał rozłączać się z królem.

Czandaura nie nalegał. I jemu ciężko przyszłoby rozstawać się z przyjacielem i jedynym białym człowiekiem na wyspie. Namiestnikiem został Ngahue. Celem ułatwienia szybkiej wymiany myśli między nim a królem i wzajemnego porozumienia się mianował Czandaura swoim odręcznym kurierem Pomarego. Miał on być odtąd stałym łącznikiem między obu połaciami kraju. Dla udostępnienia komunikacji między Południem a Północą postanowił król poprowadzić przez puszcę na południe od łańcucha górskiego szeroki, bity trakt dla pieszych i konnych. Do dzieła zabrano się natychmiast i jeszcze przed powrotem Czandaury do północnej stolicy rozbrzmiały odwieczne bory hukami toporów i siekier. Wola białego człowieka wdzierała się nieubłaganie w osierdzie lasów i kładła w poprzek jasnym, utartym szlakiem.

Zarządzeniom młodego władcy poddawali się Itonganie bez szemrania; otaczała go podwójna aureola; zwycięskiego wodza i itonguara. Pomruk sprzeciwu odezwał się dopiero wtedy, gdy do oddziałów powracających na Północ wcielił Czandaura spomiędzy Czarnych dwa tysiące najdzielniejszych wojowników. Lecz stanowcza postawa króla i jego żołnierzy uśmierzyła bunt w zarodku i czarni wojownicy potulni jak baranki odmaszerowali w stronę cordillery. W dawnej stolicy Południa prócz Ngahuego pozostało załogą tysiąc świetnie uzbrojonych Jasnych. Na odjeźdźnym Czandaura pożegnał ich w krótkich, serdecznych słowach, a na pocieszenie obiecał wkrótce odesłać im ich kobiety i dzieci. Wyraził też nadzieję, że za najbliższą wizytą zastanie tu już niejedno młode stadło, powstałe ze skojarzenia się dzielnego wojownika Północy z urodziwą dziewczyną Południa. Wreszcie kazał publicznie ogłosić, że granica między obu krajami przestała istnieć i że każdemu dozwolone jest swobodne przejście z jednej strony gór na drugą. Żegnany owa cyjnie przez załogę pod dowództwem Ngahuego, Czandaura dosiadł swego siwosza i dał znak do wymarszu. Ruszyli na północ i długo towarzyszyły im spojrzenia pozostałych.

## MENHIRY<sup>87</sup> I WIGWAM ŚMIERCI

Po połączeniu się z oddziałami Izany i Ksingu w przełęczach Czandaura zmienił kierunek marszu i wybrał drogę okrężną, wijącą się dolinami i roztokami wśród turń i krzesanic. Na zmianę ruty wpłynął Huanako, który poradził królowi, by osobiście dokonał ceremonii prześlągnięcia Pele, opiekuńczego bóstwa wulkanu Rotowery. Okazało się bowiem, że oddział braci-błagalników wysłany w tym celu jeszcze przed trzema miesiącami wskutek zdrady Marankagui został napadnięty w górach przez Czarnych i wzięty do niewoli, zanim zdołał wywiązać się ze swego zadania.

Czandaura, powolny życzeniom starca, zawrócił z obranej drogi i teraz pieli się po skalnych gzymsach, otoczeni zewsząd surowym pięknem gór.

Wulkan Rotowera, najbliższy cel ich pielgrzymki, był najwyższym szczytem *cordillery*. Jego wiecznie śniegiem i lawą pokryty stożek wystrzelał na wysokość 4500 m ponad poziom morza. Wzniesiony w samym środku pasma, bez regli, bez kosodrzewiny, bez mchów, olbrzym nagi i posępny spoglądał z góry na sąsiadów sięgających mu zaledwie do pasa. Ścieżka do ust krateru, trudna i niebezpieczna, zaczynała się na zboczach najbliższej mu turni, okrążała ją trzykrotną spiralą, szła wąskim skalnym gankiem zawieszonym nad przepaścią na wysokości 2000 m i przerzuciwszy się na trzon wulkanu, zmierzała w szerokich skrętach ku jego paszczy.

<sup>87</sup>*menhir* — prehistoryczny pionowo ustawiony blok kamienny, prawdopodobnie o znaczeniu kultowym. [przypis edytorski]

W godzinach południowych pochód zatrzymał się u stóp góry.

Czandaura z Pomarem, Izaną, Ksingu i Atahualpą wdarli się nań drożyną ledwo widzialną z poziomu roztoki i po trzech godzinach wysiłków stanęli nad czarną jak noc gardzielą wulkanu. Dokoła unosił się ostry zaduch z siarki, smoły i dymu. Czandaura pochylił się nad czeluścią krateru i zatoczył się jak pijany. Trujący oddech Rotowery palił i dławił. Izana wydobyl z tajstry myśliwskiej dwie złote monety i podał królowi. Czandaura położył je sobie na dłoni i podziwiał subtelność wizerunku głowy wybitego na rewersie. Był to owal jakiegoś indyjskiego kacyka. Pieniądz był ważki i znać ze szczyrego metalu.

— Skąd macie te monety? — zapytał Izaną.

— Odziedzyczyliśmy po przodkach naszych, którzy znaleźli je w urnach odkrytych w jednej z pieczar nadmorskich po wschodniej stronie wyspy. Jest ich już niewiele. Przechowują je arcykapłani nasi w świątyni Oro i wydają po dwie tylko w chwilach gniewu bogini Pele, gdy domaga się od nas haraczu.

— Hm — mruknął Czandaura i zakrył dłonią usta, na które wybiegł mimowolny uśmiech. — Więc to tak. — Will — zwrócił się do Atahualpy — czy znasz te pieniądze?

Peterson wziął do ręki, zważył na dłoni, zbadał z obu stron i zaopiniował:

— Wyglądają na stare monety peruwiańskie z czasów szlachtetnych Inków. Podobne posiadał w swoich zbiorach Ralph Hulston, szyper z Punta Arenas, stary wyga, który za młodu polował po morzach na własną rękę i nieraz bywał w zatargu z policją. Złoto solidne, pierwszej klasy.

— Ale jak dostały się na wyspę?

— Pewnie w czasie wędrówek plemion. Zresztą może jacyś korsarze ukryli wraz z innymi łupami i te pieniądze w skałach nadbrzeżnych. Jestem przekonany, że w ciągu wieków zaglądali tu nieraz awanturnicy hiszpańscy i pozostawiali po sobie ślad w niektórych zwrotach i wyrażeniach. Kto wie, czy podanie o bogu Tane-Mahuta, który miał zapłodnić jedną z tutejszych kobiet i stać się protoplastą rodziny królewskiej, nie jest zręcznym zamaskowaniem rzeczywistego, lubo mniej cudownego zdarzenia.

Rozmowa białych prowadzona po angielsku wydała się Izanie trochę za długa i nieodpowiednia w tym miejscu i w tej chwili. Z odcieniem zniecierpliwienia przypomniał królowi właściwy cel, w którym tu przybył.

— Gdy wyciągnę rękę ku ustom Rotowery — pouczał króla — wtedy zapłacisz haracz bogini.

Czandaura odebrał monety od kapitana i trzymając je w palcach nad kraterem, czekał.

— Gromowładna bogini — mówił Izana, pochyłony ku czeluści otchłani — przyjmij dar ten z rąk twoich dzieci i bądź nam odtąd łaskawszą. Oby nigdy już więcej głos twój straszliwy nie wstrząsał hukiem gromów posad naszej ziemi, żółć twa nie wylewała się potokami ognistej wody na nasze role, a gniew twój nie miotał daleko na chaty nasze i wigwamy gorących chmur popiołu i siarczanego dymu! O Pele!

Wyciągnął rękę ku przepaści, a z palców króla wymknęły się i załśniwszy po raz ostatni w słońcu, stoczyły się w otchłań krateru dwa złote krążki...

Wieczorną godziną ruszył pochód od podnóża wulkanu, a koło północy rozbili obóz na stokach ostatniej, najbardziej w niziny wysuniętej Turni Błękitnej. Nazajutrz rano zeszli w dolinę rzeki Takaringa, a koło południa znaleźli się w pobliżu Pola Duchów, szerokiego, kopulastego wzgórza, pokrytego 40 przeszło olbrzymimi menhirami. Tu znów zatrzymali się, by odpocząć.

Czandaura w towarzystwie Atahualpy i Huanaki poszedł do namiotu kapłanki Rumi. Zastali ją w towarzystwie najpiękniejszej dziewczyny Południa, sokolookiej Itobi. Obie młode kobiety przyłgnęły do siebie od pierwszego wejrzenia i już w okresie niewoli przyjaźń Czarnej osłodziła kapłance niejedną przykrą chwilę. Ojciec jej, Raugis, należał do liczby tych, którzy z rozkazu króla mieli przesiedlić się na stałe na Północ. Toteż Raugis, opuszczając rodzinne strony, zabrał z sobą żonę, chorowitą Rangitatau, i córkę.

Właśnie Itobi rozczesywała przyjaciółce jej długie, czarne włosy, gdy kotara wigwamu podniosła się i weszli dostojni goście. Rumi szybko zasłoniła twarz woalem. Huanako uśmiechnął się pobłażliwie.

— Odsłoń twarz, Rumi. Do króla i arcykapłana możesz przemawiać z odkrytym obliczem.

Uśluhała i odsłoniła twarz. Oczy jej smutne i łagodne jak u sarny spoczęły na Czandaurze.

— Brak ci czego, Rumi? Nie czujesz się zmęczoną? — zapytał król.

— Odpoczęłam do syta i nabrałam sił nowych w słońcu chwały waszego zwycięstwa. Może zechcecie pokrzepić się masą z roztartych orzechów ratta i kokosu, zaprawioną mlekiem i przesączoną przez trzcinę cukrową?

— Któż by odmówił, gdy zapraszają tak piękne usta, a dzień tak skwarny? — odpowiedział dwornie w imieniu towarzyszy Atahualpa i wyciągnął kubek ku Itobi. — Należy mi, a szczerze, cudna dziewczyno!

Itobi spłonęła jak kwiat waratahu i z malowanego w liście palmowe dzbana wsączyła mu do czarki płyn gęsty, wonny i słodki.

Tymczasem król i Huanako zabawiali się rozmową z kapłanką. Rumi była w tej okolicy po raz pierwszy i okazała chęć zwiedzenia Pola Duchów.

Stanowiło ono część środkową terytorium zajmowanego przed wiekami przez jakiś nie znany bliżej szczep, który praojcowie Itonganów wytrzebili do nogi. Przestrzeni zamieszkiwanych przez nieszczęśliwy klan nie śmieli zająć zwycięzcy z obawy przed duchami wytępionych, które uporczywie krążyły po okolicy, tułając się pomiędzy szczątkami zamarłej przeszłości. Jedynym śladem, który po nich pozostał, były resztki jakichś budowli i czterdzieści przeszło wykutych z bazaltu menhirów, rozmieszczonych na wzgórzu. To wzgórze, zwane Polem Duchów, poszli obejrzyć Rumi, Itobi i ich goście.

Przestrzeń zaludniona posągami wstępowała łagodnie ku górze kształtem rozległej kopuły, porosłej niską, jasnozieloną trawą. Na tle tego naturalnego kobierca dziwnie rysowały się potężne kamienne profile i twarze zewsząd spoglądające na obcych natrętwów. Biła od tych czoł wąskich z parą upartych, tępo w dal wlepionych oczu, od warg wydatnych, silnie ku przodowi wysuniętych, od owali pociągłych, z anormalnie długimi i lekko zadartymi nosami o szerokich nozdrzach, potężna, nieubłagana statyka wieków.

Nawet zwykle jowialny Peterson chodził między tymi olbrzymami skupiony, poważny i małomówny. Raz tylko u stóp jednego z menhirów, czterokrotnie przewyższającego go wysokością, zauważył po angielsku:

— Wiesz, John, te potwory z kamienia zapatrzone w przestrzeń sprawiają wrażenie niesamowite. Nie miałbym wielkiej ochoty znaleźć się tu sam w ich towarzystwie przy blasku księżyca.

— Ani ja — przyznał mu rację Gniewosz. — Niektóre z nich mają swoisty wyraz. Można by go określić jako kamienną konieczność. Te twarze, które wychylają się ku nam z perspektywy milionów lat, mają w swym spojrzeniu ich lapidarną powagę. Lecz co powiedziałbyś, Will, gdybym zaryzykował twierdzenie, że to spojrzenie menhirów urobiły w nich wieki?

— Urobiły, tzn. że dawniej spoglądały inaczej — czy to chciałeś powiedzieć?

— Tak, to właśnie.

— To dla mnie trochę za fantastyczne, John. Posągi zmieniające swój wyraz w pochodzie wieków...

— A jednak — kto wie, czy to nie możliwe.

Kapitan potrząsnął niedowierzająco głową:

— Sąd zbyt subiektywny. Zdaje mi się, narzucasz tym dziwotworom z odległej epoki wrażenia i stany uczuciowe, jakie budzą w tobie, człowieku dzisiejszym.

— Nie, Will. W tym, co powiedziałem, jest jednak coś obiektywnego. Stąd lęk, który budzą.

— Nie jestem myślicielem, a tym mniej mistykiem, John. Nie będę się z tobą sprzeczał.

— Jest to lęk przed statyką wieków. Te menhiry — to stężale w konturach ludzkich twarzy akumulatory wielowiekowej energii. Przechodzimy mimo nich, jak się przechodzi mimo zbiorników o wysokim napięciu. W języku potocznym nazywa się to patosem przeszłości.

Rozmowę przerwała Rumi, która dość szorstko pociągnęła Czandaurę za rękaw. Zwrócił się do niej z uśmiechem.

— Co powiesz, księżniczko?

— Uważaj, Czandauro! Już dwa razy przeszedłeś przez cień kamiennych twarzy.

— Czy to źle?

— Niedobrze jest stykać się z cieniami kamiennych ludzi — poparł przestrogę kapłanki Huanako. — Lepiej obchodzić je. Coś z nich może udzielić się temu, który wchodzi w ich zasięg.

— Co za przesady! — burknął po angielsku Peterson.

Huanako popatrzył z surową uwagą i nic nie odpowiedział. Lecz odtąd obaj biali omijali głęboko na szczecinie trawy rysujące się projekcje menhirów.

Pod zachód zeszli ze wzgórza posągów ku ruinom świątyni. Miała kształt piramidy ściętej. Z czterech jej stron, odpowiadających czterem stronom świata, prowadziły kamienne schody ku ołtarzowi na szczycie. Obok sterczały resztki marmurowego krużganka z dachem podpieranym przez poczwarne kariatydy.

— Dawna świątynia Słońca — wskazał na piramidę Huanako.

— Przypomina podobne budowle w kraju faraonów i niedawno odgrzebane na przyładku Jukatan w Ameryce Środkowej — rzekł Atahualpa.

— Czy oglądałeś je własnymi oczyma, mój synu? — zapytał z zainteresowaniem starzec.

— Pierwsze, egipskie, znam tylko z rycin, natomiast drugie, wznoszące się do dziś dnia na ziemi dawnych Tolteków, widziałem na własne oczy.

Zeszli ku krużgankowi. Opodal gwarzył już obóz Itonganów. Na widok zbliżających się dostojników mnóstwo mężczyzn i kobiet wybiegło z namiotów na powitanie i na znak czci zatrzymało się w pewnym oddaleniu od ruin.

— Tu, w tym przedsionku — tłumaczył Huanako — kapłani Słońca przywdziewali liturgiczne szaty przed składaniem ofiar na ołtarzu bóstwa. Tu, w tej na pół rozwalonej dziś skrytce, była ich szatnia.

Istotnie portyk od strony wschodniej był zamknięty dwiema ściankami tworzącymi rodzaj zakrystii. Dochowały się nawet szczątki marmurowego fotelu, opartego grzbietem o ścianę.

Czandaura podszedł doń i usiadł. Przymknął oczy. Światło wschodzącego naprzeciw spoza piramidy księżycza oświeciło twarz jego bladą, konwulsyjnie wykrzywioną. Atahualpa pochylił się ku niemu zaniepokojony.

— Co tobie, John? Jesteś chory?

Król podniósł z trudem ociężałe powieki.

— Zdaje mi się, że wkrótce zapadnę w trans. A już myślałem, że życie czynne, które tu prowadzę, uwolni mnie od tych nienawistnych mi stanów. Niestety! Nie tak to łatwo. Może byś mógł mnie w jakiś sposób zasłonić przed oczyma tłumów.

Rumi zdjęła z ramienia swój szafranowy szal i rozpięła go między trzonami kolumn w ten sposób, że zakrył zupełnie siedzącego w fotelu króla. Jego zaś brał już w posiadanie sen coraz głębszy. Przechylił głowę wstecz, ręce opuścił wzdłuż ciała i zapadł w stan niepamięci. Huanako, Atahualpa i Rumi stanęli przed zasłoną na straży.

Wśród Itonganów odezwały się szepty i głosy zdumienia, lecz gdy arcykapłan podniósł rękę, umilkły. Słychać było tylko ćwierkanie koników polnych, idących na spoczynek. Ogromny, srebrny dysk księżycza wytoczył się na niebo i zalał potokami światła krużganek. Na posadzkę rzuciły się skosem cienie kolumn i rozpoczęły powolną wędrówkę...

Zafalowała szafranowa zasłona i między pierwszą parą kariatyd pojawiły się dwa mgliste kształty ludzkie. Były wysokie na dwanaście stóp i głowami sięgały stropu. Twarze wydłużone i szerokie nosy czyniły je podobnymi do menhirów. Zawahały się nad posadzką i ruchem powiewnym posunęły się między kolumnami w stronę piramidy. Za nimi wyrosły z posadzki dwie inne zjawy i poszły za tamtymi. A po tych wyłoniły się znów inne i odpłynęły w ślad za poprzednimi. Tak utworzył się orszak widmowych postaci. Jak we śnie przesuwają się między trzonami filarów, przechodzą przez zasypany odrużgami kapiteli i złomami fryzów podwórzec i wstąpiwszy na stopnie piramidy, rozwiewały się w pełnym blasku księżycza.

— To widma praocjów naszych — szepnął Huanako. — To dusze najdawniejszych mieszkańców nie tylko tej wyspy — to cienie może pierwszych ludzi na ziemi. Te czarne, 12-stopowe olbrzymy — to ludzie pierwszej rasy, zwani w starych księgach Rmoahal. Oni to dopuścili się po raz drugi w dziejach ludzkości ciężkiego grzechu, łącząc się ze

zwierzęcymi samicami. Stąd wyrosło plemię potworów i obniżyło na wieki całe godność człowieczą. Ci znów czerwono brunatni — to ludzie drugiej rasy — Tlavatli. A ci w ostatnich szeregach, smukli i kształtni, o orlich nosach i twarzach jak wykutych z brązu — to szlachetni Toltekowie, późniejsi władcy krain Nowego Świata, którzy założyli potężne państwo ze stolicą zwaną przez nich Miastem Złotych Bram.

Powoli pochód fantomów wyczerpywał się. Ostatnie szeregi synów Słońca przeszły aleją kolumn, znikły na stopniach piramidy i znów tylko pusty krużganek z cieniami kariatyd pławił się w zielonawej poświatli.

Czandaura westchnął i obudził się. Ujrzał nad sobą pochylone życzliwe twarze przyjaciół.

— Czyście co widzieli? — zapytał.

— Przeszłość przesunęła się przed naszymi oczyma — odpowiedziała Rumi. — Czyś bardzo znużony, królu?

Pogładził z uśmiechem jej włosy.

— Trochę. Gdy wychylę kubek guarapo, podany przez ciebie, odzyskam siły i będę krzepki jak w dzień wyprawy.

Powstał i podtrzymywany przez Atahualpę poszedł z przyjaciółmi do oczekujących ich rzesz wojowników.

Reszta tej nocy pogodnej i cichej przeszła spokojnie, a gdy brzask zaróżowił wierzchołki lasów, obóz zwycięzców i pobitych ruszył w dalszą drogę do rodzinnego gniazda.

---

Po powrocie do domu odbył się sąd nad Marankaguą. Czandaura powierzył przeprowadzenie sprawy i wydanie wyroku Radzie Dziesięciu. Nie chciał, by go pomawiano o żądzę osobistej zemsty.

Rozprawa nie trwała długo. Wina była oczywista. I wyrok nie nasunął sędziom żadnych wątpliwości. Jednomyślnie skazali zdrajcę na spędzenie 24 godzin w „wigwamie śmierci”. Król zatwierdził wyrok.

Kara była straszna, lecz sprawiedliwa. Wigwam śmierci — była to absolutnie ciemna, bez okien chata na krańcu osady, niedaleko skał nadmorskich, w której zamykano najgorszych przestępców, by spędzili jedną dobę w towarzystwie wpuszczonych tam poprzednio jadowitych węży. Po upływie przepisanego czasu drzwi chaty otwierano. Jeżeli skazańcowi udało się cudem jakimś uniknąć ukąszenia jednego z rozwścieczonych od głodu gadów, wsadzano go na lichą, z desek eukaliptusowych zbitą pirogę i zdawano na łaskę oceanu.

Natomiast jeżeli zginął od jadu jednego ze współwięźniów, ciało jego obrzucone mierzwą zakopywano jak padlinę daleko za osadą w miejscu ogrodzonym, zwanym „fejtoką zbrodniarzy”.

Do wykonania wyroku przystąpiono natychmiast. Wieczorem o godzinie szóstej wielki tłum ludu zebrał się przed złowieszczym domem i oczekiwał przybycia skazańca. Gdy zbliżył się oddział egzekucyjny, wiodący skrępowanego szamana, podniosły się zewsząd okrzyki oburzenia i obelgi pod jego adresem. Zwłaszcza kobiety rozjeżdzone na zdrajcę przypadły do niego z pięściami i pluły mu w twarz. Jedna z nich, młoda i urodziwa, imieniem Napo, która straciła męża w czasie nocnego napadu Czarnych, ugodziła więźnia kamieniem w piersi. Wtedy strażnicy otoczyli go zwartym szeregiem i nie dopuścili do dalszych napaści. W końcu stanęli u celu. Dwóch wojowników rozwiązało Marankagui ręce i trzymając go mocno pod ramiona, podprowadziło go do drzwi wigwamu. Dwóch innych stanęło po obu ich stronach na straży. Naczelnik eskorty, Ksingu, odsunął zaworę z żelaza, zamykającą wejście, i lekko uchylił drzwi. W tej chwili żołnierze trzymający Marankagę pchnęli go z całej siły do wnętrza ciemnicy, a strażnicy natychmiast zamknęli za nim drzwi i zasunęli rygle. Tarcza słoneczna, czerwieniejąca pomiędzy skalami, była wtedy zanurzona w oceanie już do połowy. Dopiero nazajutrz o tej samej godzinie miał Ksingu własnoręcznie odryglować wejście i zwolnić strażników.

Część pierwszą egzekucji wykonano. Przez chwilę panowało w tłumie głuche milczenie. Ludzie wytyżali słuch, czy nie dojdzie ich głos jakiś z głębi ślepego wigwamu. Lecz nie doszedł żaden. Cicho było dokoła domu i cicho w jego wnętrzu. A gdy wśród tej ci-

szy ogromnej nareszcie zapadło słońce pod powierzchnię morza, kazał Ksingu żołnierzom rozpedzić tłum do domów. Rozeszli się niechętni, odwracając głowy. Wojownicy eskorty utworzyli znów zastęp i równym, miarowym krokiem odeszli do osady. Pozostali tylko dwaj strażnicy, którzy z podniesionymi włóczniami zajęli swe miejsca u drzwi chaty.

Czandaura nie był obecny przy egzekucji. Gdyby nie stanowcza wola ludu domagającego się kary śmierci, byłby zamienił ją na dożywotnią banicję. Lecz Huanako, którego zdanie było mu zawsze najwyższym wyrazem uczuć i przekonani Itonganów, odrzucił propozycję króla z oburzeniem i zażądał spełnienia wyroku. Zdrajcę należało ukarać z bezwzględna surowością. Wobec tego król musiał pozostawić Marankaguę jego losowi.

Tegoż wieczora o zmierzchu skorzystał z chwili wolnej od zajęć i ścieżką ukrytą wśród krzewów żywoci i surmii zakradł się do świątyni Pele. Zastał Rumi przy zniczu dorzucającą do ognia polan z drzewa sandałowego i okrągłych jak głowa ludzka szyszek igławy. Po świątyni snuły się wstęgi błękitnych dymów i napełniały wnętrze woniami. Na widok króla kapłanka powstała od ogniska, złożyła mu głęboki ukłon i chciała odejść w głąb chramu. Zatrzymał ją błagalnym ruchem ręki.

— Dlaczego uciekasz przede mną, Rumi? Ciebie tu szukałem.

Przystanęła z pochyloną nisko głową.

— Czego życzysz sobie, królu mój i panie?

— Przyszedłem powiedzieć ci, Rumi, że jesteś mi droższą nad to królestwo moje i cenniejszą nad życie. Przyszedłem wyznać ci miłość moją.

Zachwiała się jak palma pod ciosem topora. Coś jak jęk cichy, jak kwilenie gołębia wyszło z dziewiczej piersi. Zakryła twarz rękoma.

— Dlaczego mi to powiedziałeś. Czandauro? — poskarżyła się cicho.

— Bo kocham cię, Rumi, i chcę, byś była moją.

Porwał ją w ramiona. Nie spotkał oporu. Rozłożyła ręce ruchem bezbronnego dziecka i przymknęła oczy pełne złotych blasków. Usta jej gorące jak szkarłat kennedii zakwitły uśmiechem rozkoszy, gdy uczuły palący żar pocałunku, a smagłe łono spragnione pieszczoł podniosło się łukiem tęsknoty na spotkanie mężczyzny.

— Jesteś silniejszy niż moi bogowie, Czandauro — szeptała, oplatając go ramionami — silniejszy niż cienie praocjów, silniejszy niż duchy żywiołów. Jesteś moim przeznaczeniem.

A on, pieszcząc jej piersi soczyste jak owoc gojawy, a wonne jak balsam peruwiański, rzekł mocno:

— Odtąd płyniemy oboje na jednej łodzi. Los mój jest twoim losem, Rumi.

Przytuliła się do niego.

— Teraz musisz mnie wziąć w obronę przed boginią Pele. Złamałam śluby. Zbzcześciłam jej chram.

Wziął ją na ręce jak dziecko i obsypując pocałunkami, obnosił po świątyni.

— To, co dla mnie uczyniłaś, biorę na siebie — uspokajał, kołysząc ją w ramionach.

— Wyzwolę nas oboje spod praw tej ziemi. Bo czuję, że i twoja dusza jest mieszkanką innych łądów, innych krain, że i ty buntowałaś się nieraz przeciw temu, co ci narzuciło życie.

— Mój Mądry, mój Mocny, mój Król! — szeptała w upojeniu.

Mijały chwile, upływały godziny i odchodziły w dal niepowrotnie. Zeszedł księżyc, zajrzał do świątyni, obrzucił kochanków łaską blasków, skrył się za murem, zaglądnął znów do wnętrza przez drugie okno, uśmiechnął się i przepadł za filarem.

Rumi usnęła Czandaurze na rękach. Dotknął wargami raz jeszcze ust jej rozchylonych jak płatki lorantu i lekko złożył ją na posłaniu. Zakrył sobie twarz połą *poncha* i cicho wymknął się z chramu na ścieżkę po tamtej stronie.

Była północ i księżyc wędrował wysoko po niebie. Król zwolnił kroku i szedł, przeżywając powtórnie chwile upojenia. Miłość Rumi szumiała w nim jak wino. Słyszał szept jej, nieśmiało domagający się pieszczot, czuł wstydlive dotknięcia jej palców. Umiała kochać ta półdzika seniorita! Mantillę koronkową zarzucić jej na głowę, złoty grzebień

i różę wpiąć we włosy i wachlarz dać do ręki — niech króluje najpiękniejsza z Kreolek przy dźwiękach gitar i mandolin w tanecznych skrętach habanery. Pampera<sup>88</sup> stepowa!

Pijany szczęściem król nie spostrzegł się nawet, jak wyszedł z gąszczu akacji i błędził wybrzeżem wśród skał. Dopiero chlust fali, co obryzgała mu twarz wrzątkiem piany, obudził go z marzeń. Podniósł głowę i rozejrzał się. Po prawej ocean docierał mu do stóp zalotami podplusków, naprzeciw sterczał blok skalny z płaską platformą szczytową, po lewej czerniał pandanowy bór. W tę stronę zawrócił Czandaura. Nie uszedł dziesięciu kroków, gdy zatrzymały go na miejscu dwa niemal równocześnie, ostro w ciszy nocnej brzmiące głosy:

— Kto idzie?

— Czandaura, król — odpowiedział i spostrzegł, że stoi przed wigwamem śmierci.

Strażnicy na dźwięk dobrze znanego im głosu odstąpili o parę kroków i podnieśli włócznie wysoko ponad głowami na znak powitania. Czandaura położył rękę na zasuwie drzwi. Nasunęła się szczególna myśl:

Czyżby rzeczywiście tylko dziwny przypadek sprowadził go na to miejsce po tym, co przeżył tak niedawno? A może to nie przypadek? Może przychodzi jeszcze w porę?

Powoli, uśmiechając się, odsunął rygle.

— Królu! — usłyszał głos sprzeciwu jednego ze strażników. — Godzina naznaczona przez sędziów jeszcze nie nadeszła. Północ zaledwie minęła.

Czandaura zmierzył go surowym spojrzeniem.

— Mój brat — rzekł wolno — niech milczy. Nie przystoi żołnierzowi wstrzymywać ręki króla swego i wodza.

Wojownik wyprostował się i jakby skamieniał w pozycji. Król przez chwilę jeszcze wahał się i nadsluchiwał z ręką na skoblu. Grobowa cisza domu zdawała się go onieśmiewać. Wtem w ciszy tej rozległ się dziki, rozpasany do rozpuku śmiech... Odbiły go skały nadbrzeżne, powtórzyły lasy i wchłonęła noc. Czandaura otworzył drzwi.

Na progu oświetlona pełnią księżyca ukazała się postać szamana. Stał wpatrzony błędnie w przestrzeń i znów zaniósł się tym samym okropnym śmiechem. Dookoła niego owinięły się dwa węże: grzechotnik i kobra. Pierwszy, okręciwszy przegubami szyję Marankagui, zawisnął nad jego czołem niby diadem — drugi, nie mniej złośliwy, opasał mu tors i rozwartą do ataku paszczą zbliżał powoli ku piersi. Powtórna salwa śmiechu znać rozdrażniła bestię. Oczy węża nabiegły krwią, ogon miotnął się wściekle parę razy i paszcza przywarła do lewego boku szamana. Z twarzy Marankagui zniknął wyraz obłąkańczej radości, a wypełniła piekielny strach. Z głuchym rykiem rzucił się do ucieczki.

Biegł pędem strzały, spuszczonej z cięciwy, przez chaszczę surmii i drążni, zarośla ramiennic, cierniste kępy mulgi, aż wypadł między skały. Sylweta jego czarna, wyniosła, uwieńczona esowatą linią węży, mignęła na stożkowatym bloku plaży, przerzuciła się nieprawdopodobnie śmiałym skokiem na blok sąsiedni, przesunęła lotem błyskawicy po bazaltowej platformie i runęła w morze. Lecz go nie dosięgła. W drodze ku otchłani oceanu ciało czarownika natrafiło na wystającą z wody kończystą igłę rafy i wbiło się na nią jak motyl na szpilkę.

---

Tak skończył Marankagua, pierwszy szaman Itonganów, czarodziej, wróż i lekarz Wielką Medycyną zwany. Zwłoki jego wyschłe na drzazgę i szerniały od słońca i wichrów morskich długo jeszcze rysowały się ponurym konturem na szczycie nadbrzeżnej iglicy. Aż któraś z fal śmielsza dotarła do niego w rozmachu chlustów, podważyła i uniosła z sobą w dal na roztocza oceanu...

## PRAWA DAWNOŚCI

Dziesięć lat upłynęło od chwili, gdy ocean wyrzucił na brzeg wyspy Itongo dwóch białych ludzi, a dziewięć z górą od czasu, gdy jeden z nich, Czandaurą przewzany, zagarnął w swe ręce królewską władzę. Wiele się w ciągu tych lat na wyspie zmieniło i kołowrót zdarzeń, który dotychczas obracał się z chyżością sennego ślimaka, wirował teraz w tempie letnich

---

<sup>88</sup>pampera — kobieta stepu. [przypis autorski]

błyskawic. Skończyła się bezpowrotnie wielowiekowa drzemka czasu i wtargnął zwycięsko ruch. Zestukrotniła się wartość i treść każdej godziny.

Przepadły chwile brzemienne zadumą ciszy — ustoiny rejestrujące leniwo przeszłość, a przyszyły chwile nowe, wypełnione czynem, chwile — iskry, przetwarzające zajadle oblicze ziemi. Wszystko szło naprzód z zawrotną szybkością spadającego meteoru.

Na co ta szybkość? Co komu z tego pośpiechu? Jaki ich cel? Jaka przyczyna?

Nikt nie wiedział, nikt nie domyślał się. Oprócz samego króla i jego doradcy i przyjaciela, Atahualpy. Tak chcieli biali władcy. Itonganie spełniali ich wolę posłusznie i ślepo i może wbrew własnym uczuciom przynaglali tempo życiowe swej wyspy.

Dawne osady i przysiółki zamieniły się na miasta i miasteczka, gdzie od rana do wieczora pracowali ludzie w domach wielkich, pełnych ruchu i nie słyszanych dotychczas na wyspie dźwięków. Jak spod ziemi wyrosły fabryki, rękodzielnie, wytwórnie, huty i pracownie. Powstały szpitale, szkoły i ochronki. W górach otwarto kopalnie srebra, złota, miedzi, żelaza i kobaltu. Władcy z nich metale sprowadzano na wąskotorowych kolejkach do najbliższych miast i przerabiano na ludzki użytek w olbrzymich kuźniach i przetwórnich.

W lasach różnęły i piłowały wśród świstu pary niezmordowane tartaki, a po lśniących szynach pędziły żelazne wózki naładowane drzewem chinowym, chlebowym, gumowym, kamforowym, sandałowym, eukaliptusem, sosną kauri, rzewnią, igławą i palmami.

Dzięki mądrej gospodarce króla zakwitła uprawa zbóż i krzewów, rozwinęło się sadownictwo. W okresie letnim, między październikiem a marcem, gdy wilgotny passat z południowego wschodu uderzał w zębate *sierry*<sup>89</sup> cordillery i sprowadzał obfite dżdże, dojrzewały na polach pszenica, jęczmień, kukurydza i pataty, trzcina cukrowa, bambus, tytoń, bawełna, ryż, maniok i taro.

Po ogrodach i sadach zbierano banany, owoce pizangu, gojawy, pistacjki, melony i so-czystą mięsowocnię smaczkliwki.

Powietrze wypełniała w tym czasie aromatyczna woń krzewów migdałowych i pieprzu, z drzewa krowiego sączyło się źródło roślinne mleka jadalnego, pachniały cynamonowiec i pomarańcza.

Na gałęziach jadalnego pigwowatego dościgały orzechy, które utarte na masę, zmieszane z mlekiem palmy kokosowej i przesączone przez trzcinę bambusu, dawały jesienią sorbet słodki i ochładzający.

Pracowali Itonganie w pocie czoła i budowali zmuennie nową przyszłość, wpatrzeni w króla i jego tajemniczą gwiazdę. A król uśmiechał się i zachęcał przykładem do dalszych wysiłków.

Jeden tylko człowiek na wyspie nie pochwalał gorliwości Czandaury i spoglądał z niedowierzaniem na jego poczynania: Atahualpa.

— John — mówił nieraz do Gniewosza — jak widzę, bierzesz tę wyspę i jej mieszkańców na serio i jesteś królem nie na żarty. Tyle lat minęło od czasu naszego przymusowego wylądowania na tym egzotycznym brzegu, a tobie ani w głowie wracać do Europy. Do kroćset tajfunów! Co do mnie, mam już tego wszystkiego powyżej uszu i gdyby nie przyjaźń dla ciebie, *old fellow*, dawno bym już wykończył moją „Markizę” i dał stąd nura, a żeby się za mną zakurzyło. Co ciebie właściwie trzyma na uwieży? Rumi? Mężczyzna jak ty mógłby już dawno przerobić ją na swój tryb o tyle, że sama powinna okazać gotowość towarzyszenia ci na kraj świata. Moja Itobi np. dawno już oświadczyła mi, że gdybym któregoś dnia chciał stąd wyfrunąć, opuści ojczyznę i pójdzie za mną bez cienia żalu. Dzielna kobieta!

Wtedy Gniewosz zapewniał przyjaciela, że nie kochanka związała go z wyspą. Przypierany do muru dalszymi indagacjami Petersona wreszcie wyznał mu prawdę.

— Trzyma mnie tu żądza władzy i kierowania ludźmi. Tu jestem królem, w Europie byłbym tylko zwykłym inżynierem. Ponadto klimat tutejszy i otoczenie wpływają na mój stan psychofizyczny, a specjalnie ujemnie na mój mediumizm, który zdaje się z rokiem każdym słabnąć i zanikać. A tego właśnie najgoręcej pragnę. Nie chcę być więcej „sługą duchów” ani nawet ich „kochankiem”. Zamiast pośredniczyć między nimi a żyjącymi, rządzą coraz samodzielniej ludźmi. Z roli biernego medium przeszedłem powoli do roli

<sup>89</sup>sierra (hiszp.) — łańcuch górski. [przypis edytorski]



władcy. Po dziesięciu latach mego pobytu na Itongo doszedłem w walce z zaświatem do rezultatów tak pomyślnych, że zdaje mi się, że widzę już w niedalekiej przyszłości dzień mego pełnego zwycięstwa i wyzwolin. Sam przyznasz, że przeprowadziłem na tej archaicznej, przesiąkłej dawnością wyspie wprost rewolucyjne zmiany. Zmodernizowałem niemal zupełnie tryb życia Itonganów, wydrożyłem ich z drzemki wieków, zelektryzowałem prądem nowoczesnej cywilizacji, zaprząłem do nowożytnych warsztatów pracy. Lecz to mi nie wystarcza. Z czasem zabiorę się do ich wierzeń i religii. Nagnę palec pod ich serca.

Dopiero gdyby mi się kiedyś przy czymś powinęła noga i nastał okres pierwszych porażek, chwyciłbym się ostatecznego środka, który mi tak zalecasz. Na ucieczkę będzie zawsze czasu dosyć. Rozumiem doskonale, mój drogi Will, że racje, które mnie tu więżą, dla ciebie są niczym.

Dlatego mimo wszystko, mimo twej nieocenionej przyjaźni nie śmiem cię przy sobie zatrzymywać dłużej i jeżeli taka twoja wola, wykończ jak najprędzej swoją „Markizę”, zaopatrz ją w potrzebny sprzęt i środki żywności i wracaj szczęśliwie do Europy z twoją Itobi. Kto wie, może ja i Rumi pójdziemy wkrótce za waszym przykładem i spotkamy się gdzieś w jednym z portów południowej Anglii. Na razie moje miejsce tutaj, aż do dnia pełnego tryumfu lub... zupełnej klęski.

Peterson westchnął.

— Jesteś uparty jak kozioł, John. Cóż mam robić? Rad nierad muszę czekać na to rozstrzygnięcie. Pozostaję.

Gniewosz podziękował mocnym uściskiem ręki. Więcej tej sprawy nie poruszali, lecz od owej rozmowy Peterson gorliwiej niż dotychczas zaglądał do zatoki Szarych Zwisów na zachodnim krańcu wyspy, u podnóża bazaltowych stoków *cordillery*, gdzie w malutkiej przystani kończył budowę „Markizy”, obrotnego jak fryga, dwumasztowego szkuńca.

O istnieniu statku prócz inżyniera nikt nie wiedział. Zatoka wybrana przez kapitana była mało dostępną tak ze strony lądu, jak morza, a ponadto rzadko odwiedzana przez krajowców z powodu jakiejś klątwy czy czarów, rzuconych na nią przed laty przez jednego z szamanów. Ta naturalna i moralna izolacja zakątka była Petersonowi bardzo na rękę. Po cichu, ukradkiem zwiózł do nadbrzeżnych grot obrobiony gdzie indziej przez zawodowych cieśli sprzęt i przy pomocy Gniewosza powoli w ciągu lat zmontował kadłub i maszty. W parę miesięcy po wspomnianej rozmowie, jakby przeczuwając wypadki, przyspieszył wykończenie szkuńca. W ciągu kilku najbliższych tygodni rufa, sztaba i śródokręcie wypełniły się nadbudówkami, a na masztach załopotwały w powiewach passatu żagle z krajowej tappy, delikatnego a mocnego płótna, wyrabianego z kory papierotki, skropionej klejem.

Kapitan był bardzo dumny ze swej „Markizy” i całe godziny spędzał na jej pokładzie, pałac z fajki wyborny, własnoręcznie zasiany w ogrodzie i wyhodowany tytoń. W czasie tych samotnych sjest w otoczeniu nawisłych dookoła bloków szarego opocza przemyśliwał sytuację. W szczerść podanych sobie przez Gniewosza motywów wierzył. Mimo sceptycyzmu, z jakim zapatrywał się na stosunek przyjaciela do tzw. zaświatów, czuł, że między inżynierem a zbiorowością Itonganów toczy się od lat gra o jakąś wysoką stawkę i że zwycięzcą na razie był stale Czandaura. Z drugiej strony jednak trzeźwemu i praktycznemu pozytywiście przedstawiała się ta gra jako niepotrzebna strata czasu, a jej protagonista, John, zdaniem jego marnował tylko swe siły i zdolności dla egzotycznej chimery. Z całego serca życzył mu rychłej porażki, bo tylko w tym wypadku spodziewał się nakłonić przyjaciela do ucieczki. Planowany przez króla atak na wierzenia i zwyczaje wyspiarzy obudził w nim nowe nadzieje. Peterson był niemal pewny, że tu natrafi Czandaura na prawdziwy opór, który zniechęci go do Itonganów i „popchnie w ramiona Europy”.

Przypuszczenia swoje opierał na bystrej i wnikliwej obserwacji. Uległość Itonganów wobec króla i jego reform wydała mu się pozorną i powierzchowną. Na podstawie tego, co słyszał od Izany, doszedł do wniosku, że wśród krajowców istnieje silna partia opozycjonistów, którą kieruje nieznaną czyjaś ręka. Chodziły głuche pogłoski, że w czasie wielkiej kampanii na Czarnych przed laty dziewięciu zaginiony bez wieści zdrajca Mahana żyje i ukryty w górach, stamtąd porozumiewa się z malkontentami.

Bez względu na to, jak miały ułożyć się stosunki między królem a ludem, postanowił Peterson mieć pod ręką gotową do drogi „Markizę”, by w każdej chwili mogła podnieść kotwicę. Na razie wyczekiwał...

Tymczasem zaszedł wypadek, który umocnił kapitana w jego poglądach na sytuację i podwoił jego czujność.

W pewien wiosenny odwieczny zamknął na wieki oczy arcykapłan Huanako. Śmierć starca była czymś najnaturalniejszym w świecie. Podeszły wiek i żywot pracowity doprowadziły go do zasłużonego dobrze kresu, strojąc wielką godzinę zachodu w blaski pogody i przedwieczornej ciszy. Odszedł syt życia, z uśmiechem na twarzy.

Mimo to już nazajutrz po pogrzebie podniosły się głosy domagające się szukania sprawcy tego zgonu. Bo u Itonganów, podobnie jak u większości ludów pierwotnych, śmierć nie była nigdy prawie zjawiskiem naturalnym. Na umierającym zawsze niemal ciążył gniew potęg nieznanych. Zgon był wynikiem albo złej siły, płynącej od obrażonego bóstwa, albo też czarów, rzuconych przez śmiertelnego wroga.

Wangarua, najstarszy z szamanów i następcą Marankagui, przypisywał śmierć Huanaki czarom i w tym kierunku urabiał opinię publiczną przez szereg dni po pogrzebie i stypie. Skutek był ten, że w tydzień po oddaniu arcykapłanowi ostatniej posługi na wniosek niejakiego Arawaki przystąpiono rzeczywiście do szukania rzekomego mordercy-czarownika.

W słoneczny, upalny dzień październikowy w obecności olbrzymich tłumów Wangarua zrobił laską kapłańską głęboki a wąski rowek koło grobu Huanaki, po czym przez dłuższy czas czekał na ukazanie się w nim robaka-przewodnika.

Po upływie trzech godzin, gdy słońce przekroczyło już zenit, wypełzła z grobu glista i powoli zaczęła posuwać się wyżłobioną przez laskę szamańską bruzdą. Gdy dotarła do jej końca, wydobyla się z rowku na powierzchnię poziomu i zmieniawszy kierunek, pełzała dalej pod kątem rozwartym do linii poprzedniej. Wynik obserwacji w ciągu następnych trzech godzin był fatalny. Po przewędrowaniu kilkunastu metrów przestrzeni między fejtoką a pierwszymi domostwami robak zatrzymał się przed toldem Izany; tu wśliznął się z powrotem w trzewia ziemi i zniknął bez śladu. Wśród śmiertelnej ciszy, jaka zaległa wtedy masy zgromadzonego ludu, ogłosił Wangarua wynik magicznego śledztwa: sprawcą czarów rzuconych na śp. arcykapłana, a tym samym jego mordercą, był Izana. Czekala go za to śmierć. O brzasku dnia następnego miał wódz zawisnąć na jednym z drzew otaczających wietnicę.

Gdy Peterson czerwony od gniewu zakomunikował Gniewoszowi wyrok sędziów, król uśmiechnął się lekceważąco.

— Czy sądzisz, Will, że pozwolę na to, by z powodu tego idiotycznego „śledztwa” i jeszcze idiotyczniejszego jego wyniku kilku głupców czy też niezadowolonych ze mnie lajdaków pozbawiło życia jednego z najzyczliwszych nam wśród krajowców ludzi?

Kapitan odsapnął uspokojony.

— To co innego. Zaraz pomyślałem sobie, John, że na to nie pozwolisz. Lecz po jakiego diabła było dopuszczać w ogóle do tego głupkowatego śledztwa? Teraz, ratując tego pocziwca Izanę od niechybnej śmierci, narazimy się na poważny konflikt z przesądami większości.

— Właśnie chciałem wywołać ten konflikt.

Peterson zdębiał.

— A to po co?

— Aby pokazać im swoją siłę. Od dziś rozpoczynam jawną już kampanię przeciw ich zabobonom. Albo one będą rządzić, albo ja.

— Innymi słowy, albo położysz ich wszystkich na łopatki, albo sam kark skręcisz przy tej sposobności.

— Ha, cóż robić — westchnął Gniewosz. — Nie ma innego wyjścia. *Va banque*<sup>90</sup>! Na razie wezwij Radę Dziesięciu i lud na zgromadzenie dziś po południu na godzinę piątą. Nad Izaną i jego rodziną roztocz tymczasem troskliwą opiekę. Najlepiej zrobisz, stawiając dookoła jego tolda straż. Sam pójść do niego natychmiast, by uspokoić jego

<sup>90</sup>*va banque* (fr.) — w grach hazardowych zakład o wartości całej posiadanej przez gracza puli. [przypis edytorski]

najbliższych. W całej tej sprawie wietrzę matactwa tego lotra, Mahany, który podobno ukrywa się w górach i podjudza ludzi przeciw nam obu. Ten oszust Wangarua zdaje się być jego emisariuszem. Stąd jego niechęć do wiernego nam Izany. A zatem do widzenia, Will, o piątej na zgromadzeniu! Dobrze by było, gdybyś skupił w odwodzie na wszelki wypadek oddziały wojowników, na których możemy liczyć. Weź sobie do pomocy Ksingu. To dobry i przywiązany do nas chłopak.

— To się wie. Do widzenia, John.

Po odejściu Petersona Gniewosz przywdział swój paradny strój królewski i w asyście przybocznej straży udał się do domu Izany. Już z daleka doszły go głośne zawrota kobiet. Na widok zbliżającego się króla krzyki wzmożyły się. Z obejścia wypadła Alafa, żona Izany i rwąc włosy, rzuciła się z jękiem do stóp Czandaury. Podniósł ją i pocieszył krótkim słowem:

— Włos mu z głowy nie spadnie.

W drzwiach tolda zastał strażników. Podnieśli włócznie na powitanie. Czandaura zmarszczył brwi.

— Kto was tu postawił? Atahualpa?

— Szaman Wangarua — odpowiedział dowódca straży.

W oczach króla zamigotały błyskawice.

— Kto go upoważnił do wydawania podobnych rozkazów?

Strażnik zmieszał się i przez chwilę milczał. W końcu nie patrząc królowi w oczy, odpowiedział:

— Szaman uczynił to starym zwyczajem na podstawie wyniku śledztwa, odbytego na fejtoce przy grobie Huanaki.

— Milczec! — huknął Czandaura błądzący z gniewu. — Kto tu panem? Ja — czy szamani, czarodzieje i inni tym podobni oszuści? Ja was nauczę porządku i posłuchu! — Izany strzec będą wojownicy, których wyznaczysz z mojego rozkazu Atahualpa, a wy stąd — precz! Natychmiast! W prawo zwrot i marsz do obozu!

Strażnicy zbici z tropu i przerażeni sprezentowali broń i odeszli. Czandaura wyciągnął obie ręce ku Izanie, który stojąc na progu domu, był niemy świadkiem tej sceny.

— Przepraszam cię, stary druhu, za nieprzyjemności, jakie cię dziś spotykają.

Surowa, podobna do brązowego reliefu twarz wodza ani drgnęła.

— Jestem gotów ponieść śmierć z woli ludu — odparł spokojnie.

Czandaura zrobił niecierpliwą gest ręką.

— Głupstwa plecie mój brat i przyjaciel. Izana żyć będzie jeszcze długie lata i doczeka się wnuków. Jakem Czandaura, król.

— Wola ludu zgromadzonego na sąd na fejtoce jest świętą — upierał się wódz.

— Wola itonguara i króla jest świętszą. Izana żyć będzie, bo ja tak chcę. Ale cóż to, wodzu? Przyjmujesz mię w progę i nie prosisz do wnętrza?

Izana stropił się.

— Dom mój stoi zawsze otworem dla króla mego i pana — rzekł, cofając się w głąb.

— Spocznij, Czandauru, i nie wzgardź skromnym posiłkiem.

Weszli pod dach chaty. Świta króla zajęła miejsce straży i rozlokowała się dookoła domu.

Gdy po upływie godziny Czandaura opuszczał zagrodę Izany, twarz jego tchnęła wyrazem stanowczości i decyzji. Natomiast stary wódz zakłopotany trzymał oczy wbite w ziemię.

---

Po wizycie u Izany król powrócił do siebie i polecił naczelnikowi swej przybocznej straży, ślepo oddanemu Czantopiru, nie wpuszczać nikogo do wnętrza wigwamu. Czandaura był znużony i pragnął podobno porozumieć się z duchami przodków przed ważną sprawą, którą miał rozstrzygnąć po południu. Potrzebował paru godzin snu i odpoczynku. Gdy wyniosła jego postać zniknęła za kotarą wchodową, cisza ogromna zaległa wokoło i nikt nie śmiał zbliżyć się do królewskiego domu.

Koło pół do piątej zaczęły przed wietnicą gromadzić się tłumy, w kwadrans potem zebrała się w komplecie Rada Dziesięciu, a równo o piątej zjawił się król, mając po prawej

Atahualpę, po lewej Izanę. Za nimi pod dowództwem Ksingu i Czantopiru wmaszerował na środek majdanu i ustawił się szerokim półkrygiem oddział złożony z tysiąca wojowników. Czandaura odpowiedział skinieniem ręki na powitalny okrzyk poddanych i bezzwłocznie przemówił.

— Mężowie plemienia Itongo! Zaszło zdarzenie ohydne, które hańbą okryło was i mnie, waszego króla i itonguara. Oto jeden z naszych szamanów, powodowany, nie wiem, głupotą czy chęcią zemsty, ośmielił się oskarżyć publicznie i zasądzić na śmierć jednego z najlepszych i najdzielniejszych wodzów naszych, a mego serdecznego przyjaciela, Izanę. Hańba i wstyd, Itonganie! I z jakiegoż to powodu, pytam, mężowie plemienia Itongo, uznał Wangarua Izanę winnym zgonu nieodżałowanego druha mego i czcigodnego doradcy, Huanaki? Śmiech doprawdy powiedzieć, że o wyroku szamana rozstrzygał marny robak, nędzna, z wilgoci ziemi wylęgła dżdżownica. Mężowie Itongo! Przed godziną odwiedziły mnie we śnie cienie zmarłych i duchy tej ziemi i rozmawiały ze mną jako z waszym itonguarem. Oto, co mi powiedziały:

„Wangarua poszedł w ślady zdrajców, Marankagui i Mahany i pragnie pozbawić ciebie, króla, najlepszego z przyjaciół. Wyrok jego oparty na oszustwie. Królu, nie dopuścisz do śmierci zasłużonego wodza”.

Tak powiedziały mi widma przodków waszych, Itonganie. I przysięgam wam, że będę im posłuszny. Izana żyć będzie.

Czandaura umilkł i zdawał się oczekiwać odpowiedzi któregoś z członków Rady. Jakoż powstał Arawaki i rzekł:

— I dla nas słowa duchów są rozkazem, któremu nikt się nie sprzeciwi. Szaman Wangarua mógł się pomylić. Lecz o zdradę, zdaje mi się, nikt go tu z nas nie pomawia. Postąpił, jak nakazują wiara przodków i stary zwyczaj. Tyle tylko, królu, chciałem powiedzieć na jego obronę.

Czandaura pochylił głowę.

— I to mi tym razem wystarcza — oświadczył, podkreślając słowa. — A teraz, mężowie Itongo, chciałem pomówić z wami o rzeczach znacznie ważniejszych, które wynikły z tego właśnie na pozór błędnego i śmiesznego zdarzenia. Oto sami przekonaliście się, że niektóre z waszych starych wier i zwyczajów dziś już należą do przeszłości i straciły swą moc i władzę. Pragnąłbym odzwyczaić was od ciągłego zasięgania rad u zmarłych i duchów przy każdej najdrobniejszej sprawie. Nie wszystko bowiem od nich zależy. Człowiek żyjący powinien przede wszystkim polegać na sobie, czerpać ze śpichrza własnych, danych mu przez Manu i przyrodę zdolności, a nie obzierać się wiecznie i na każdym kroku na świat po tamtej stronie. Nie wszystko dzieje się w życiu za sprawą duchów i człowiek po to właśnie żyje na ziemi, by własną wolą i chceniem przekształcać ją, przerabiać i przygotowywać pod budowę przyszłości. W tym ci właśnie tkwi wielki sens życia. Tymczasem wy, mężowie plemienia Itongo, siedzicie wciąż po szyję zanurzeni w pleśniejących już stawiszczach dawności. Ja, zesłany wam przez Opatrzność itonguar i król, muszę was wyzwolić z tych zatęchłych mateczników i poprowadzić w dal słonecznymi szlakami wolności. Na tym dziś kończę.

Nastąpiło długie, przeciągłe milczenie. Słowa króla tym razem nie znalazły widocznie aprobaty u większości zgromadzonych, bo nikt nie ośmielił się poprzeć ich swym zdaniem. Lecz nikt też nie miał w pierwszej chwili odwagi na wyrażenie sprzeciwu. Sytuacja stawała się z minuty na minutę bardziej kłopotliwa, bo Czandaura patrząc dokoła wzywająco czekał, a żaden ze zwykłych mówców nie kwapił się z odpowiedzią. Wreszcie po nieznośnie długiej pauzie wysunął się z grona kapłanów czarownik Aumakna, człeczyna chuderlawy i nic nie znaczący, a stąd pewniejszy własnej skóry, i wyjął nieśmiało:

— Rada Dziesięciu i lud przez usta moje proszą ciebie, królu, byś raczył pozostawić nam stare zwyczaje i nie tykał wiary ojców. Gdy zmieniałeś bieg naszego powszedniego życia i kazałeś mu płynąć nowym korytem, nie szemraliśmy i byliśmy posłuszni. Nie stawialiśmy ci oporu, wielki Czandauru, gdy tępiłeś nam odwieczne bory, przytułki bogów, i napełniałeś je zgiełkiem twych maszyn. Cicho poddawaliśmy się twojej królewskiej woli, gdy kazałeś budować wielkie domy, nazwane przez cię fabrykami, i wyznaczałeś nam godziny przymusowej pracy. Byliśmy cisi i powolni jak jagnięta, gdy z twego polecenia ciała nasze ociekały potem w kopalniach, a ręce mdlały od wżerania się oskardami w trzewia

gór. Spełnialiśmy twoje rozkazy, Czandauro, bez słowa skargi, pomni na wielkie twoje dla ludu zasługi. Dziś sięgasz zaborczą ręką po wiarę naszą i chcesz nam ją odebrać. Nie czyn tego, królu, jeśli nie chcesz, by gniew bogów spadł na głowy nasze, a może i twoją.

— Nie czyn tego, Czandauro! — poparło prośbę Aumakny parę niepewnych głosów.

— Pozostaw nam wiarę ojców i dawny obyczaj! — odezwało się śmieiej parę innych.

Przykład podziałał. Prysnęło w kawałki rozpięte nad gromadą sklepienie milczenia i głuchy pomruk przeszedł falą po ludzkim pogłowiu. Błagali i grozili zarazem. Kładli mu się pokornie pod stopy, a w oczach mieli błyski gadzin. Czandaura z uśmiechem pogardy patrzył i słuchał. Gdy uspokoili się trochę i groźny pomruk roztopił się w szmery i szepty, dał znak Atahualpie. Zabrzmiał krótki, dobitny rozkaz naczelnego wodza i tysiąc żołnierzy karnych i sprawnych jak mechanizm ruszyło linią półksiężycy, torując sobie drogę wśród tłumu. W ognisku tego półkola był król. Zagadkowy uśmiech nie schodził mu z twarzy. Obcy, daleki, nieprzystępny, wracał do swojej sadyby. Nie raczył już dać ludowi żadnej odpowiedzi.

Czandaurze udało się ocalić Izanę dzięki trickowi ze snem i rzekomo objawioną mu w nim wolą duchów. Zwyciężył Itonganów ich własną bronią. I dlatego nie był teraz zadowolony ze siebie. Lubiał otwartą walkę. Próba rozpoczęcia jawnej kampanii z prastarymi wierzeniami wywołała znamiennej reakcję. Król uśmiechał się ironicznie na myśl, że bezkarnie tyle już razy zdeptał ich zwyczaje i znieważył świętości. Lecz o tym nikt nie wiedział. Czandaura dopuszczał się świętokradztwa po kryjomu, kradł jak złodziej. Nikt ani nie domyślał się, że od dziewięciu lat jego miłośnicą była kapłanka Rumi. Tylko Atahualpa i Wajmuti byli wtajemniczeni w dzieje tego stosunku — on, przyjaciel i biały człowiek, ona, piastunka, niemal druga matka księżniczki.

Miłość Rumi, potężna i płomienna, była dla Czandaury jak krzew gorejący, który prowadził go poprzez pustynię życia na wyspie. Była mu kochanką, przyjaciółką, żoną — wszystkim. Ślepo oddana, widziała w nim istotę wyższą, nadziemską, o której mocne ramię wsparta patrzyła pogodnie w przyszłość. Przejęła od niego jego wiarę, wyswobodziła się dzięki niemu od lęku przed nieznanymi potęgami. Bogini Pele, której była kapłanką, przestała dla niej istnieć. Nie poczuwała się do żadnej winy względem istoty, w której rzeczywistość nie wierzyła. Była nadal kapłanką tylko z pozorów. Obrzędy przez nią spełniane nie miały dla niej żadnej treści. Były zbiorem mechanicznych czynności, pod których powierzchnią dudniła pustka. Wnętrze duchowe Rumi wypełniał natomiast po brzegi Czandaura.

Inaczej patrzyła nań stara jej piastunka. Król był dla niej uosobieniem demona, pięknego, lecz złego, który wtargnął do świątyni i oczarował potęgą swej urody kapłankę. Wielka, prawie macierzyńska miłość ku księżniczce i zabobonny strach przed jej uwodzicielem uczyniły z niej mimowolną powiernicę tego grzesznego związku. Tajemnicy kochanków nie byłaby wydała przed nikim, choćby rozciągnięta na torturach. Cicha, pokorna, z uśmiechem zastraszonej rezygnacji na ustach, usuwała się dyskretnie w najodleglejsze zakątki chramu, ilekroć on zbliżał się zaborczym krokiem do Rumi i brał ją w swe królewskie ramiona. Milcząca, małowówna a czujna, ostrzegła ich nieraz przed groźącym niebezpieczeństwem i zręcznie umiała odwrócić od nich uwagę podejrzliwych.

Czandaura cenił wysoko jej pomoc i oddanie, lecz jej nie lubił. Wyczuwał instynktem jej antypatię ku sobie i widział w niej wcielenie wszystkich wrogich mu tradycji i przesądów tej wyspy.

Toteż gdy po powrocie z burzliwego zgromadzenia udał się do świątyni Pele na umówioną schadznię z kapłanką i zamiast ukochanej spotkał się w progu z Wajmuti, zmierzył ją niechętnym, prawie gniewnym spojrzeniem.

— Gdzie Rumi? — zapytał opryskliwie.

Stara strażniczka ognia świętego wytrzymała spokojnie spojrzenie.

— Czandauro, źle czynisz, napastując naszych bogów i duchy naszych ojców. Dlaczego sięgasz zuchwałą ręką po to, co otacza cześć i miłość niezliczonych lat i pokoleń? Dlaczego drażnisz cienie naszych przodków? Czy ci nie dość świętokradztwa, którego dopuszczasz się tutaj w tym chramie?

— Gdzie Rumi? — powtórzył pytanie głosem ostrym jak cięcie miecza.

Z fałdów kotary za ołtarzem wysunęła się postać ukochanej.

— Jestem już, jestem.

Zarzuciła mu na szyję parę bursztynowych ramion. Wajmuti odeszła w głąb z westchnieniem.

— Po co wysłałaś mi ją na spotkanie? — badał, gładząc ciemne warkocze.

— Domagała się tego koniecznie. Chciała cię ostrzec przed zemstą ich bogów i przodków. Czegoż chcesz? To stara, przesądna, ale życzliwa nam kobieta.

— Wydajesz mi się dzisiaj jakaś smutna, Rumi. Czy masz jakie zmartwienia?

— Rangitatau, matka Itobi, dogorywa. Biedna przyjaciółka moja nie je już od trzech dni i nie śpi od trzech nocy. Itobi nie chce pogodzić się z wolą bogów twoich i płaczem i postem usiłuje zatrzymać ducha umierającej. Cień chorej skraca się z dniem każdym<sup>91</sup>. Zbliży się już jej godzina. Chciałabym ją odwiedzić. Atahualpa nie będzie miał chyba nic przeciwko temu.

— Przeciwnie. Ujrzy nas rad. Biedna Itobi!

I poszli do tolda Atahualpy, który po śmierci Raugisa, ojca Itobi, przygarnął do siebie matkę żony. Bo już osiem lat minęło od chwili, kiedy pokochawszy piękną Itobi, zawiesił swój hamak<sup>92</sup> nad jej hamakiem. Niedługo cieszyła się Rangitatau spokojnym życiem u boku córki i zięcia. W drugim roku pobytu w chacie Atahualpy sęp Etua<sup>93</sup> zaczął pożerać jej wnętrze. Nie pomogła czuła opieka i troskliwość Itobi i jej męża; marniała i nikła z dnia na dzień. Choroba przeciągnęła się na miesiące, chociaż w innych warunkach chora byłaby wyzionęła ducha znacznie prędzej. Bo u Itonganów nie otaczano chorych żadną opieką. Przeciwnie. Unikano ich. Nieszczęście i choroba dyskwalifikowały. Chorzy uchodzili zawsze za rodzaj tabu, za osobników uświęconych, ale niebezpiecznych, bo opętanych przez złe moce lub ukaranych za swe grzechy. Stąd płynął strach przed umierającymi, na których zaciążył gniew potęg nieznanych. Zdarzały się często wypadki, że odmawiano im pożywienia i pozostawiano samych na pastwę śmierci.

Czandaura i Rumi zastali Rangitatau w agonii; nie poznawała już nikogo. Przy łożu stał bezradny Atahualpa i patrzył ze współczuciem na matkę i córkę. Itobi nie wypuszczała z rąk dłoni konającej. Głuchy szloch wstrząsał od czasu do czasu jej piersią. Wtem Rangitatau podniosła się w pół ciała, wyciągnęła ręce przed siebie i sztywniejąc, opadła na poduszki. Atahualpa zamknął jej rozwarłe szeroko oczy. Itobi z głośnym płaczem rzuciła się na zwłoki.

---

W parę miesięcy po śmierci Rangitatau w jasną, księżycową noc obudziło Atahualpę ze snu ciche łkanie Itobi. Przytulona do jego ramienia płakała rzewnie jak dziecko.

— Co ci to, Itobi? Czy ci się przyśniła nieboszczka matka?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Czy jesteś chora?

Podniosła ku niemu twarz zalaną łzami.

— Miałam zły sen, Atahualpo, bardzo zły sen. Śniło mi się, że nad brzegiem morza wśród skał siedziała w skwarze południa moja przyjaciółka Rumi. Nagle z jednej z pieczar nadbrzeżnych wyszedł piękny młodzieniec i posiadał kapłankę. I stało się, że z nasienia męczyzny poczęło się w jej łonie dziecko, które teraz dźwiga pod sercem i którego narodziny okryją hańbą chram i jego strażniczkę. Bo nie godzi się stróżce ognia wieczystego łączyć się z mężem i płodzić dzieci. Dlatego we śnie zjawiała mi się bogini Pele i kazała wypruć płód hańbiący z brzucha Rumi. Oto dlaczego płaczę, Atahualpo. Serce mi krwawi na myśl, że muszę spełnić rozkaz okrutnej bogini.

Peterson zaśmiał się beztroskliwie.

— Ależ to brednie wierutne, Itobi! Któż by troszczył się o sen?

Spojrzała surowo na męża.

— Sen nigdy nie kłamie i to, co w nim nakazują boginie czy duchy, musi spełnić śpiący, choćby dusza jego wzdrygnęła się przed tym całą swą istnością. Człowiek od-

---

<sup>91</sup>*Cień chorej...* — niektóre ludy Oceanii wierzą, że cień ludzi bliskich śmierci ulega skróceniu. [przypis autorski]

<sup>92</sup>*zawiesił swój hamak...* — Ceremoniał ślubny u niektórych ludów pierwotnych. [przypis autorski]

<sup>93</sup>*sęp Etua* — niektóre ludy Oceanii przypisują wybuch choroby mitycznemu sępowi Etua, który pożera wnętrze chorego. [przypis autorski]

powiada za grzech popełniony we śnie nawet wtedy, gdy śni o tym jego występku ktoś inny. W snach objawia się każdemu z nas wola jego geniusza opiekuńczego, jego totemu. Rumi jest brzemienią, dziecię poczęte w jej łonie musi zginąć z mej ręki. Przeklęta moja dola! Bodajbym nigdy nie była przyszła na ten świat!

Chociaż Peterson uważał całe to nocne zajście za wynik rozstrojonych nerwów Itobi i traktował rzecz jako przemijający wybuch, mimo to nazajutrz opowiedział wszystko Gniewoszowi. Wiadomość zaniepokoiła króla poważnie.

— Muszę natychmiast ostrzec Rumi przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

— Po co ją niepotrzebnie przerażać? Itobi uspokoi się i o wszystkim zapomni — próbował oponować kapitan.

— Nie będę tak lekkomyślny, Will. Nie znasz dobrze jeszcze mieszkańców tej wyspy. Na punkcie snu i jego realizacji są fanatykami. Chyba nigdy nie słyszałeś, do czego są zdolni w tym względzie. Opowiadał mi raz Izana następującą, charakterystyczną, z życia wyspiarzy wziętą historię.

Pewnego razu śniło się jakiemuś Itonganowi, że widzi porą zimową dwunastu swych współbraci zanurzających się w przeręblę na stawie i wychodzących po pewnym czasie spod skorupy lodowej drugą, opodal wyrąbaną przeręblą. Śniarz zapamiętał ich sobie i po przebudzeniu opowiedział kolejno każdemu z dwunastu swą wizję senną. I wiesz, co się stało?... Tych dwunastu półgłówków czekało cierpliwie nadejścia pory zimowej, a gdy temperatura na dolinach odpowiednio obniżyła się, poszli w góry, między wirchy i turnie, i tutaj, upatrzwszy sobie zamrznięty staw, wyrąbali w nim dwie przeręble. Jedenastu fanatom udało się bez szwanku przepłynąć pod powierzchnią lodową i wypłynąć na wierzch przez drugi otwór, lecz ostatni, dwunasty, zatonął, przeplacając życiem realizację snu. Tacy to już oni. Na to nie ma rady. Twoja Itobi nie wyzwoliła się z przesądów przodków i jest nieodrodną córką swego plemienia. Proszę cię, Will, pilnuj jej i nie puszczaj samopas, o ile to możliwe. Boję się bardzo o Rumi. To nie żarty.

— Zrobię, co będzie w mojej mocy. Z tego, co usłyszałem, widzę, że wszystko możliwe. Niech diabli wezmą te ich zabobony! — I to takie przyjaciółki!...

---

Rumi, ostrzeżona przez króla, przestała odwiedzać Itobi i nie rozstawała się z krótkim a szerokim sztyletem, który zatknęła za pas swej kapłańskiej szaty. Na Itobi spoczęło odtąd czujne i podejrzliwe oko Czandaury; drżąc o życie ukochanej, król otoczył żonę przyjaciela niewidzialnymi strażnikami, którzy śledzili każdy jej ruch i towarzyszyli z daleka niemal bez przerwy. Najwięcej cierpiał nad tym Atahualpa, bo pożycie z żoną uległo w tym czasie fatalnym przemianom. Itobi stała się opryskliwą i złą, spoglądała ponuro i widocznym było, że zamiaru swego nie zaniechała. Wychudła od toczącej się w niej walki, błąkała się beczynnym z kąta w kąt po męzowskim toldzie. Sytuacja pogarszała się z dnia na dzień, zwłaszcza gdy zauważyła, że ją śledzą i że ograniczono znacznie swobodę jej ruchów. Obudził się w niej upór i bunt. Chęć zrealizowania woli bóstwa stała się monomanią. Nieraz zastawał ją mąż przy ostrzeniu noża.

Aż w którąś burzliwą, jesienną noc, gdy zjuszony orkanami ocean wypuszczał na brzeg całe tabuny grzywaczy, Peterson zbudzony uderzeniem pioruna spostrzegł, że nie ma Itobi obok niego w łóżu. Przeczuwając coś złego, zapalił latarkę i zarzuciwszy na ramiona oponkę, wybiegł z domu. Instynkt skierował go ku świątyni Pele. W bramie chramu spotkał się z Gniewoszem. Spojrzeli na siebie zdumieni.

— Co tu robisz, Will? Itobi śpi?

Peterson zaprzeczył gestem.

— Szukam jej. A ty, John?

— Ta nawałnica wprawiła mnie w stan silnego zdenerwowania. Nie mogłem zasnąć. Od godziny już włóczę się między skałami. Aż zaszedłem tu pod próg. Jestem dziwnie niespokojny o Rumi.

Ostatnie słowa Gniewosza zgłuszył przejmujący krzyk kobiety z wnętrza. Pchnęli drzwi i wpadli do środka. Przed ołtarzem, oświetlone rzutami wiecznego ognia, walczyły na noże Rumi i Itobi. Kapłanka, napadnięta zniecka w czasie snu na runie rozpostartym u stóp ofiarnego stołu, cudem uniknęła śmiertelnego ciosu i teraz, lekko ranna w ramię, bronila się zaciekle.

Wajmuti, śpiąca w głębi chramu za kotarą, ocknęła się ze snu i na widok niebezpieczeństwa grożącego Rumi zaczęła wołać rozpaczliwie o pomoc. Jej to krzyk doprowadził Petersona i Gniewosza. Lecz przybyli za późno. Bo właśnie gdy przekraczali próg świątyni, Rumi odparowała zręcznie cios i zanim Itobi zdołała zasłonić się, utopiła jej swój nóż w piersi. Itobi rozłożyła ręce i runęła twarzą na posadzkę. Przypadł do niej Peterson i chwycił w ramiona. Podniosła ku niemu po raz ostatni zachodzące już mgłą oczy, uśmiechnęła się i skonała. Z głuchym jękiem pochyliła się Rumi nad nią i zaczęła okrywać pocałunkami. Spojrzenia mężczyźni skrzyżowały się i w bezradnym smutku przeniosły się na zwłoki...

Na dworze wciąż szalała burza.

## WYZWOLINY

Sen Itobi i jego tragiczne następstwa stały się przygrywką do całego splotu zdarzeń, które miały rozstrzygnąć o losie Itonganów i ich białego władcy. W widzeniu sennym żony Atahualpy jakby uświadomiła sobie zatajoną prawdę zbiorową dusza plemienia; jak gdyby ubrała w kształty symbolu to, co od dawna już nurtowało jej sferę podświadomą.

Itobi przeczuła trafnie stan przyjaciółki; Rumi istotnie zaszła w ciążę. W parę dni po śmierci Itobi podzieliła się kapłanka tą nowiną z królem.

— Będziesz ojcem, Czandauro. Sen mówił prawdę. Przysięgam ci na cienie ojców moich, że gdyby dziecię, co się poczęło w mym łonie, nie było twoim, nie byłabym się bronila przed nożem Itobi! Lecz to dziecię od ciebie, królu, i dlatego żyć będzie. Wierzę, żeś ty silniejszy od bogów naszych, i dlatego nie dałam jej wypruć płodu z mojego łona.

Przygarnął ją ku sobie.

— Błogosławioną bądź, Rumi, żono najdroższa!

Rozchylił jej śnieżnobiałą suknię, przywarł ustami do lekko już wzniesionego łona i całował je w uniesieniu...

Lecz gdy po powrocie do domu tego wieczora pozostał sam w pośrodku czterech ścian tolda, zamyślił się głęboko. Zapowiedź przyszłych narodzin komplikowała sytuację. Przyjście na świat dziecka pociągało za sobą odkrycie ich słodkiej, lecz w oczach krajowców zbrodniczej tajemnicy. Według praw krajowych kapłankę za świętokradztwo i porubstwo czekała okropna śmierć: zakopanie żywcem w ziemi. Czandauro czuł, że nie potrafiłby jej w tym wypadku ocalić; większość Itonganów odwróciłaby się od niego ze wstrętem i zgrozą jako świętokradcy. Pozostawał tylko jeden środek: zataić narodziny i ukryć dziecko. Liczył na pomoc Petersona i Wajmuti.

Ta decyzja uspokoiła go. Przestał krążyć po izbie i usiadłszy na łóżku oddał się rozmyśleniom o przyszłości. Wieczór był cichy, pogodny i przez otwarte okno wsączał się do wnętrza zapach drzew cynamonowych, cytryn i akacji.

Drzwi izby odchyliły się powoli i weszła wysoka, szczerlnie otulona mantillą kobieta. Sponad brzegu koronkowego szalu zakrywającego twarz po linię nosa spoglądały na króla oczy płonące jak żagwie.

— Nie poznajesz mnie, Czandauro?

Gniewosz zamyślony zdawał się jej nie spostrzegać. Ruchem zniecierpliwienia zrzuciła mantillę. Wtedy poznał ją. Była to Napo, piękna wdowa po Oruru.

— Co cię sprowadza do mnie o tak późnej porze? Czy ci się naprzykrza zbytnio któryś z młodszych wojowników i przysłaś ze skargą? A może ktoś zakradł się do twego sadu, który tak pięknie stacza się po zboczach wybrzeża ku morzu, i ogołocił jabłonki z owoców?

Przerwała mu gniewnym gestem ręki.

— Przyszedłam do ciebie, Czandauro, bo pragnę być twoją niewolnicą. Czy nie widzisz, że od lat chodzę za tobą jak cień i całuję ślady twej stopy? Przez ciebie, królu, młodość moja przekwita i więdnie uroda. Gdy morze wyrzuciło ciebie na ziemię naszą na moją niedolę, miałam lat piętnaście i byłam żoną wojownika Oruru. W rok potem Oruru odszedł w krainę cieni. Odtąd żaden mężczyzna nie pieścił mych piersi i żaden nie spoczął w miłosnym szale na moim łonie. Bo Napo kocha tylko ciebie, Czandauro, bo tylko na twój widok słodkie ognie przenikają jej ciało. Czemu mnie unikasz, królu? Czy sądzisz, że nie umiem kochać?... Że zabraknie mi żaru w oplotach królewskiego uścisku?



Odsłoniła przed nim swą isticie posagową krasę. Wdowa po Oruru była piękną, bardzo nawet piękną kobietą. Może nawet piękniejszą od Rumi. Lecz było w niej coś drapieżnego, coś, co czyniło ją obcą i daleką. Gniewoszowi utkwiała głęboko w pamięci mściwa zapamiętałość, z jaką znęcała się nad skazanym na śmierć Marankaguą. Brakło jej kobiecej słodyczy i tego, co tak podziwiał u Rumi: rysu królewskości. Była tylko urodziwą, cudownie zbudowaną samicą.

O namiętności jej wiedział Czandaura od dawna. Nieraz czuł na sobie jej palące spojrzenia i dotknięcia rąk drżących od wzruszenia. Nieraz zauważył, jak szukała zbliżenia i krążyła dookoła jego domu. Nieraz cień jej postaci padał na jego drogę. I to go właśnie zniechęciło do Napo jeszcze bardziej. Bo utrudniała mu schadzki z Rumi. Zmuszała do zdwojenia ostrożności. Postanowił rozprawić się z nią dziś stanowczo.

— Jesteś piękną, Napo — rzekł z uśmiechem, zesuując z powrotem fałdy jej błękitnego płaszcza, spiętego pod szyją srebrną broszą — piękną jak pramatka rodu ludzkiego, słodka Wajrumati, którą poślubił bóg Oro. Lecz uroda twoja nie dla mnie. Tyłu jest pięknych i dzielnych młodzieńców wśród Itonganów — wybierz jednego! Niech szczęśliwy i dumny z wyboru zawiesi swój hamak nad twoim. Itonguarowi nie przystoi brać w łóżko kobiety. Sam muszę pozostać do końca dni swoich.

Twarz Napo spochmurniała, w oczach jej zagrały zielone światła. Cofnęła się ku wyjściu i wybuchnęła głośnym, szyderskim śmiechem.

— Wstrzemięźliwy Czandaura! Cha, cha, cha! Czysty, kobiety nie znający itonguar! He, he, he! Niepokalany kochanek duchów! He, he, he! He, he, he!

Podniosła groźnie pięść.

— Pożalujesz tego, biały człowieku. Bo i w moich żyłach płynie krew królewska, i ja godna jestem być twoją nałożnicą.

Rzuciła mu ostatnie, zaprawione jadem spojrzenie i zniknęła za drzwiami.

Gniewosz wypalił jeszcze jedną fajkę i zmęczony legł ciężko na posłaniu. Niebawem oddech jego spokojny włączył się w szmery ciszy tej spóźnionej pory.

---

W parę godzin później poprzez mroki nocne skradało się ku sadybie króla trzydziestu uzbrojonych wojowników z Arawaki i Wangaruą na czele. Wzgardzona Napo tejsze nocy rozpuściła po osadzie wieść o świętokradczych stosunkach króla z Rumi i o stanie brzemiennej upadłej kapłanki. Śledziła ich już od dawna i nieraz widziała, jak Czandaura o późnej nocnej porze wchodził do świątyni Pele. Onegdaj ukryta w krzewach żywoci-słoniorośli nad rzeką ujrzała kapłankę podczas kąpieli. Łono jej było wzdęte cudzołożnym płodem i zdradzało występki.

Mimo spóźnionej godziny słowa Napo rozsypały się po osiedli jak paciorki żalobnego naszyjnika i znalazły posłuch u niezadowolonych. Koło jedenastej w nocy w chacie Wangarui zebrało się kilkunastu ludzi i złożyło radę. Trwała krótko, bo czas naglił. Głową spisku został szaman Wangarua, ramieniem wykonawczym Arawaki. Tej jeszcze nocy przed brzaskiem Czandaura musiał zginąć. Wstające rano miało postawić Itonganów wobec faktu dokonanego. Na następcę króla upatrzono Ngahuego, do którego pchnięto natychmiast gońca z wieścią o zaszyłych wypadkach. Jemu też pozostawiono rozprawienie się z Atahualpą. Najważniejszą rzeczą było usunięcie Czandaury. Wangarua nie wątpił, że na wiadomość o jego śmierci wojsko przejdzie na ich stronę i opuści osamotnionego drugiego białego człowieka.

Zagrzani „ognistą wodą” i napojem algarobo, spiskowcy podsuwali się jak gromada wilków do zagrody króla. Sprzyjała im noc czarna niczym kiry żaloby i wicher jesienny, głuszący kroki. Pod samym już toldem Czandaury, przed ogrodzeniem z krzewów kaktusowych i opuncji, przystanęli na krótką naradę. Wangarua z piętnastu ludźmi miał otoczyć dom, zaś Arawaki z resztą wtargnąć do wnętrza.

Ostrożnie otworzyli furtę i wsunęli się żurawiem na tok podwórca. Było cicho. — Uśpiony głęboko dom króla rysował się niewyraźnym konturem w ciemnościach nocy. Napastnicy już mieli się podzielić na dwie partie, gdy drzwi tolda królewskiego zaczęły świecić zielonkawym fosforyzującym światłem. Blask szedł jakby z wnętrza domu, z sieni; przenikał dębowe deski bramy i wyświeca, ją z mroków. Nieznacznie światło skupiło się, wysiało z drzwi na zewnątrz i ześrodkowało się nad progiem w kształt ludzki.

Widmo uniosło się lekko ponad ziemią i zaczęło płynąć w powietrzu ku sprzysiężonym. Jego mocne, surowe spojrzenie spoczywało uparcie na Wangarui. Po tych oczach poznali je wszyscy. W dzikim popłochu rzucili się do ucieczki. Z dreszczem grozy zetknęli się twarzą w twarz z tabu władcy.

Czandaura po odejściu Napo zapadł w sen wprawdzie głęboki, lecz ciężki i męczący. Śniły mu się jakieś maskary, larwy krwio pijące, gniotła piersi i zapierała oddech zmora. Przewracał się z boku na bok, miotał się w łóżku jak ryba we wnyku, lecz nie mógł się przebudzić. Koło północy, zlany rześistym potem, uczył, jak coś w nim rozdwa się, rozłącza, rozszczepia. Wreszcie z uczuciem ulgi wyzwolił się. Na łóżku przed sobą spostrzegł swoje własne, zmaltretowane okropnie przez nocnicę, biedne, ludzkie ciało. Pożegnał je na chwilę uśmiechem litości, uchylił drzwi i ulegając ciemnemu, nieodpartemu nakazowi, wyszedł przed dom. To go ocaliło...

W parę minut potem obudził się straszliwie wyczerpany i zaczął nasłuchiwać. Ktoś cicho uderzał palcami w szybę. Wyskoczył z łóżka i ściskając w ręku kordelas otworzył okno.

— Kto tam?

— To my, Rumi i Wajmuti. Gonią nas.

Po chwili Czandaura tulił kochankę do piersi. Chwilowe ocalenie jej zawdzięczał tylko Wajmuti, która wyprowadziła kapłankę ze świątyni podziemnym, jej tylko znanym przejściem, zanim gromada dyszących zemstą Itonganów zdołała wyważyć podwoje chramu i wedrzeć się do wnętrza. Lecz przytułek króla nie był pewny na dłuższą metę.

Wiedział o tym Czandaura i bezzwłocznie postanowił porozumieć się z Atahualpą. Należało działać szybko i stanowczo. Zamknął obie kobiety w drugiej, mniejszej izbie od strony ogrodu, zaryglował wszystkie drzwi i pod osłoną przesilającej się nocy wśliznął się do zagrody przyjaciela. Zastał Petersona przy szklance grogu jego własnego wyrobu. Kapitan miał też noc fatalną. Dręczyła go spotęgowana od śmierci Itobi nostalgia i nie dawała mu zasnąć. Topił smutek w kieliszku.

Gniewosz w kilku słowach przedstawił powagę sytuacji. Peterson zaklął z cicha.

— Źle jest, do stu furgonów diabłów, bardzo źle! Ta młoda czarownica umiała wziąć się do rzeczy i zrewoltowała nam ludzi w ciągu kilku godzin. Jeśli nie zawahali się nawet napaść na świątynię, muszą być okropnie podnieceni i rozzuchwaleni. Zaraz wysondujemy rzecz do dna.

Gwizdnął przeciągle. Mata trzciniowa przy wejściu podniosła się i wszedł Ksingu.

— Dzień dobry, przyjacielu! Każ otrąbić poranną pobudkę. Za kwadrans ruszamy. Wezwij do boku królewskiego Czantopiru i straż.

Na twarzy miedzianego wodza odmalowało się silne zakłopotanie. Pochylił parę razy głowę na znak, że rozumiał, lecz nie ruszał od progu. Czandaura położył mu rękę na ramieniu.

— Wydajesz się zmieszany, Ksingu. Powiedz, co ci leży na sercu.

Wojownik załamał ręce, aż trzasnęły kości w stawach, i wykrztusił zdławionym głosem:

— Przed chwilą Ksingu obchodził z latarnią koszary. Źle się dzieje wśród żołnierzy. Połowa gdzieś zbiegła, a ci, co zostali, zbijają się w gromady i radzą. Bunt w obozie! Musisz, królu, sam zadać kłam wieściom, które ktoś rozpuszcza między ludźmi.

— Ksingu ma słuszość — zaaprobował radę wodza Peterson. — John, trzeba im się pokazać i przemówić. Może uda nam się jeszcze zatamować ruch w zarodku.

Wyszli z tolda i z płonącymi pochodniami wbiegli w sam środek koszar. Czandaura spokojny i opanowany wstąpił na wzniesienie pośrodku obozu. Głos jego doniosły, hartowny jak spiz zaczął znów naginać dusze żołnierzy w krygi posłuchu:

— Wojownicy plemienia Itongo, wodzowie i żołnierze! Nie wstyd wam za lada podszeptem głupiej, mściwej kobiety zapominać o obowiązkach względem waszego króla i wniecać zarzewie rokoszu? Towarzysze broni i wspólnych bojów, które chwałą okryły imię Itonganów Jasnych i uczyniły z was panów całej wyspy, przyzywam was do swego boku w godzinę buntu i zdrady. Niechaj uszy wasze nie dają przystępu do siebie kłamli-

wym i oszczerczym pogłoskom. Pomnijcie na nasze wspólne trudy i zwycięskie marsze, żołnierze!

Przeciągły okrzyk entuzjazmu był mu odpowiedzią:

— Czandaura król i jego wódz Atahualpa niech żyją!

Sytuacja chwilowo była ocalona. Pięćset dzielnych, utwierdzonych we wierności ludzi stanęło przy królu. Wzmocnił ich znacznie na siłach zastęp 300 wojowników przybocznej straży, którzy właśnie w tej chwili wmaszerowali na majdan pod wodzą Czantopiru. — Król utworzył cztery oddziały po 200 ludzi i oddał nad nimi dowództwo Atahualpie, Izanie, Ksingu i Czantopiru. Wśród szczęku broni i parskania wypoczętych koni ruszyli dwoma skrzydłami ku rezydencji króla.

Był już świt i pierwsze blaski zarania rozgarniały różowymi palcami ustępujące mgły. Ta część osady wyglądała jak wymarła. Ukazanie się wśród nocy itongo<sup>94</sup> króla działało wciąż z siłą odstrasżającego czaru; okolicy tolda królewskiego strzegło wciąż potężne tabu<sup>95</sup> władcy. Pustymi ulicami przeszli zachodni skraw osiedli i otoczyli opiekuńczym pierścieniem dom króla. Z bijącym sercem Czandaura odrygłował wejście i wszedł. Owinięły mu szyję ciepłe, śniade ramiona, spłynął na usta pocałunek przesłodkich warg.

— Rumi!

Dokoła tolda zawrzała gorączkowa praca. Żołnierze kopali rowy i sypali szańce. W paru godzinach dom Czandaury przeistoczył się w twierdzę. Z trzech stron dźwignęły się z poziomu wysokie na 3 metry wały zjeżone palisadą. Strony tylnej, od ogrodu, broniły potężne bloki i złomy bazaltu, stanowiące tu daleko w ład zapuszczoną awangardę skał nadbrzeża.

Koło południa przynieśli strażnicy wiadomość, że z głębi osady nadciąga silny oddział zbrojnych. Gdy zbliżyli się na odległość rzutu włócznią, dali znak, że chcą wysłać parlamentarzysty. Czandaura polecił odpowiedzieć przychylnie. Jakoż weszło na majdan przed toldem buńczucznie dziesięciu wojowników. Prowadzili Amakra i Arawaki. Skłonili się hardo, a czarownik przemówił skrzeczającym, starą srokę przypominającym głosem:

— W imieniu Rady Starszych żądamy od ciebie, Czandauro, wydania wszetecznej kapłanki Rumi, która ukrywa się pod dachem twoim. Jeśli uczynisz zadość naszym żądaniom, będziesz władał Itonganami do końca dnia twoich w pokoju i ciszy.

Król uśmiechnął się wyzywająco.

— A co będzie, jeśli zuchwałych życzeń waszych nie zaspokoję?

— Będzie rozlew krwi bratniej niepotrzebny, Czandauro. Ngahue stanie na pewno po naszej stronie, gdy pozna przyczynę zatargu z królem. Nas już jest teraz parę tysięcy, a was — garść drobna. Wydaj nam bezbożną Rurmi!

Czandaura przybliżył ku czarownikowi twarz zmienioną od gniewu i pogardy.

— Wam wydać Rumi? Wam, głupcom i okrutnikom, powierzyć kwiat krwi królewskiej? Nigdy! Plunąłbym sobie samemu w twarz, gdybym to uczynił. Raczej zginąć.

Amakra cofnął się mimo woli o parę kroków przed furią króla.

— Czy to twoje ostatnie słowo dla nas, Czandauro?

— Usłyszałeś je.

Wśród grobowej ciszy delegacja opuściła podwórzec. Kości były rzucone. Koło czwartej po południu wysłany na zwiady Czantopiru przyniósł wiadomość, że rokoszantom przybyły nowe posiłki. Zaginiony od lat Mahana wypłynął znów na powierzchnię i wyszedł z komisy górskich, prowadząc ze sobą oddział złożony z trzystu ludzi. Zła wieść rozniosła się po obozie królewskim z chyżością zarazy i zmroziła serca. Duch załogi zaczął słabnąć i chwiać się...

Wieczorem o zmierzchu dnia tego w środkowej izbie tolda siedziało przy stole czworo ludzi: Gniewosz, Peterson, Rumi i Wajmuti. Przygnębiający nastrój unosił się w atmosferze wnętrza i dławił jak zmora. — Milczeli. Każde z nich jakby bało się, by pierwsze wypowiedziane słowo nie stało się krystalizacją ponurej prawdy. Aż kapitan zdecydował się na wyłom:

— No cóż, John, czasy nareszcie dojrzały, co? Nie ma chyba nad czym dłużej delibrować. Sytuacja jasna.

<sup>94</sup>itongo — ducha (widma). [przypis autorski]

<sup>95</sup>tabu — świętość, moc święta. [przypis autorski]

— Gdybym mógł liczyć na Ngahuego... — bronił resztką sił swej pozycji Gniewosz.  
— Gdybym mógł...

— Lecz nie możesz. Wiesz o tym doskonale, że nie możesz. To zafaniec i fanatyk pierwszej wody. „Markiza” od trzech dni gotowa do odlotu. A zatem dziś w nocy, co?

Gniewosz zapytał spojrzeniem Rumi. — Wyciągnęła ku niemu ręce. Pochwycił je i przycisnął do ust.

— *All right*, John — rzekł z uznaniem kapitan. — Zaczynasz znów być Europejczykiem.

Rumi objęła tkliwym spojrzeniem piastunkę.

— A ty, Wajmuti? Pojedziesz z nami?

Strażniczka ognia wieczystego potrząsnęła smutno głową.

— Nie, księżniczko. Moje miejsce przy opuszczonym ołtarzu bogini.

— On silniejszy od Pele i jej gniewu.

— Nie, Rumi. Pozostanę na ziemi ojców moich. Jedź z nim, dziecko najmilsze, jeśli wierzysz w moc jego tak silnie, i bądźcie szczęśliwi.

---

Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do ucieczki. Peterson wypychał podrózne plecaki środkami żywności. Gniewosz zasiadł do pisania listów. W pierwszym, dłuższym, zwracał się do Ngahuego i prosił go o ulaskawienie tych, co wytrwali przy nim w wierności do końca. Byli tylko wykonawcami woli króla, którego nie chcieli opuścić. Całą winę brał na siebie. List ten natychmiast wręczył Czantopiru i polecił mu bezzwłocznie przekraść się z nim do namiestnika, po tamtej stronie łańcucha gór.

Gdy Czantopiru odszedł, Gniewosz skreślił słów parę do Izany i Ksingu. Dziękował im gorąco za dowody przyjaźni, pożegnał obu serdecznie i wezwał do przejścia na stronę zbuntowanych. Ucieczkę swoją przedstawił jako konieczność, jako jedyny środek przeciw rozlewowi krwi. List ten oddał Wajmuti. Miała go wręczyć obu wodzom w trzy godziny po opuszczeniu przez nich tolda.

Tak na rozmaitych czynnościach upłynął szybko czas i zbliżyła się godzina ucieczki. By nie budzić podejrzeń. Gniewosz do ostatniej niemal chwili krążył pośród biwakujących przy ogniskach wojowników, obchodził strażę, badał oszańcowania. O dziesiątej zapuścił zasłony u okna domu i oświetlił rżęsiście wnętrze. Nastąpiła krótka, wzruszająca scena pożegnania między Rumi a Wajmuti, po czym Gniewosz, Peterson i Rumi wymknęli się z tolda tylnymi drzwiami do ogrodu. Ukryci przed oczyma żołnierzy gęstą aleją akacji doszli do jej wylotu u stóp bazaltowej skały, zamykającej zwartym murem ten bok ogrodu. Gniewosz rozgarnął rękoma zarośla opuncji w połowie rozpiętości ściany i oświetlił latarką wąski otwór wydrążony w skale.

— Tędy przejdziemy na ścieżkę. Musimy pełzać na brzuchu. Will, ty będziesz stanował na razie straż tylną.

— *All right!*

Zanurzyli się we wnętrzościach skały. W dziesięć minut potem Gniewosz zgasił latarkę i prostując się z westchnieniem ulgi, oświadczył:

— Jesteśmy na ścieżce. Teraz ty, Will, prowadź do twojej „Markizy”. Jak daleko stąd jeszcze do zatoki Szarych Zwisów?

— Pół mili morskiej, nie więcej.

— No — to niedaleko.

Przepuścił mimo kapitana i ujął mocno pod ramię Rumi. Ruszyli. Peterson przodem jako przewodnik, Gniewosz z Rumi o kilka kroków za nim. Noc była ciepła, księżycowa i jasno było jak w dzień. Ścieżka wąska, słabo udeptana wiła się niepewnymi skrętami między linią pandanowej puszczy a blokami nadbrzeżnych skal. Szum morza wdzierającego się co chwila w ząbienia lądu towarzyszył im bez przerwy. Szli szybko, myślami wyprzedzając drogę. Gniewosz układał plany na przyszłość i usiłował rozwiązać problem utrzymania siebie i Rumi po powrocie do Europy. Peterson przemyślał tymczasem nad planem ruty morskiej, która miała ich zaprowadzić do najbliższego portu Ameryki Południowej, Valparaiso lub Punta Arenas. Kapitan był w wysmienitym humorze i po cichu błogosławił „tej pięknej czarownicy Napo”, której zawdzięczał ten szczęśliwy zwrot w sytuacji.

Tymczasem Rumi, wsparta na ramieniu Gniewosza, szła rozmarzona, jak w transie. Nawał cisnących się wrażeń chwili i perspektywa dni przyszłych odurzały ją jak narkotyki i wytrącały z równowagi. Co chwila spoglądała na ukochanego, z którego twarzy czerpała otuchę i moc wytrwania.

— Hulloch! — zabrzmiał na którymś odcinku drogi głos Petersona. — Najdalej za dziesięć minut jesteśmy na pokładzie „Markizy”.

— Kochany Will, jesteś teraz panem naszego życia i śmierci — odkrzyknął mu Gniewosz. — Czuję już, czuję szeroki oddech morza.

Były to ostatnie słowa, które z sobą jeszcze zamienili. Ledwie zamarło ich echo pośród gęstwy boru, piekielny huk wstrząsnął ciszą nocy. Ziemia zafalowała i ponad czarną ścianę puszczy trysnęła ku niebu sikława ognia.

— Rotowera! — szepnęła Rumi i okrutne zwątpienie zatopiło zatruty szpon w jej sercu.

Potworny grzmot i wstrząs wyrzucił wszystko na rębę. Olbrzymi blok skalny wyrzucony siłą tytana z posady wybrzeża zatarasował im drogę i odciął ich od kapitana.

Gniewosz i Rumi zwaleni z nóg stoczyli się po jakiejś świeżo powstałej pochylni na dno leśnego parowu.

— Odwagi, Rumi! — usiłował przekrzyknąć straszliwą kanonadę Jan — odwagi! Do zatoki już niedaleko. Wdrapiemy się na skałę i połączymy się z kapitanem.

Poczuł w ustach niby ciepły piasek. Wypłuł z obrzydzeniem.

— Popiół.

Posępna, purpurowa łuna rozlała się po niebie i wtargnęła do wnętrza puszczy. W blaskach jej ujrzeni powywracane dziko odwieczne pandany, złomy skał i głazów naniesionych z gór.

Zaczęli bezradnie wdzierać się na blok, co zamknął im drogę. Drżał pod nimi jak żywy organizm; lada chwila mogli znaleźć się pod nim zmiażdżeni, lada chwila mogła ich splukać z jego powierzchni fala wzburzonego dookoła wyspy oceanu. Wyczerpani i przemoczeni obsunęli się w małą rozpadlinę w pośrodku platformy szczytowej głazu.

Stąd roztoczył się przed nimi obraz jedyny w swej groźnej krasie. Blok, na którym siedzieli, był zewsząd oblany kotłującą się wściekle wodą roztoczy. Ścieżka, wydroże wśród skał nadbrzeżnych i skraw puszczy znikły bez śladu. Ocean wdarł się w głąb wyspy gigantycznym zasięgiem i utworzył olbrzymią, przepaścistą zatokę. W tej zatoce zapewne znalazł śmierć Peterson, na jej dnie spoczęła na wieki „Markiza”. Byli odcięci od calizny wyspy, na chwil parę ocaleni kaprysem losu, który jak gdyby chciał, by widzieli wszystko aż do końca. Przytuleni do siebie, wpatrywali się na pół przytomni w straszliwą, oświetloną gejzerami ognia panoramę.

Wał górski przebiegający wyspę od wschodu do zachodu kołysał się i drgał w całej swojej rozciągłości. Z paszczy krateru w jego środku zionącego dymem, popiołem i ogniem wylewały się bez przerwy potoki lawy i z zawrotną chyżością spływały po zboczach świętej góry. Potworna, szeroka na parę mil rzeka gęstego, dymiącego wrzątku zalała już środek wyspy i staczała się tężającą w biegu kaskadą ku morzu. Szczyły lasy i bory, pozapadały się bez śladu wsie i osady, znikły pola i drogi. Szaroróżowy, tu i tam ogniotryskami dziergany płaszcz z roztopionej masy pokrył wszystko jednolitą pościelą.

Gniewosz, urzeczony pięknem grozy, nie mógł oderwać oczu od obrazu, gdy usta jego wykrzywione okrutnym uśmiechem powtarzały bezdźwięcznie słowa:

— Śmierć idzie, śmierć...

Przyszedł moment, gdy przed oczyma duszy rozwinęła się druga, nie mniej wyrazista panorama: błyskawiczny skrót całego życia, ujęty w formie zwięzłej, boleśnie plastycznej rewii.

W konturach ostrych, mocno zarysowanych, przesunęła się wizja samotnego domu na rozstajach dróg, kuźnia, postać „ojca”, oschła sylwetka doktora Będzińskiego, słodkie profile Krystyny, Ludwiki... Zapatrzone w przeszłość spojrzenie przemierzyło lotem myśli przebytą przestrzeń i zatrzymało się znów na tej, której biedne serce trzepotało się jak ptak śmiertelnie raniony na jego piersi. Po raz ostatni spotkały się ich oczy; jego — zamyślane i pogodzone ze śmiercią, jej — zwątpiałe i brzemienne pytaniem:

— Więc przecież oni silniejsi od ciebie, ukochany?

Zrozumiał spojrzenie i odpowiedział:

— Nie, Rumi. To my jesteśmy silniejsi, my wychodzimy zwycięsko. Oboje rzuciliśmy wyzwanie losowi i oboje przez śmierć wyzwalamy się z jego nienawistnych pęt. Miłość nasza jest mocniejsza niż zgon, mocniejsza niż złe siły, które władają tą wyspą. Umieramy razem i razem przejdziemy w dziedziny zaświatów. Nic już nas nie rozdzieli.

Uśmiechnęła się błogo i nagle uspokojona złożyła cicho głowę na jego ramieniu. Objął ją mocno w pól i przytulił do siebie. I tak już przetrwali do końca.

A koniec zbliżał się nieubłaganie. Ustały podziemne wstrząsy, grunt przestał falować i zelżały erupcje. Tylko wielka, ponura zorza wulkanu rozświetliła niebo, ziemię i morze. Przy tym upiornym oświetleniu ujrzeli, jak łańcuch gór wraz ze szczytem Rotowerą powoli obniża się ku poziomowi oceanu; podważona w posadach swych wyspa zapadała się pomału w głębiny wielkich wód. Nastąpiła ogromna, przedśmiertna cisza. Blask zorzy stopniowo przygasał i znów brała górę zielonawa poświeta księżyca.

Gniewosz i Rumi przywarli do siebie ustami. Woda sięgała im już po piersi. Po chwili wir wodny porwał oboje splecionych i zepchnął w dół...

Gdy nad ranem wstało słońce w złotej chwale, nie zastało już wyspy Itongo na powierzchni oceanu. Znikła na zawsze w odmętach wodnej pustyni.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-wyspa-itongo>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Wyspa Itongo*, Wyd. Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Patrycja Józwiak, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Publikację wsparli i wsparły: anonim, BasiaK, Waldko, Marzena Borkowska, krbs, mr, Jędrzej Cieślak, Wojciech M.

ISBN 978-83-288-0252-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).